



**CZESŁAW
KURIATA**
zapiski
prowincjo-
nalnego
pisarza



Arkunian

**CZESŁAW
KURIATA**
**zapiski
prowincjo-
nalnego
pisarza**

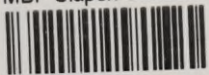
KOSZALIŃSKIE TOWARZYSTWO SPOŁECZNO-KULTURALNE
1985 r.



123361

884(091)"1945/..." : 929(438)"19" A/2

MBP Słupsk Centrala



123361

Uczestnicy spotkań autorskich pytają często o okoliczności związane z debiutem literackim pisarza. Zazwyczaj ulegam ich namowom i wspominam o okresie, kiedy mając zaledwie kilkanaście wierszy — i dokładnie osiemnaście lat — postanowiłem choćby jeden z nich wydrukować w prasie. Pozwolał zatem Czytelnicy, że już na początku tej książki opowiem o zdarzeniach poprzedzających fakt pojawienia się mego nazwiska nad wierszami zamieszczonymi w czasopismach. (Nie zastrzegam się w tym miejscu, iż podobieństwo opisywanych osób z rzeczywistymi jest przypadkowe).

Mój

debiut

literacki

a

Rewolucja

Francuska

Po pierwszym roku studiów na Uniwersytecie w Poznaniu, jak zwykle przyjechałem na wakacje do Koszalina. Zamieszkałem na ulicy Jasnej — pamiętam dobrze tę wąską błotnistą uliczkę z tamtych czasów. Jak większość wakacji w szkole średniej i wtedy postanowiłem pracować, aby zarobić kilka groszy tak potrzebnych przed kolejnym rokiem akademickim. Podobnie jak ulica Miła u Broniewskiego w rzeczywistości nie była taka miła, i moja koszalińska ulica Jasna okazała się również niezbyt jasna. O pracę dla studenta ze średnim wykształceniem ogólnokształcącym już wtedy nie było łatwo, zwłaszcza na krótki wakacyjny okres. W przerwach poszukiwania dorywczego zajęcia siadałem nad swoimi rękopisami poetyckimi, aby je podszlifować i wysłać do prasy. Dla części piszących i nigdy jeszcze nie drukujących decyzja wysłania swoich utworów do czasopisma jest decyzją trudną. Ogromnym więc wysiłkiem woli przemogłem opory i z bijącym sercem zaniósłem na pocztę trzy listy polecane do trzech redakcji: do szczecińskiego tygodnika „Ziemia i Morze”, do bydgoskiego miesięcznika „Pomorze” oraz do trzeciego czaso-

pisma, którego tytułu nie wymienię. Wysyłając jednocześnie trzy listy z identycznymi utworami chciałem po prostu w ten sposób zwiększyć szansę druku, o którym tak bardzo marzyłem. A nuż któremuś z redaktorów spodoba się choć jeden mój wiersz? Po powrocie z poczty z niecierpliwością oczekiwałem odpowiedzi. I były to dni, które nie dadzą się porównać do jakichkolwiek innych, może jedynie zawierają pewne podobieństwo do chwili, podczas których bez pamięci zakochany chłopiec czeka na list od dziewczyny nie wiedząc czy u niej ma jakiegokolwiek szansę. Słowem, nastąpiły upiorne dni oczekiwania na odpowiedzi od redaktorów, obcych mi ludzi, do których po raz pierwszy ośmieliłem się wysłać płody swojej wyobraźni i najintymniejszych przeżyć. Wiedziałem, że człowiek po raz pierwszy wysyłający utwory literackie bardzo często nie otrzymuje żadnej odpowiedzi lub w najlepszym wypadku musi czekać na odpowiedź bardzo długo — z góry więc uzbrajałem się w cierpliwość. Jakież było moje zdziwienie, gdy po upływie kilku dni otrzymałem list z redakcji czasopisma, którego tytułu nie wymieniam. Drżącymi rękami rozzerwałem kopertę. Znalazłem w niej sześć swoich wierszy i list mniej więcej takiej treści, który odtwarzam z pamięci, nie dosłownie, ale tak, aby najpełniej oddać jego sens:

Drogi Kolego! Należy rzucić pióro, ono sławy Koledze nie przyniesie. Wiersze są bez jakiegokolwiek wartości i nie ma w nich krztyny poezji. Po co marnować papier i atrament, po co tracić czas, należy raczej zająć się inną, w miarę pożyteczną pracą. Wiersze Kolegi nie przyniosą ani jemu, ani czytelnikom żadnego, ale to żadnego pożytku...

Tak mniej więcej brzmiała treść listu od redakcji, która pierwsza zareagowała na moją młodzieńczą poezję. Oczywiście, w liście były serdeczne, a jakże, bardzo serdeczne pozdrowienia i czytelny podpis redaktora działu poezji. Rzecz jasna, że taka odpowiedź pogrążyła mnie w czarnym, bezdennym smutku. Natychmiast ulica Jasna, przy której mieszkalem, stała się czarna jak noc. Odsuwając natrętne, męczące myśli o odpowiedziach z pozostałych redakcji, tym energiczniej zabra-

łem się do poszukiwania dorywczej pracy na okres wakacyjny. Teraz dopiero zacząłem się bać naprawdę! Ja przecież do wszystkich pism posłałem te same teksty! Mogę więc otrzymać jeszcze gorsze odpowiedzi. W tym stanie skrajnej depresji przeżyłem kilka kolejnych dni. Wreszcie następny list, na kopercie nadruk bydgoskiego czasopisma „Pomorze”. Chwila, a byłbym nie otwierając listu wrzucił go do kosza lub spalił, aby sobie samemu wstydu oszczędzić. Zaraz jednak przywiodłem na pamięć nigdy nie łamiących się bohaterów powieściowych, ludzi odważnych i twardych, nie załamujących się nawet pod wpływem druzgocących ciosów — i list otworzyłem. Moje zdziwienie wzrastało z każdym kolejnym zdaniem, które odczytywałem. Otóż druga redakcja pisała, że bardzo się cieszy, iż nawiązałem z nią kontakt i rozpocząłem cenną współpracę. Dalej przeczytałem, że moje wiersze podobają się kolegium redakcyjnemu, są świeże, bez maniery, a jednocześnie znamionują znaczną kulturę literacką. Redakcja cztery z nich wydrukuje za miesiąc, jednocześnie prosi o dalszą, stałą współpracę. List kończył się najserdeczniejszymi pozdrowieniami i życzeniami dalszej owocnej pracy na niwie poetyckiej.

Nie potrzebuję w tym miejscu opisywać swojej radości. Powiem tylko tyle, iż radośniejsze uniesienie na miarę tamtego, już nigdy potem nie nawiedziło mnie jako twórcę, nawet podczas przyjmowania najważniejszych dla mnie ogólnopolskich nagród literackich. W radosnej euforii, powodowany uczuciem mściwości, zrobiłem odpis tego pięknego listu i za ostatnie pieniądze ekspresem-poleconym wysłałem go do redakcji, która pierwsza zareagowała na moją poezję — na nazwisko redaktora działu poezji. Oczywiście w liście umieściłem odpowiednio złośliwy komentarz dobitnie uświadamiając surowemu, a niesprawiedliwemu redaktorowi, że przecież ocena innej redakcji dotyczy tych samych, identycznych wierszy, na których on jakże się nie poznał. Po tygodniu w trzecim czasopiśmie, w „Ziemi i Morzu”, do którego wysłałem swoje utwory, znalazłem jeden z sześciu wierszy. (Tak się złożyło, iż po dwu-

dziestu siedmiu latach, zostałem przedstawicielem w Koszalinie reaktywowanego szczecińskiego tygodnika pod nieco odwróconą nazwą „Morze i Ziemia”, w którym debiutowałem). Na szczęście dla mnie nie był to żaden z tekstów przyjętych przez redakcję „Pomorza”.

Szkoda, iż oba czasopisma, które zamieściły moje wiersze krótko potem zostały zlikwidowane. Likwidacji czasopism przychylnych mi w czasach młodości nie łączę jednak z faktem publikacji w nich swoich utworów. Natomiast uważam wręcz za prorocstwo fakt, iż numer tygodnika „Ziemia i Morze” z moim pierwszym wierszem nosił datę 14 lipca 1956 r. Jest to jak wiadomo data Rewolucji Francuskiej, zburzenie Bastylii przez lud Paryża. Był to rok 1956, który dla Polski stał się również rokiem historycznym. Jak się Państwu podoba takie zestawienie: Wielka Rewolucja Francuzów i mój debiut poetycki!!! Tak czy inaczej miałem szczęście jak rzadko w życiu, spośród sześciu po raz pierwszy wysłanych wierszy do redakcji zostało wydrukowanych aż pięć.

Powyższy przykład skrajnie różnej oceny moich pierwszych utworów miał dla mnie i tę dobrą stronę, że już od tamtego czasu czyli od początku tzw. drogi twórczej, nie wierzę krytyce literackiej bez względu na to w jakiej formie jest wyrażana.

Historia mego debiutu literackiego, a raczej owej negatywnej oceny-odpowiedzi z redakcji czasopisma, którego tytułu nie wymieniam, nie kończy się na tym i ma swój dalszy nieoczekiwany ciąg. Rychło dowiedziałem się, że redaktor poezji, który uznał moje pierwsze utwory za grafomańskie sam jest poetą drukującym między innymi we własnym piśmie. Tak się dziwnie dalej złożyło, że mój surowy redaktor-poeta dopiero po kilku latach od mego książkowego debiutu wydał swój pierwszy tomik wierszy. Ten nasz świat jest najdziwniejszym ze światów, więc nie dość na tym. Oto przytrafiło się coś, co nam obu — tzn. pierwszemu redaktorowi oceniającemu moje wiersze i mnie — spletało pikantnego figla.

Podczas zjazdu Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisa-

rzy w Zielonej Górze urządzono turniej jednego wiersza i poproszono mnie do jury. W turnieju brali udział poeci przed debiutem książkowym. Ku memu zdziwieniu na liście startujących dostrzegłem nazwisko owego poety-redaktora, mego pierwszego krytyka literackiego. To zrozumiałe, że znalazłem się w niezwykle trudnej sytuacji. Myślę więc sobie: startujący w turnieju redaktor-poeta na pewno pamięta moje nazwisko i treść listu, który kiedyś do mnie napisał, pamięta choćby dlatego, że ja, już w kilka miesięcy po otrzymaniu od niego listu, zdążyłem wydrukować wiersze prawie w większości czasopism społeczno-kulturalnych — a zatem będzie mu bardzo przykro, gdy stanie przed stołem jury, gdzie i ja będę siedział, i zacznie czytać swój wiersz. Pomyślałem dalej, że najlepiej byłoby, gdybym wycofał się z sądu konkursowego ze względu na tę skomplikowaną sytuację. Jak jednak organizatorom uzasadnię swoją decyzję? Jeśli powiem prawdę, dopiero obecni na zjeździe młodzi poeci mieliby o czym plotkować! Rad nie rad przyjąłem uczestnictwo w jury. Prosiłem opatrność już tylko o to, aby wiersz tego poety, nadawcy do mnie listu sprzed lat zawierającego tak surową ocenę mojej najpierwszej twórczości, prezentował odpowiedni poziom artystyczny — a wtedy będę miał rozwiązane ręce. Jeżeli natomiast utwór będzie zły i autor nie otrzyma nagrody, natychmiast uzna, że to moja sprawka, że zemściłem się za jego ocenę moich wierszy sprzed lat. Złośliwość sytuacji bywa jednak większa od złośliwości rzeczy martwych. Wiersz okazał się bardzo kiepskim i wszyscy członkowie jury chcieli go odrzucić już we wstępnej selekcji. Widząc co się święci walczyłem jak lew; wbrew wszystkim twierdziłem, że wiersz posiada wartości artystyczne, jest nowatorski, ukazuje ambitną drogę poszukiwań poety etc. Byłem tak despotyczny, tak żarliwie broniłem tego wiersza, że w rezultacie jego autor otrzymał trzecią nagrodę mimo — o tym wiedziałem dobrze — iż nikogo z pozostałych członków jury nie przekonałem do słabego tekstu. W taki oto sposób postępując nieuczciwie, postąpiłem szlachetnie. Wiedziałem przecież doskonale, że gdyby mój redaktor-

-poeta nie otrzymał żadnej nagrody, zwałiby całą winę na mnie, uznaliby, że to ja w tak niecny sposób zemściłem się... W efekcie zachwiałaby się jego wiara w sprawiedliwość i obiektywizm sądów ludzkich. A więc nie podpadłem u niego, podpadłem natomiast u kolegów z sądu konkursowego, którzy nigdy nie dowiedzieli się dlaczego uznałem ewidentnie słaby wiersz za nowatorskie arcydzieło. Rzecz jasna, prawdy nie wyjawilem do tej chwili.

Ale i na tym nie kończy się ta historia. Po jakimś czasie od tamtego zielonogórskiego zjazdu młodych pisarzy, otrzymuję list z redakcji, w której nadal pracował mój redaktor-poeta, pierwszy surowy recenzent moich wierszy. Zaproszono mnie do udziału w ankiecie z okazji jubileuszu tego czasopisma. Ankieta zawierała kilka pytań w rodzaju: kiedy zadebiutowałem i w jakich okolicznościach oraz od kiedy datuje się mój kontakt z ich piśmem. (Na marginesie muszę wspomnieć i o tym, iż czasopismo to zdążyło już kilka razy przedrukować moje wiersze — co pewnie zawdzięczałem memu poecie-redaktorowi pracującemu w tym piśmie, dla którego przedtem wywalczyłem trzecią nagrodę!). Odpowiadając na ankietę, opisałem w skrócie to wszystko, co przed chwilą opowiedziałem. Dodałem przy tym, że nie umieszczenie opisu „historycznych kontaktów” z czasopiśmem, będzie świadczyć o tchórzostwie ich redaktora działu poezji lub braku poczucia humoru kolegium redakcyjnego. Niestety, doznałem zawodu. Mojej odpowiedzi na ankietę nie wydrukowano.

Wkrótce mój redaktor-poeta został członkiem kolegium redakcyjnego poważnego miesięcznika. Do czasopisma tego nie wysyłałem już swoich wierszy aż do chwili zmiany składu redakcji. Po prostu mój krytyk, redaktor i poeta znowu był górą, a ja po raz drugi nie mogłem już ryzykować.

„Kiedy napisał Pan pierwszy swój utwór?” — to kolejne pytanie najczęściej zadawane pisarzowi podczas spotkania autorskiego. W przypadku, gdy mam na spotkaniu tylko do-

rosłych słuchaczy, opowiadał o wszystkich trzech początkowych etapach mojej twórczości.

Pierwszy wiersz napisałem będąc uczniem II klasy szkoły podstawowej. W wierszu tym wyrażałem marzenie o tym, aby zostać żołnierzem. Pamiętam, iż dwie linijki brzmiały mniej więcej tak: „A jak ja urosnę i już będę duży/w Polskim Wojsku będę dzielnie służył”. Dziś jednak nie jestem całkowicie pewien czy cytowanego wyżej dwuwiersza nie ściągnąłem z jakiegoś zasłyszanego utworu, a może jakiejś dziecięcej piosenki. Zresztą to nieważne, ważniejszy jest fakt, że wiersz ten wygłosiłem na zakończenie roku szkolnego w tejże drugiej klasie i spotkałem się z tak wielkim aplauzem swoich rówieśników i zgromadzonych na sali rodziców, jakiego nie doznałem nigdy podczas spotkań autorskich odbywanych przez całe ćwierćwiecze. Co więcej, w tamtej chwili objawił entuzjazm w stosunku do moich zdolności poetyckich najwyższy autorytet we wsi, jedyny nauczyciel czteroklasowej szkoły, do której uczęszczałem. W tamtym dniu uznano mnie wręcz za cudowne dziecko. Zachęcony takim przyjęciem swojej twórczości literackiej, przez całe wakacje — pasąc krowy — zapisałem poematami trzy grube zeszyty. W pierwszym dniu nowego roku szkolnego pokazałem cały mój dorobek nauczycielowi, który — wbrew moim oczekiwaniom — nie objawił już żadnego zachwytu moją twórczością. Nauczyciel nie tylko mnie teraz nie pochwalił, ale wręcz zakazał zajmowania się bzdurami. W żaden sposób nie mogłem pojąć tak nagłej w nim odmiany. I tak oto, rozczarowany na cały świat, rzuciłem pisanie wierszy na dobrych kilka lat.

Drugi okres mojej twórczości literackiej przypada na koniec szkoły podstawowej. W tym czasie pisałem wyłącznie erotyki. Oto dwa czterowiersze, które ostały się w mojej pamięci.

*Gdy głowę położę na twe kolana,
Warkoczem oplotę mą szyję,
Czy ręce mnie wtedy czyje
Oderwą od Ciebie Kochana.*

*Niepotrzebny mi wtedy świat cały,
Jego bogactwo, potęga i sława,
Two usta mi więcej dały,
Twój uśmiech słodczył napawa.*

I wreszcie trzeci etap z prehistorycznej epoki mojej twórczości. Koniec dziesiątej i początek jedenastej klasy szkoły ogólnokształcącej. Byłem wtedy pod przemożnym wpływem naszej trójcy wieszczów romantycznych. Przejąłem od nich przede wszystkim świadomość, iż wielka miłość istnieje tylko wtedy, gdy nie jest odwzajemniana, jeszcze inaczej mówiąc, wielka miłość zawsze musi być nieszczęśliwa. Odtąd wiedziałem, że nie ma prawdziwej wielkiej miłości bez cierpienia. I dlatego właśnie zakochałem się w koleżance, u której nie miałem żadnych szans. Im ona bardziej mnie lekceważyła, oczywiście demonstrując to publicznie, tym ja bardziej okazywałem swoją do niej miłość, nie kryjąc się z tym wielkim uczuciem przed rówieśnikami. (W moim romantycznym pojęciu krycie się z tak pięknym uczuciem jak miłość byłoby zdradą). To był najprawdziwszy ekshibicjonizm, autosadyzm, masochizm, i Bóg wie co jeszcze, wszystko rodem od romantyków. Wtedy to napisałem wielki poemat, który składał się z czterdziestu czterech zwrotek (!). Utwór ten zatytułowałem „Do NIEJ i do wszystkich”, oczywiście słowo „NIEJ” napisałem dużymi literami, słowo „wszystkich” jak najdrobniejszymi. Początek poematu, który — opowiadając o moim trzecim etapie twórczości — recytuję na spotkaniach autorskich, o wiele bardziej podoba się publiczności niż wiersze z wydanych tomów, mimo, iż nigdy tego tekstu nie traktowałem jako sensu stricto utworu literackiego. A jednak szkoda, że pamiętam już tylko dwie początkowe zwrotki.

*Fala żałosnego uczucia we mnie wzbiera,
Nienawidzę i męczę sam siebie bezlitośnie,
Czy ja oszalałem, czy szalona to era —
Chciałbym krzyknąć światu jak najgłośniej.*

*Powiedz, Najdroższa, „effeta”
Sercu swemu, któremu pancierz okryciem,
Moje tak często mówiło „Nie, to nie ta”!
Aż stało się Twego serca życiem.*

(Słowo *effeta* wziąłem z biblij, a miało to zdaje się znaczyć „otwórz się” lub „przejrzyj”, już dobrze nie pamiętam w jakim wtedy znaczeniu użyłem tego słowa).

Trzeci mój okres także szybko się skończył, bo — jak rzadko w moim życiu — zwyciężył we mnie racjonalizm nad romantyzmem — i trzeba było przygotowywać się do matury.

Aha, w szkole średniej trenowałem boks, miałem nawet czternaście prawdziwych walk bokerskich na ringu, z tego jedną zasłużenie przegrałem przez techniczny nokaut (ciarki mnie do tej chwili przechodzą na wspomnienie cięarów jakie wtedy oberwałem!), jedną przypadkowo wygrałem przez nokaut. Rzecz jasna, iż w swoim archiwum mam wycinek z gazety dotyczący tej drugiej walki! Dziś wiem na pewno, że nie czekała mnie ani błyskotliwa, ani jakakolwiek inna kariera w boksie, podobnie zresztą jak w jakiejkolwiek innej dyscyplinie sportowej. (Drugą moją dyscypliną w tamtym czasie, jakby dla antytezy, były szachy — ale i tu nie zapowiadałem się na arcymistrza).

Na marginesie wspomnę, iż doświadczenia z uprawiania obu tych dyscyplin sportowych w minimalnym stopniu wykorzystałem w twórczości. Napisałem jedno opowiadanie „bokerskie” pt. „Ring wolny”, w innych dostrzec można migawkowe wzmianki związane z tym sportem; na tematy szachowe powstało kilka fraszek, w paru wierszach „pobrzękuja” motywy gry szachowej.

Jak już powiedziałem, musiałem przygotowywać się do matury i dlatego rzuciłem zarówno sport jak i własną poezję. Nadrabiając zaległości, między innymi z łaciny, zacząłem tłumaczyć Catullusa, autora zwiewnych liryków miłosnych. W moim sztambuchu ostało się tylko jedno tłumaczenie, mianowicie strofy o wróbelku „*Passer deliciae mea puellae...*”

Wiersz o słodkim i pieszczotliwym wróbelku, którego straciła dziewczyna, rozpoczynał się słowami „Smutni są dziś czciciele Kupidyna i Wenery...” Jakże więc ten wiersz korespondował ze stanem mego ducha! Ja przecież przed maturą musiałem porzucić nie tylko miłość, ale ponadto i własną poezję! I dlatego właśnie sięgnąłem do miłosnej poezji obcej!

Maszynopis pierwszego zbioru swoich wierszy posyłałem do kilku wydawnictw, pamiętam, że proponowałem go nawet katowickiemu wydawnictwu „Śląsk”. Tomik ten odrzuciło również Wydawnictwo Poznańskie mimo, iż byłem wtedy jednym z młodych poznańskich poetów drukujących sporo, zarówno w prasie poznańskiej jak i w ogólnopolskiej. Tak się jednak potem złożyło, że to ostatnie wydawnictwo na trzynastcie dotychczas wydanych moich książek wydało aż pięć.

Mój pierwszy tomik „Niebo zrównane z ziemią” ukazał się ostatecznie w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej dzięki akceptacji go przez ówczesnego kierownika działu literatury pięknej tego wydawnictwa Wiesława Myślińskiego, obecnie znanego pisarza. To właśnie Wiesław znając mój ówczesny entuzjazm dla poezji polskiej awangardy (przejście przez tę poezję uważałem nadal za bardzo pożyteczną szkołę!) — i widząc jakie ta awangarda ma wpływy na moją debiutancką twórczość, zwrócił się z prośbą do Juliana Przybosia o przedmowę do mego tomiku. Przyboś zgodził się i napisał kilka słów wstępu, raczej sympatycznie zapowiadających debiutanta-żółtodzioba niż przedstawiający odkrycie poety na miarę epoki. Ale i to kurtuazyjne i wstrzemięźliwe w treści słowo wstępne wybitnego poety (no i niezaprzeczalny wpływ poezji awangardowej na moją pierwszą twórczość poetycką), nie ostały się bez echa.

Po wydaniu wspomnianego tomu debiutanckiego „Niebo zrównane z ziemią” (z przedmową Juliana Przybosia), tytuł pierwszej recenzji o tej książce brzmiał nazbyt wymownie

„Epigonizm pod wysokim protektorem”, a jej autorem był również młody poeta. Po przeczytaniu tej recenzji zamieszczonej we „Współczesności” ugięły mi się nogi w kolanach i świat wokół zawirował w szalonych obrotach. Oto ja — jako poeta — chciałem rzucić sobie świat do stóp, a świat w okrutny sposób rzucił mnie na kolana! Jeden z bardziej doświadczonych kolegów po piórze pocieszał mnie, że autor recenzji, również młody poeta, po prostu zazdrości mi przedmowy wybitnego poety. Oczywiście, jak zawsze w takich wypadkach, nie uwierzyłem całkowicie swemu doświadczonemu koledze.

Mój pierwszy tomik został uznany na Festiwalu Młodej Poezji w Poznaniu za najciekawszy debiut książkowy 1961 roku. Jestem przekonany, iż w pewnej mierze zawdzięczam to wyżej wspomnianej druzgocącej pierwszej recenzji, która pobudziła innych do zabrania głosu. Nie wiem czy — gdyby nie było tej pierwszej tak negatywnej recenzji — napisaliby o moim tomiku (a napisali pochlebnie) Stanisław Czernik, Bogdan Ostromęcki i Julian Rogoziński, a także kilku moich rówieśników, znanych i cenionych już dziś pisarzy.

A więc i tym razem rzecz dla mnie skończyła się szczęśliwie.

Na często zadawane pytanie podczas spotkań autorskich, które brzmi „Dlaczego został pan pisarzem” odpowiadam, że stało się to całkowicie niezależnie ode mnie, i już w chwili mego urodzenia. Dowody? Proszę bardzo. Otóż, podobnie jak w niektórych innych regionach, i u nas na Wołyniu istniał zwyczaj odcinania noworodka od matki na określonym przedmiocie, który miał towarzyszyć nowo narodzonemu przez całe życie, decydować o jego zawodzie, o cechach osobowości. Babka odbierająca mnie na tym świecie chwyciła pierwszą lepszą rzecz, jaką miała pod ręką, i na tym przedmiocie przecięła pępowinę. Okazało się, że była to książka. I dlatego właśnie zostałem pisarzem. Nigdy nie dowiedziałem się jakiego rodzaju

było to dzieło, a przede wszystkim jaką przedstawiało wartość. Zdobyć tej wiadomości jest dla mnie sprawą niezwykle ważną. To przecież zrozumiałe, iż od jakości tamtej książki zależy wartość mego pisarstwa. A jednak chwilami jestem szczęśliwy, że nigdy na ten temat niczego się nie dowiem. Tylko krytycy literaccy pisząc o mojej twórczości twierdzą, że znają wartość dzieła, na którym przecięto moją pępowinę. To zrozumiałe, że im nie wierzę.

Podobnie jak i inni pisarze, nie dowierzam krytyce literackiej i mam ku temu wiele powodów. Każda moja książka, a nawet poszczególne utwory, tak skrajnie różnie oceniano, że gdybym tym wszystkim wykluczającym się sądom uwierzył, musiałbym pewnie zwariować.

Oto jeden z niezliczonych, a typowych przykładów skrajnie różnej oceny mojej książki. Chodzi o tom opowiadań „Upominek jubileuszowy”, który zawierał zaledwie cztery utwory: „Pamiętnik nauczycielki”, „Niepewny”, „Władza” i „Upominek jubileuszowy”.

FELIKS FORMALCZYK: „A przecież efekt artystyczny nie jest tu wszędzie jednakowo znaczący i udany: poszczególne nowele tomu Czesława Kuriaty są nierówne wartością, **obszerniejsze są z reguły lepsze od krótkich**. Przyczyna tego tkwi bodaj w tym, iż nad swymi dłuższymi nowelami autor po prostu gruntowniej popracował, lepiej obmyślił ich budowę i zgromadził więcej materiału obserwacyjnego i refleksyjnego”.

ANDRZEJ CHRUSZCZYŃSKI: „Sam nie wiem czy to czytelnik przypadek czy też wartościujący figiel chochlika drukarskiego, ale w moim egzemplarzu „Upominka jubileuszowego” Czesława Kuriaty brak w spisie treści nowelki „Władza”. (...) **Traf chciał, że przegapiony tytuł małej prozy Kuriaty odnosi się akurat do najlepszej pozycji tomu.**

... No, a już przede wszystkim zwartość, zwartość i jeszcze raz zwartość, której brak osłabia wrażenie lektury tych na pewno bardzo ciekawych tekstów. (...) Byłbym bardzo wdzięczny Czesławowi Kuriacie, gdyby zarówno „Upominek jubileuszowy”, jak i „Pamiętnik nauczycielki” rozbudował w teksty

powieściowe, ponieważ materiału w nich na to zupełnie dość, skoro jednak postanowił ograniczyć się do miary małej prozy — trzeba już było zdecydowanie zrezygnować z wielowątkowości”.

KRZYSZTOF NOWICKI: „Ten ostatni utwór (mowa o opowiadaniu „Upominek jubileuszowy” — przyp. Cz. K.) posiada już nieprzeciętną rangę literacką. Składa się na nią swoisty klimat, tak właściwy dla najlepszych kart prozy Kuriaty, drapieżna, przenikliwa obserwacja, poprzez którą autor wyraża pewną prawdę społeczną, ilustrującą ważny proces w naszej najnowszej historii. Opowieść o chłopskim korespondencje odbywającym swój pierwszy lot samolotem i patrzącym stamtąd na przeszłość nie tylko własną, ale i na los swojej grupy społecznej — urasta do symbolu wyrażającego w sposób przekonujący konfliktowy charakter przemian, które dokonały się w Polsce”.

STEFAN MELKOWSKI: „Pomysł ten można wykorzystać zapewne w różny sposób — (chodzi o opowiadanie tytułowe tomu „Upominek jubileuszowy” — przyp. Cz. K.) wykorzystany już zresztą został w „Jak być kochaną”, ale Kuriata wydobyl na plan pierwszy elementy najmniej obiecujące — strach i skrepowanie starego chłopca. Oto pierwszy raz leci on samolotem i paskudnie się boi, a poza tym źle się czuje w wytworonym towarzystwie pasażerów samolotu, nie bardzo umie jeść kurczaka widelcem i nie konsumuje pomidora, bo to jak na maj zbyt drogi owoc... Wiem, że autor zamierzał stworzyć groteskowy świat z elementów pseudowytwornych nawyków lotowskiego *savoir vivre*’u, ale niestety to nie wyszło, przeciwnie — wyszło ośmieszenie bohatera za to (sic!), że nie ma przyzwoitego obycia. Wiadomo, że na tej drodze niewiele można osiągnąć w literaturze. A poza tym — dość to niesmaczne”.

I jak tu, proszę Państwa, wierzyć krytyce literackiej! Dotychczas więc nie wiem czy w omawianym zbiorze lepsze są obszernie opowiadania czy też krótkie, a już zupełnie mam chaos w głowie, jeśli chodzi o opowiadanie tytułowe „Upominek jubileuszowy”. A przecież przytoczyłem tylko cztery oce-

ny o zbiorze opowiadań, w którym znajdują się tylko cztery utwory. Gdybyśmy mieli do czynienia np. z tomem opowiadań zawierającym 35, 42 lub 49 utworów, oceny poszczególnych krytyków, wypisz-wymaluj, przypominałyby typowanie w toto lotka. Jakież więc wspaniałe pole do popisu miałby każdy z krytyków. Jakaż pasjonująca i trudna do wyczerpania możliwość wariantów!

A teraz nieco z innej strony, a dokładniej o casusie pana Melkowskiego.

Pisarz w naszym kraju — a szczególnie pisarz mieszkający na prowincji — nie należący do żadnych tzw. układów, nie przynależny do jakiegokolwiek ścisłej grupy, wszystko jedno jakiej, towarzyskiej, prorządowej czy opozycyjnej, służy swego rodzaju krytykom jako worek do bicia. Od lat czytuję krytyki pana Melkowskiego i stwierdzam po tych lekturach z całą odpowiedzialnością, iż pisze on krytycznie tylko o autorach, na których wie, że może się bez jakiegokolwiek ryzyka wyżywać. I taki autor-ofiara panów Melkowskich jest bezradny, bowiem do dobrych obyczajów należy nie polemizować z recenzentami.

Walka Szatana z Aniołem

W 1978 roku ukazała się moja powieść, której bohaterami są to chłopcy wołyńscy zagospodarowujący Ziemię Zachodnie, najpierw jako żołnierze Dywizji Rolno-Gospodarczej, a następnie jako właściciele indywidualnych gospodarstw rolnych.

Powieść ta jest moją najbardziej realistyczną prozą, bowiem pisałem ją korzystając z wydanych wspomnień i pamiętników osadników wojskowych oraz ich ustnych relacji w trakcie nagrywania reportaży radiowych. Oczywiście, moi bohaterowie są po ludzku sympatyczni, daleko im jednak do ideału. Zawsze bowiem wychodziłem z założenia, iż doskonali bohaterowie nie byłiby godni książki i niezbyt interesowałiby

czytelników. Zresztą i pisarze i czytelnicy wiedzą, iż doskonali bohaterowie są na ogół nieprawdziwi. Niestety, inne zdanie miewają czasami wydawcy.

I właśnie potwierdzeniem tej ostatniej uwagi niech będzie dyskusja autora wspomnianej wyżej powieści ze swoim wydawcą. A dyskusja z redaktorami nad maszynopisem to był istny przetarg o duszę bohaterów powieści. Walka anioła z szatanem. Anioł to oczywiście wydawca. Szatan — to rzecz jasna — autor. Oto fragmencik jednego z dialogów na ten temat.

Anioł czyli wydawca: Miejsce o strzelaniu na weselu proponujemy usunąć, bowiem epizod ten źle świadczyłby o polskich żołnierzach.

Autor czyli szatan: A czy nie mogło tak się zdarzyć, po prostu upili się, a w takim stanie wiadomo jak my Polacy jesteśmy uczuleni na punkcie honoru.

Anioł: Ostatecznie mogliby i strzelać, ale należało to tak przedstawić, żeby — broń Boże — czytelnik nie pomyślał...

Szatan: Przecież moi bohaterowie to także ludzie...

Anioł: Ale to żołnierze.

Szatan: Żołnierze to też ludzie.

Anioł: A dyscyplina wojskowa od czego?

Szatan: Zdarzyło się to po zakończeniu wojny, oni bardziej czuli się już cywilami niż żołnierzami. A zresztą, gdyby wszyscy żołnierze byli doskonali, nie potrzebna byłaby w wojsku dyscyplina.

Anioł: Nie mają tu nic do rzeczy filozoficzne uogólnienia. To o strzelaniu trzeba usunąć...

Szatan: A jeśli tuż po wojnie nie mogli natychmiast odzwyczaić się od strzelania.

Anioł: O, właśnie! Dlatego jeden z żołnierzy kradnie, mimo, że jest już po wojnie!

Szatan: Ten żołnierz ukradł, bo był głodny.

Anioł: To jeszcze nie upoważnia go do kradzieży.

Szatan: Może miał takie inklinacje od dzieciństwa.

Anioł: Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę, że bohater ten,

mając tendencję do kradzieży, nie zyska sympatii czytelników.

Szatan: Wręcz przeciwnie, właśnie przez to staje się on sympatyczny, bowiem popełnia kradzież z ogromnym wdziękiem podkładając pod ten czyn swoją ludową filozofię o równości wszystkich ludzi, o sprawiedliwym podziale dóbr...

Anioł: Co pan chce przez to powiedzieć? O, tego już za wiele! Czy może upiera się pan przy twierdzeniu, że i to w porządku, gdy oficer chce bez sądu zabić żołnierza?

Szatan: Oficer to też człowiek. Wpadł w złość, bo jego zdaniem delikwent podkopywał wśród żołnierzy tzw. morale.

Anioł: Od tego jest sąd.

Szatan: Akurat zdarzyło się to na froncie, na pierwszej linii.

Anioł: Pisz pan, że żołnierze — a co najgorsze — nawet oficerowie handlują wódką.

Szatan: Tuż po wojnie wódka była pieniądzem, nawet milicjantom i sekretarzom partii wypłacano część pensji w tym płynie.

Anioł: To niemożliwe.

Szatan: Mogę udowodnić. Zresztą proszę sięgnąć do pamiętników osadników, które właśnie wy wydaliście swego czasu.

Anioł: Pana powieść weźmie do ręki młody czytelnik!

Szatan: Czy wynikałoby stąd, że należy fałszować fakty?

Anioł: Mając na względzie młodego czytelnika, można by pewne fakty ominąć... Chwileczkę... Jak śmie pan przedstawiać taką ohydę... Bohaterowie powieści piją alkohol z naczyń, w których znajdowały się eksponaty zoologiczne.

Szatan: Innego alkoholu nie mieli pod ręką.

Anioł: Mogli w ogóle nie pić.

Szatan: Kiedy chciało im się pić... Pili z radości, że wreszcie skończyła się wojna.

Anioł: Niech pan przestanie! W końcowym fragmencie książki rosyjski żołnierz wybiera sobie za żonę Niemkę.

Szatan: I co w tym złego?

Anioł: To co najmniej dziwne.

Szatan: Nie ma w tym nic dziwnego. Powtarzam, moja po-

wieść jest utworem realistycznym, opartym na wspomnieniach i pamiętnikach.

Anioł: Właśnie tym bardziej nie powinien pan...

Szatan: Czego nie powinienem?

Anioł: Na każdym kroku pan swoich bohaterów ośmiesza.

Szatan: Ja ich wcale nie ośmieszam, ja ukazuję ich zdrowe, ludowe poczucie humoru... Zrozumcie, do pewnego stopnia napisałem utwór w konwencji humorystycznej...

Anioł: Zamierzając pisać utwór w takiej konwencji wybrał pan nieodpowiedni do tego temat.

Szatan: Nie rozumiem...

Nie, nie mam już siły dłużej streszczać z pamięci tego dialogu między autorem, który zachowywał się jak szatan, a wydawcą, który miał postać anioła.

Nie ma jednak powodu do zmartwienia. W efekcie wszystko kończy się dobrze. Zwycięża anioł czyli wydawca, bowiem autor czyli szatan, przyjechał z prowincji i jest ogromnie bezczelny. Zamarzyło mu się, aby jego powieść ukazała się w nadanym przez niego kształcie, ze scenami niedydaktycznymi i niemoralnymi. Jednakże autor czyli szatan, przemyca tu i ówdzie swoje niecności i jest z tego bardzo dumny. Ponadto autor-szatan to też człowiek i pociesza się, że udało mu się jednak zachować najistotniejszą wymowę powieści, a ustępstwa na jakie poszedł, nie zaszkodziły książce aż tak bardzo. Co więcej, autor-szatan cieszy się, że pozostało jednak kilka demoralizujących miejsc w powieści, udawało mu się bowiem chwilami przechytryć anioła czyli wydawcę. To i tak wielkie zwycięstwo autora czyli szatana. I nadal wciąż pociesza się autor w swojej naiwności biednego szatana, że nie we wszystkich wydawnictwach są sami aniołowie. A zatem jest szansa o wiele radośniejszego życia w przyszłości. Nawet pisarza prowincjonalnego, o jakże przemożnych tendencjach do demoralizowania.

Rok po zakończeniu studiów zostałem powołany do KOR-u (KOR — Korpus Oficerów Rezerwy) przy Oficerskiej Szkole Piechoty we Wrocławiu. Czasami, wspominając tamte czasy, mówię, że należałem do KOR-u, co w towarzystwie robi zrozumiałe wrażenie do chwili wyjaśnienia nieporozumienia. Ale ja chciałem w tej chwili nie o tym.

Wspomniane przeszkolenie wojskowe we Wrocławiu odbyłem w roku 1961; rozpocząłem je w kwietniu, tuż po ukazaniu się mego poetyckiego debiutu książkowego „Niebo zrównane z ziemią”. Pojechałem więc do Wrocławia z pokaźną paczką egzemplarzy swojej pierwszej książeczki. (Nie potrzebuję w tej chwili rozwodzić się i z emfazą opowiadać, że był to dla mnie okres radosnej euforii, która jest udziałem większości debiutantów. Wydanie pierwszej książki, o której długo marzy młodzieniec — trawestując swój własny tytuł — to prawdziwe zrównanie ziemi z niebem. Bardziej dosadnego określenia, proszę mi wybaczyć, nie znajduję, aby oddać ów stan). We Wrocławiu, podczas przeszkolenia, z ogromną wieszczą powagą i uduchowieniem, odbywałem wieczory autorskie gdzie popadło, dedykowałem kolegom swój tomik zarówno podczas ataku jak i obrony, zarówno w transzeji jak i na wartowni. Niedawno jeden z moich kolegów, z którym odbywałem wtedy przeszkolenie, pokazywał mi mój tomik z dedykacją następującej treści: „*Kłęczącemu — kłęcząc*”. Po prostu, w chwili dedykowania książki kłęczeliśmy obok siebie w dołkach strzeleckich. Wbrew pozorom treść dedykacji nie oznaczała wcale, żeśmy wzajemnie oddawali sobie hołd.

Kiermasz książki

i

akt kobiecy

W maju, jeszcze podczas odbywania przeszkolenia wojskowego, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, wydawca mego debiutanckiego tomiku „Niebo zrównane z ziemią”, zaprosiła mnie na wielki kiermasz książki aż do samej stolicy. Wybłągałem więc przepustkę u swo-

ich dowódców i w niezwykłym, a zrozumiałym podnieceniu, wsiadłem do pociągu. Na wielkim i oszałamiającym mnie kiermaszu z udziałem wielu aktualnych sław pisarskich, okazało się, że byłem w tym dniu jedynym autorem w mundurze. Wbrew moim oczekiwaniom nie budziło to u nikogo najmniejszej sensacji. Być może dlatego, że już wtedy mieliśmy sporo pisarzy noszących mundur. Podczas tamtego stołecznego kiermaszu przekonałem się również, że sam mundur to jeszcze nie wszystko, i jakże jest zwodne stare porzekadło „Za mundurem panny sznurem”. Mój mundur, i to nie byle jaki, bo podchorążego, wcale nie ściągał wzroku uroczych warszawskich czytelniczek. Natomiast od czasu do czasu podchodzili do mego stoiska żołnierze; zawsze pojedynczo i zawsze dość nieśmiało; przyglądali się z zainteresowaniem zarówno mnie jak i cienkim tomikom poezji, które przede mną leżały. Oczywiście, próbowałem z drżeniem w głosie reklamować swoje debiutanckie wiersze. Treści tej reklamy nie powtórzę, bowiem, dzięki mojej wrodzonej nieśmiałości, była to — zdaje się — typowa antyreklama.

W pewnej chwili podszedł do mnie sprężystym krokiem żołnierz w mundurze formacji lotniczej. Sympatyczny żołnierz wziął do ręki tomik. Kto z czytelników widział moją debiutancką książeczkę „Niebo zrównane z ziemią” wie, że na jej obwolucie widnieje stylizowana postać kobieca z rozwianym włosom, tak wykonana, iż na pierwszy rzut oka rysunek ten sugeruje akt kobiecy. Żołnierz stojący przede mną chwilę trzymał tom wierszy, wpatruje się w bujne włosy głowy kobiecej, następnie rozchyła książeczkę i ogląda z zaciekawieniem tylną część obwoluty, na której widnieją w manierze kubistycznej obnażone piersi kobiece... Spostrzegam jak twarz żołnierza rozpogadza się w tłumionym uśmiechu... Już w duchu cieszyłem się, iż dzięki grafice na obwolucie żołnierz za chwilę wyciągnie pieniądze i kupi moje wiersze. Nic się takiego jednak nie stało. Żołnierz dyskretnie odwinął skrzydełko obwoluty i natychmiast na jego rozpogodzonej twarzy zagościła chmura. Na skrzydełku nie było dalszych części ciała kobiecego. Styli-

zowany akt kobiecy kończył się bowiem na piersiach. Żołnierz delikatnie, nie ukrywając rozczarowania, położył przede mną zbiorek moich wierszy, i nawet nie spojrzawszy na mnie, odszedł bez słowa. W taki oto sposób, dzięki lenistwu artysty-plastyka projektującego obwolotę, nie sprzedawałem dodatkowego egzemplarza „Nieba zrównanego z ziemią”, i nie zyskałem o jednego więcej czytelnika moich wierszy. O tym niewinnym i błahym epizodzik z mego pierwszego w życiu kiermaszu książki wspominam dziś ze zrozumiałym rozrzewnieniem. Takie zabawne sytuacje pozostają bowiem na długo w pamięci.

Oto niektóre pytania zadawane podczas spotkań autorskich pod moim tzw. osobistym adresem. Poniżej przytoczonych pytań nie systematyzowałem, cytuję je z pamięci „jak leci”. Oczywiście wiele pytań powtarza się na każdym spotkaniu.

- Czy Pan pisze z głowy?
- Jakie jest Pana hobby?
- Czy jest Pan żonaty?
- Ile Pan dostaje za książkę?
- Czy ma Pan kłopoty z cenzurą?
- Jeśli ma Pan żonę, to czy daje jej do czytania swoje rękopisy.
- O jakiej porze doby Pan pracuje?
- Co Pan robi podczas pisania? (Tu pada naprowadzenie typu: niektórzy pisarze w trakcie pracy wachali zgniłe jabłka, inni moczyli nogi w gorącej wodzie, jeszcze inni ogryzali paznokcie itd.)
- Czy Pan pisze Księgi Pamiątkowe?
- Czy pisze Pan prawdę?
- Kto jest Pana ulubionym pisarzem?
- Jakich pisarzy w Polsce uważa Pan za największych?
- Dla kogo Pan pisze?
- Czy pisze Pan długopisem czy piórem?
- Czy pisze Pan od razu na maszynie?

- Czy zdarzyło się, że odrzucono Panu książkę?
- Jaki jest proces wydawniczy książki?
- Czy warto być pisarzem?
- Co Pan miał z polskiego?
- Czy lubił Pan matematykę?
- Czy dumna jest z Pana własna żona?
- Jak Pan radzi sobie ze swoim kierownikiem?
- Czy łowi Pan ryby?
- Kiedy zaczął Pan pisać?
- Dlaczego zaczął Pan pisać?
- Czy wiedział Pan w szkole, że zostanie pisarzem?
- Który z pisarzy był Pana wzorem?
- Czy lubi Pan dzieci?
- Czy ma Pan samochód?
- Jakie są Pana ulubione kolory, kwiaty, pory roku, potrawy itp.
- Czy wierzy Pan w życie pozagrobowe?
- Czy Pan pali?
- Czy ogląda Pan telewizję?
- Czy jest Pan kibicem sportowym, a jeżeli tak, to jakiej dyscypliny?
- Jak Pan myśli, dlaczego teraz Polska w piłce nożnej jest taka denna?
- Czy robił Pan w szkole błędy ortograficzne?
- Czy był Pan dobrym uczniem?
- Czy słucha Pan krytyków literackich, którzy piszą o panu?
- Czy zniszczył kiedyś Pan swój utwór?
- Czy czuje się Pan bardziej poetą czy pisarzem? (Tu wyjaśniam zawsze, że poeta to też pisarz).
- Czy zadowolony jest Pan z tego, że został pisarzem?
- O jakim zawodzie marzył Pan w dzieciństwie?
- Czy któreś z wydanych książek Pan się teraz wstydzi?
- Dlaczego Pana wiersze są niezrozumiałe?
- Czy Pan umie pisać do rymu?

— Pan jest poetą i jeszcze żyje!!! (Nie pytanie, a zdziwienie).

— Czy poeta jest normalny?

— Czy z pisania można wyżyć?

— Dlaczego nie pisze Pan o Koszalinie i Ziemi Koszalińskiej?

— Czy zawsze Pan zmyśla w książkach?

— Skąd Pan bierze tematy do książek?

— Kiedy ma Pan natchnienie?

— Którą ze swoich książek uważa Pan za najlepszą, a którą za najgorszą?

— Czy zazdrości Pan innym pisarzom sławy?

— Czy wygwizdano kiedyś Pana na spotkaniu autorskim?

— Czy Pan lubi siebie?

— Czy musi Pan pisać?

— Czy czyta Pan własne książki?

— Czy Pan żyje w zgodzie z sąsiadami?

— Czy ustępował Pan w dzieciństwie starszym miejsca w autobusie?

— Czy pije Pan dużo kawy?

— Jaki ma Pan stosunek ze swoim kierownikiem?

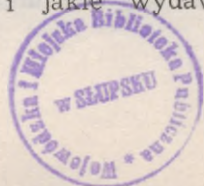
— Czy pije Pan wódkę, a jeśli tak, to czy pisze pod wpływem alkoholu?

— Czy pisząc książki ściąga Pan od innych?

— Czy...? Dlaczego...? Po co...? Jak...? itp., itd.

Rzecz jasna to tylko niektóre z pytań.

(Na pytanie: „Dlaczego nie lubi Pan jeździć za granicę?” odpowiadam, że dlatego, bo spotkałem kiedyś w Jugosławii znajomego dyplomatę, który wynajął bardzo tanie mieszkanie oddalone o kilkadziesiąt kilometrów od Belgradu. Przytaczam również przykład innego mego znajomego, który będąc na placówce dyplomatycznej we Francji, mieszkał w najgorszej dzielnicy. Dlaczego tak kiepsko powodziło się za granicą obu polskich dyplomatów? Odpowiedź jest niezwykle prosta: obaj ciułali pieniądze (dewizy), jakie pochodziły z różnicy jakie im wypłacano na porządne mieszkania i jakie wydawali



na mieszkania wynajęte. W Polsce także zarabiali w złotychkach za wynajmowanie swoich mieszkań na okres pobytu za granicą).

O spotkaniach autorskich można nieskończenie, bowiem jeszcze w latach siedemdziesiątych były one jednym z nieodłącznych atrybutów współczesnego życia literackiego. Mam nawet wrażenie, iż chwilami to one właśnie wyznaczały wśród czytelników rangę pisarza, a nie jego twórczość sensu stricto. Jednakże zamiarem moim nie są poważne rozważania na ten temat, zostawiam to innym, mądrzejszym ode mnie w tej materii. W tym miejscu chciałbym opowiedzieć o specyfice spotkań autorskich na prowincji czyli w tzw. głębokim terenie, szczególnie o spotkaniach autorskich pisarza, który nie posiada samochodu. A do takich właśnie należy autor tych słów.

Pisarz, który nie ma samochodu a decyduje się na wyjazd na spotkanie autorskie, musi często nocować w terenie. Dziesiątki razy i ja w przeciągu ćwierćwiecza nocowałem we wsiach i pegeerach, w małych miasteczkach. I wbrew kłopotliwym niejednokrotnie sytuacjom, muszę tu wyznać, w większości przypadków byłem zadowolony z tych komiwojażerskich noclegów, szczególnie na wsi. Być może dlatego, że natura ciągnie wilka do lasu, mnie więc ciągnie na wieś skąd pochodzę. Zostając na dobę i dłużej na wsi odświeżałem niejako jej tchnienie, jej obyczaje, poznawałem troski, rejestrowałem zmiany, jakie zachodziły w społeczności wiejskiej, w mentalności ludzi. Nigdy bym tych „aktualności wiejskich” nie poznał, gdybym nie odbywał spotkań autorskich, a ściślej mówiąc, gdybym, z powodu nieprzychodzących autobusów lub ograniczonych ich kursów, nie był zmuszony zostawać na wsi na dłużej. Dzięki temu uczestniczyłem w wielu uroczystościach, na których kompromitowałem się jako poeta, którego proszono o wygłoszenie improwizacji — na ogół zawsze znalazł się chłop umiejący na poczekaniu, „z głowy” ułożyć okolicznościowy poemat rymowany. Byłem także na chrzcinach, raz nawet wybroniłem się od zostania ojcem chrzestnym, gdy planowany do tej roli krewny z daleka — nie przyjechał. Wypilem

z rolnikami sporo gorzały, poznałem wiele ich bolączek w różnych okresach naszych przełomowych epok, które jakże boleśnie odbijały się na sytuacji wsi.

Do miejscowości, w których odbywałem spotkania autorskie, ze stacji kolejowej lub przystanku autobusowego wożono mnie samochodem, wozem drabiniastym, motocyklem, dwukółką, starym powozem, transportowano przez jezioro Łódka. Najbardziej jednak lubiłem dwukółkę, najpopularniejszy swego czasu wóz służbowy dyrektorów pegeerów.

Noc z przygodami po spotkaniu autorskim

A oto mój najoryginalniejszy nocleg po pewnym spotkaniu autorskim we wsi Wyszewo koło Koszalina.

Na spotkanie to pojechałem autobusem PKS. Pamiętam, że był jesienny, zimny wieczór. Spotkanie autorskie udane, a po jego zakończeniu złożyłem kilkanaście dedykacji na egzemplarzach swoich książek. Kiedy wyszedłem z sali zbliżała się

już godzina dwudziesta druga. Poinformowano mnie, że za pół godziny mam ostatni autobus do Koszalina, więc z powodzeniem zdążę, bowiem do przystanku przy głównym trakcie jest niedaleko. Przewodniczący miejscowego koła Związku Młodzieży Wiejskiej, który pełnił rolę gospodarza, chciał mnie odprowadzić na przystanek. Odpowiedziałem, że nie jestem bojaźliwy i sam tam dojdę, po co ma się niepotrzebnie fatygować. Sympatyczny chłopiec nalegał, widząc jednak moją zdecydowaną postawę, ustąpił. Na przystanku czekałem bezskutecznie dwie godziny, nie tylko, że nie przyjechał autobus, ale i nie złapałem żadnej okazji. Zmarznięty na kość wróciłem do wioski. Stałem bezradnie w jej centrum. Do pierwszej lepszej chaty nie chciałem pukać i niepokoić ludzi, po prostu

nie miałem odwagi. Nie wiedziałem gdzie mieszka mój opiekun, przewodniczący koła ZMW, nie wiedziałem też w którym domu mieszka sołtys. Mimo tak późnej pory może bym i zapukał do jakiegoś domostwa, gdybym miał pewność, że trafię na któregoś z uczestników spotkania.

Nagle obok jednej z zagród zobaczyłem ciemny zarys stogu. Podszedłem i energicznie zacząłem przygotowywać posłanie. Wyciągnąłem ze stogu trochę słomy, rozścieliłem u jego podnóża i położyłem się. O spaniu jednak nie było mowy. Niczym w febrze wstrząsały mną zimne dreszcze, od wilgotnej ziemi atakował niesamowity ziąb. Na dodatek złego obok, prawie ocierając się o mnie, zaczęły przebiegać jakieś zwierzęta, króliki czy koty, w ciemności nie mogłem rozpoznać. W pewnej chwili pojawiły się psy. Nie, nie wytrzymam tu, no i zapalenie płuc murowane. Wstałem, i podrygując w takt modnego wówczas rokendrola, usiłowałem się rozgrzać. Na szczęście niebo trochę się rozjaśniło, zaświeciło nawet kilka niemrawych gwiazd. Nieopodal, w trzeciej czy czwartej zagrodzie, zobaczyłem szopę z otwartymi drzwiczkami prowadzącymi na stryszek. A więc tam będzie cieplej, pomyślałem sobie. W dodatku może być słoma albo siano. Przeszedłem po grzaskim gruncie kilkadziesiąt metrów. Pod nogami bulgotało, w moich pantofelkach czułem zimną, nieprzyjemną maź. Wdrapałem się na przystawioną do szopy drabinkę. Rzeczywiście było tutaj siano. Rzuciłem teczkę z moimi tomikami wierszy i zbiorami opowiadań czyniąc z nich podglówek; ułożyłem się do spania. Obciągnąłem na siebie tyle siana, ile się tylko dało. Nie czułem już tego piekielnego wilgotnego ziąbu, dreszcze także mnie opuściły, psy tutaj również nie mogły się dostać. Nagle rozległy się pode mną jakieś piskliwe pocharkiwanie; poznałem w mig znajome odgłosy świń. Czekałem z godzinę, zwierzęta ani o pół tonu nie zniżyły dźwiękowych efektów swoich harców. Czekałem jeszcze, także na darmo. Co więcej, odgłosy te wciąż natężały się, stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. Pod stogiem było przeraźliwie zimno, tutaj jest znacznie cieplej, powiedziałbym nawet ciepło i przytulnie; tutaj nie ma psów, ale są świny, z powodu któ-

rych widoki na zaśnięcie to marzenie ściętej głowy. Jestem ze wsi, ale nigdy nie przypuszczałem, że niewinne świnki potrafią przez całą noc tak wytrwale rajcować. Jeżeli zasną raniutko, kiedy zostaną nakarmione (być może teraz z głodu tak kwiczą), wtedy pojawi się gospodarz po siano dla bydła. Pół biedy, jeśli był on na spotkaniu autorskim, sytuacja moja będzie jednak nie do pozazdroszczenia, jeżeli mnie nigdy nie widział. Gospodarz biorąc siano może mnie także przypadkowo dźgnąć widłami. (Podobny epizod, na podstawie tej właśnie sytuacji z autopsji, wprowadziłem do swojej powieści „Naprawdę już po wojnie”).

Kiedy już na dobre rozwidniło się, chwyciłem aktówkę z własnymi książkami i drżąc ze strachu, ostrożnie, aby nikt mnie nie zauważył, zszedłem powoli ze stryszku. Znowu stanąłem bezradnie pośrodku wsi. Postanowiłem dojść do głównej szosy, czyli wrócić na przystanek autobusowy — a nuż będę miał teraz więcej szczęścia i złapię jakiś przejeżdżający pojazd. W ciągu godziny nie pojawił się żaden samochód jadący w stronę Koszalina. Potem przemknęły dwie ciężarówki nie reagując na moją rozpaczliwie uniesioną rękę. Rad nie rad wszedłem do starej na wpół rozwalonej budki, która ludziom oczekującym na autobus miała służyć za schronienie. Niestety, zamiast jakiegokolwiek podłogi, była goła ziemia, jeszcze bardziej wilgotna niż pod stogiem słomy, gdzie miałem swoje pierwsze legowisko. Na szczęście wewnątrz budki przy jednej ze ścian, około pół metra nad ziemią, zauważyłem deskę przypominającą półkę. Ku memu zdziwieniu wytrzymała mój ciężar (byłem wtedy o dziesięć kilogramów lżejszy!). Na desce-półce — ze zmęczenia na przemian zapadając w sen i budząc się z zimna — przeleżałem do pierwszego rannego autobusu do Koszalina.

Przez wiele lat, które upłynęły od tamtej pamiętnej dla mnie nocy, zawsze, kiedy przejeżdżałem obok tej drewnianej budki PKS-u, patrzyłem na nią z rozrzewnieniem. Bądź co bądź, dała mi kiedyś schronienie. Niestety, drewnianą budkę w ostatnich latach rozebrano, w zamian postawiono nowocze-

sny przystanek z betonu — i co najgorsze już bez piętra w postaci wspomnianej półki, która służyła mi za legowisko. Strach pomyśleć, gdybym miał kiedyś nocować na zimnym cemencie! Odbywam przecież nadal spotkania autorskie w terenie — i nadal nie mam własnego samochodu.

Jeden z pierwszych Międzynarodowych Plenerów Plastyków i Teoretyków Sztuki we wsi Osieki koło Koszalina. Jest ciepły cichy wieczór sierpniowy, zapada zmrok. Idę obok Juliana Przybosia, który już od kilku minut milczy. Nagle dobiegają do nas przytłumione odgłosy, w pierwszej chwili trudne do zidentyfikowania.

— To rechoć żab — odzywamy się prawie jednocześnie.

Po kilku minutach zza pagórka wychylają się powoli dwa traktory. Patrzymy na siebie z zażenowaniem, zawstydzeni.

— Wracamy — z niezadowoleniem mówi Julian Przyboś — Nazbyt daleko o b a j odeszliśmy od wsi.

I to odezwanie się wybitnego poety pochodzącego ze wsi nie było tylko dosłowne.

Julian Przyboś

Zawsze dziwiłem się publikowanym i w różnych formach głoszonym opiniom o Julianie Przybosiu. Na przykład o jego stosunku do młodych poetów.

Nie chcąc w tym miejscu tych znanych poglądów przytaczać, powiem o kilku swoich odczuciach, które, zastrzegam się, nie pretendują do nieomyślności. Są bowiem tylko odczuciami.

Wydaje mi się, że Julian Przyboś, mając w ogóle obsesję młodości w sensie fizycznym, miał również obsesję młodych poetów w sensie kontynuatorów jego idei poetyckiej. W zasadzie chłonał młodych, którzy po prostu oszukiwali go przytając mu, czy wpadając w tok wypowiedzianych przez poetę

znanych wszystkim jego poglądów. Niektórych młodych poetów odpychała jego zimna posagowość, mentorstwo i ciągły dydaktyzm. Przyboś potrafił egzaminować młodego człowieka niczym ucznia przy tablicy, robił to najczęściej cytując wiersz w języku obcym. Jeśli słuchający go poeta nie podał autora cytowanego utworu lub nie uchwycił sensu cytatu, wygłaszał wtedy długie kazanie na temat konieczności nauki języków obcych, pożytku czytania obcej poezji w oryginale. Lubił wygłaszać maksymy, sentencje, zarówno polskie jak i łacińskie, a także w innych językach. Mówił wiele o prawości i sprawiedliwości. To wszystko brzmiało często zbyt kaznodziejsko i denerwowało młodych. Julian Przyboś chciał zawojować młode pokolenie wygłaszając idee wprost. Jak niewielu z wybitnych poetów, zależało mu bardzo na zdobyciu młodych. Jak już wspomniałem, wynikało to z jednej strony, z jego obsesji młodości w sensie fizycznym, jak i z poczucia samotności we własnym pokoleniu. Stąd też zależało mu bardzo na kontynuatorach jego idei poetyckich. Słowem, Julian Przyboś miał obsesję młodych, młodzi obsesję Juliana Przybosia. Młodzi przeciwstawiali mu się (nieraz w nie najbardziej wybrednej formie), bowiem zetknięcie się z mistrzem awangardy czyniło ich małymi. I tego nie mogli mistrzowi darować za życia. Słuszność tych domysłów potwierdza zmiana stosunku młodych poetów do Przybosia po jego śmierci. Owe peany młodych drukowane w prasie tuż po śmierci „ojca awangardy” to nic innego jak chęć wyzwolenia się spod presji wybitnego poety. Nieważny jest więc sens tych peanów, a źródło, które je zrodziło. (I ta sama, o paradoksie, przyczyna zdecydowała, że szybko „zapomniano” o Przybosiu).

Inny powód dlaczego Julian Przyboś Ignął do młodych, to wspomniane wieczne poczucie samotności i to zarówno jako człowieka i jako poety. Ten trudny twórca dążył do najwszechstronniejszego zrozumienia się z innymi ludźmi, poprzez swoją poezję chciał się zjednoczyć z innymi. Chciał zniszczyć poczucie samotności nabyte szczególnie w okresie międzywojennym, gdy działały z powodzeniem grupy poetów, które bez względu na no-

we kierunki w poezji, zawsze były „na wierzchu”. Stąd niechęć Przybosia do Skamandra, stąd niechęć do Gałczyńskiego i innych. Wydaje mi się, że atakując tych poetów, Przyboś jakby mówił: „Łatwo się rozumieć to znaczy rozumieć się płytko”. Czyż nie ma w tym sporo racji? Chciał rozumieć się głęboko i w treściach najważniejszych, chciał rozumieć się w języku przez siebie stworzonym. I tu także jakby mówił mając na myśli własną poezję: „Kto nie rozumie mego języka, niepodobnego do wszystkich innych języków, jest niewiele wart”. Julian Przyboś językiem innych, językiem powszechnym i tradycyjnym, nie chciał przemawiać, bo przestałby wyrażać siebie. Był zbyt wielkim rygorystą dążącym do oryginalności, aby na przykład, sięgnąć do formy wiersza, którą uprawiały całe pokolenia poetów przed nim. Czasami wydawało mi się, że gdyby nie było to absurdem, stworzyłby swój własny język, nawet w sensie dosłownym, jak Joyce pisząc jedną ze swoich książek. Dowodzą tego nowe słowa w jego wierszach (nie neologizmy), tendencje te także widać w wierszach dla Uty. Nie miejsce tu jednak, aby szerzej o tym pisać — zostawiam to krytykom literackim.

Sytuacja osamotnienia poety, zarówno w życiu psychicznym, jak i literackim, a także fakt niezrozumienia jego poezji — wszystko to nastrajało go bojowo. Czyniło czujnym. Wydaje mi się, że Przyboś potępiając innych, robił to nie tyle dlatego, aby ich niszczyć, ale, żeby siebie bronić. Przyboś jako poeta lotu, dynamiki i przestrzeni wciąż miał bolesne uczucie, że rzeczywistość go więzi; że jest poetą zbyt mało popularnym, za mało, jak na miarę własnej poezji. A tego, że krępują go niektóre własne dogmatyczne reguły poetyckie, nie chciał uświadamiać sobie.

W Julianie Przybosiu istniały przeciwieństwa. Mianowicie, w poezji był rozdynamizowany, w ciągłym ruchu, szybujący w przestworza, lekki lekkością światła. W sposobie bycia nosił się sztywno, posągowo. Zawsze wydawało mi się, że Julian Przyboś wciąż umyślnie, nawet chwilami największym wysiłkiem woli, tłumi swoją lekkość, która w nim jest. Może to zo-

stało z okresu jego profesury w Cieszynie? Autor „Najmniej słów” jakby wciąż bał się sytuacji, które zawierałyby choćby najmniejsze pozory ośmieszające go. Stąd też często „nie miał poczucia humoru”; jego humor był zimny, nie emocjonalny. Nawet w gestach trzymał samego siebie w ryzach a jeśli już zrobił gest, chciał mu nadać ważną, głęboką treść. Tu także widać konsekwencje jego poetyckich idei przenoszonych w świat rzeczywisty. Poprzez swój inny sposób bycia Przyboś jakby powtarzał samemu sobie: „Jeśli choć trochę będę podobny do innych, będzie to groźba przeciętności”. Czy ktoś mi wskaże innego wybitnego polskiego poetę współczesnego, który w tak bezpośredni sposób, za wszelką cenę chciał zjednoczyć poezję z życiem — nawet w najdrobniejszych odruchach.

I jeszcze jedna uwaga na zakończenie, już ostatnia. Nikt nie zauważa, że gdyby Julian Przyboś zrezygnował ze swoich, choćby niektórych, rygorystycznych zasad w poezji, zostałby poetą równie popularnym jak ci, których z taką pasją atakował broniąc siebie.

W dziesięć lat po śmierci Juliana Przybosia napisałem o nim taki wiersz:

*Chciał być niezależnym
także od czytelników
więc nie pamiętają o nim*

*Został zapomniany
nawet przez poetów
którzy tak dużo
od niego wzięli*

*Budował metafory
a czytelnicy chcieli słowa
które można wziąć jak chleb
a jeszcze lepiej
jak torcik z Pikadora —
Czytelnicy chronili głowy
przed murem metafor*

*Podzielił los Norwida
bo trzeba co najmniej wieku
aby do końca zrozumieć
jedną prawdziwą
metaforę —*

*A może to właśnie
tylko klęska metafory —
Jeśli nie ma dwóch rzeczy
tych samych —*

Na ogół wyobrażenia Czytelników o pisarzach bardzo odbiegają od rzeczywistości. Według jakiegoś stereotypu czytelnicy budują swój własny obraz pisarza, nawet jego wygląd i sposób zachowania się. Być może obraz ten tworzą według modelu pisarza przekazanego przez tradycję i legendę, modelu utrwalonego w literaturze. Jest to obraz — w większym czy mniejszym stopniu — wyidealizowany. Często zetknięcie się bezpośrednio z pisarzem — nawet największym — wielbicielem jego książek przynosi rozczarowanie. Wyobrażają oni bowiem pisarza jako osobę wyjątkową, niepodobną do zwykłego śmiertelnika. Ja także najzwyczajniej po ludzku rozczarowałem się do kilku pisarzy, których uwielbiałem w czasach chłopięcych i młodzieńczych, z wypiekami na policzkach pochłaniając ich książki. Jeden, z takich kiedyś uwielbianych przeze mnie pisarzy, zraził mnie swoim niezwykle wyrachowaniem i sposobem bycia nie odpowiadającym moim wyobrażeniom i wręcz tchórzostwem w postępowaniu. Kiedy wyjechałem z tym pisarzem za granicę w jakiejś delegacji, zmęczył on mnie śmiertelnie swoją megalomanią i prymitywnym dydaktyzmem do tego stopnia, że unikałem go potem jak ognia. (Nieprzyzwyczajnością byłoby w tym miejscu wymienienie jego nazwiska).

Przekonałem się, iż po osobistym zetknięciu się ze mną wielu czytelników także rozczarowało się do mnie. Zrozumiałem, iż nie odpowiadam ich wzorcowi wyidealizowanej postaci

pisarza. Wystarczył nawet fakt, że nie odpowiadałem powier-
chowością ich wyobrażeniom.

Intruz własnego spotkania autorskiego

Spotkanie autorskie, o któ-
rym opowiem miało miejsce w
pierwszych latach sześćdziesią-
tych. Zaproszono mnie do bi-
blioteki w pewnej dużej wsi
województwa koszalińskiego.
Słyszałem wiele o tej wzoro-
wej, jednej z najlepiej działają-
cych terenowych bibliotek,

szczególnie wiele dobrego mówiono o jej kierownicze, świet-
nej organizatorce — właśnie dzięki niej powiat zajął pierwsze
miejsce w województwie pod względem ilości czytelników
oraz liczby przeczytanych książek.

Wybrałem się na tamto spotkanie autobusem PKS-u.
Pamiętam dobrze tamten dzień. Jesień w pełni, dnie już krót-
kie, wieczory szybko zapadają. Tamtego dnia trochę mżyło, za-
cinał zimny wiatr. Po wyjściu z autobusu otuliłem się swoim
cienkim płaszczem ortalionowym (powszechnie wtedy noszo-
nym) i przebiegłem chyłkiem przez jezdnię. Zacząłem rozglą-
dać się pilnie, bałem się, że zapadający zmrok utrudni mi zna-
leżenie biblioteki. Na szczęście budynek ten był na wprost
przystanku autobusowego. Przyśpieszyłem kroku; wiadomo bo-
wiem, iż nawet najsubtelniejsze liryki czytane przez zmoczone-
go jak kura poetę słabiej przemawiają do słuchaczy. Przed
drzwiami biblioteki zgromadziła się grupka młodzieży, w wej-
ściu stała w świetle mdławej żarówki starsza pani i energicznie
zapraszała do środka. Niektórych próbowała nawet siłą prze-
ciągnąć przez próg. Zbliżyłem się do wejścia nieśmiało zatrzy-
mując się przed energiczną kobietą o bystrej twarzy. Stałem
kilka minut niepewnie przed progiem biblioteki, nie chcąc się
niegrzecznie przepychać. Musiał to być obrazek naprawdę

sielski. Oto stoi otulony płaszczem ortalionowym niepozorny 23-letni młodzieniaszek wzrostu Wołodyjowskiego — a moje wtedy ówczesne sześćdziesiąt kilogramów wagi nie dodawało mi powagi (przepraszam za niezamierzony rym). Wciąż wzrastająca trema, która nigdy nie odstępowała mnie przed każdym spotkaniem autorskim, przedłużała moje niezdecydowanie przed wejściem do biblioteki. Wreszcie odzywam się cicho w te słowa:

— Czy tutaj odbędzie się spotkanie autorskie? — Głosik mój jest potulny i drżący; byłem wtedy znacznie subtelniejszy, bom pisał tylko liryki i krótkie impresje miłosne prozą. Dziennikarstwem dopiero zacząłem się zajmować.

Energiczna pani, nie patrząc na mnie, odpowiada stanowczo:

— Proszę wejść, tylko szybko i nie rób zamieszania!

Jednocześnie z tymi słowami pociąga mnie za ramię wypychając do budynku bibliotecznego. W taki oto sposób znalazłem się błyskawicznie w sali, która okazała się czytelnia. Stał tu szeroki stół prezydialny nakryty pięknym zielonym sukniem, na nim kwiatki, dużo kwiatów w doniczkach. Na ścianie litery z bristolowego papieru ułożone w hasła o literaturze, o książce, cytaty z klasyków, złote myśli. Nad tym wszystkim dominował ogromny napis: WITAMY POETĘ ZIEMI KOSZALIŃSKIEJ. Rozglądam się wokoło. Sama młodzież. Dorodne, jak to się mówi stylizując określenie na ludowo, dziewczęta jak łanie, a chłopaki jak zdrowe dębczaki. Jest także kilku najmłodszych obywateli, którzy przyszli tu nie o własnych siłach, mianowicie skorzystały z niezawodnego od początków ludzkości środka lokomocji jakim jest własna mama. Część osesków, niczym strudzeni kolarze, posila się na poszczególnych podetapach. Patrzę na zegarek: jest godzina osiemnasta czterdzieści pięć, co oznacza, że za kwadrans mam wystąpić. W tejże samej chwili pojawia się kierowniczka biblioteki, wciąż pełna werwy i zaaferowana. Stojących sadza, siedzących w końcowej części sali przesuwają do przodu na wolne miejsca. Wyraźnie jest przejęta wydarzeniem, które ma nastąpić za kwadrans. Na jej twarzy pojawiają się wypieki, najpewniej z emocji oczekiwania na

autora. Podbiega do stołu, przesuwa doniczki z kwiatami, tak je ustawia, aby na środku była wolna przestrzeń, aby nie zasłaniały one pisarza, który tam usiądzie. Tak, kierowniczką szczerze przejmując się spotkaniem, niezwykle starannie je przygotowała. To wszystko jeszcze bardziej mnie onieśmiela, potęguje i tak już nielichą treść. Trwam jeszcze chwilę cicho w kątku sali. W momencie, gdy kierowniczką kieruje się w stronę drzwi wejściowych, podchodzę do niej krokiem „raz kozie śmierć”.

— Proszę pani... — mówię i prawie błagalnie, przepraszając cichną.

— Nie dość, że cię posadziłam, to jeszcze mi chuliganisz! — mówi kierowniczką groźnie marszcząc czarne brwi. — Widzi pani, on nawet nie zdjął płaszcza! Skaranie boskie z tymi chłopaczyskami! — skarży się kobiecie obok.

— Przepraszam panią... — bąkam pod nosem skruszony i wycofuję się na swoją dawną pozycję.

— Skaranie boskie!... — Słyszę jeszcze jej słowa, ale mnie udało się już cichutko i sprytnie ukryć w swoim kątku, w którym czuję się bezpiecznie.

Tak, myślę sobie, skaranie boskie z takimi jak ja. Tyle kwiatów, chyba wypożyczonych co najmniej z kilkunastu chałup ze wsi, ogromny stół, piękne zielone sukno, nie mniej niż tydzień pracy społecznej poświęconej na wykonanie haseł, z których najwięcej roboty pochłonęło to największe, witające poetę tej ziemi... Teraz pilnowanie niesfornej młodzieży wyrzucającej się na potańcówkę, która — jak wnioskowałam z szepcowań obok — już dawno rozpoczęła się w remizie strażackiej. Rozumiem doskonale zapobiegliwą kierowniczką biblioteki, więc cicho, jak najciszej siedzę na brzeźku ostatniej ławy. Znowu patrzę na zegarek: jest punktualnie godzina dziewiętnasta. Ze swego dobrze zamaskowanego kąca pilnie obserwuję kierowniczką, która od pewnego czasu co kilka minut, jak fryga — mówiąc językiem wsi „jak maszyna” — na przemian to wybiega na dwór, to znów wraca natychmiast na salę. Z każ-

dą minutą wzrasta jej zdenerwowanie i podniecenie. Kręci się po czytelní, bez przerwy rzuca najprzeróżniejsze uwagi pod adresem niesfornie siedzących młodzieńców in spe miłośników współczesnej młodej literatury. Chłopcy jednak niewiele robią z jej uwag. Nagle — jakby sobie coś ze strachem przypominała — kierowniczką biegnie w stronę stołu prezydialnego, ze zdenerwowaniem uchyla kotarę za nim. Widzę rząd małych dziewczynek w białych bluzeczkach i kolorowych spódniczkach. Wszystkie dziewczynki trzymają sztywno przed sobą kwiaty. Kierowniczka jednej z nich poprawia bukiet, drugiej kokardę, trzeciej kołnierzyk bluzeczki, czwartej fałdki plisowanej spódniczki. A dobrze ci tak, myślę bardziej z rozbawienia niż z mściwości! Zobaczmy, kto kogo teraz przetrzyma! Rozsiadam się na swoim miejscu już o wiele pewniej. Nie, nie jestem godzien tego wszystkiego, tych honorów jakie mi przygotowano. Kierowniczka wraca zza kotary i łapie dwóch młodzieńców za ramiona, którzy chcieli w najbezczelniejszy sposób zwiać. Młodzieńcy tłumaczą się skuleni pod jej groźnym wzrokiem, że chcieli wyjść tylko na chwilę, jeden z nich, pewnie ten bezzcelniejszy, mówi, że nie można już nawet wyjść za własną potrzebą. „Tu nie ma własnej potrzeby?” — kobieta podnosi głos i dalej dodaje z wyrzutem, chcąc niesfornych wielbicieli literatury zawstydzić — „Pan Kuriata jest szanowanym, poważnym pisarzem, wstydzilibyście się...” — i pewnie dodała jeszcze kilka pochwał pod moim adresem, ale ja już tego nie usłyszałem, bowiem moja emocja spotęgowana do szczytu, stłumiła uwagę. Po chwili jednak znowu usłyszałem ten sam głos kobiety: „Pan Kuriata na pewno nie zrobi nam zawodu i przyjedzie. Widocznie coś się stało, pewnie spóźni się, ale przyjedzie na pewno...” Drzę nadal z podniecenia jak ptak w złotej klatce. Słyszę głos mojej uroczej sąsiadki z ławy przede mną: „A dobrze im tak, chcieli urwać się na potańcówkę! Pewnie, że każdy wolałby być na potańcówce!” Rozumiem, urocza dziewczyna ma rację. Wstrętni egoiści przyłapani na próbie ucieczki! Patrę znowu na zegarek. Jest już godzina dziewiętnasta piętnaście! Nagle robi mi się żal kierownic-

ki, bowiem uświadamiam sobie z całą przejrzystością, że ona chciała powitać mnie jak tylko mogła najpiękniej; tyle napracowała się, a obecna męka z powodu spóźnienia się pisarza może być porównana tylko do Golgoty. Nie mam jednak odwagi do niej podejść, bo przecież znowu mnie zbeszta, nie da mi dojść do słowa.

Rozglądam się nieznacznie po sali, jakbym oczekiwał skądś niespodziewanego ratunku. Uchyła się znowu kotara i ponownie widzę dziewczynki stojące na baczność z kwiatuskami, niczym żołnierze prezentujący broń podczas parady. Tych niewinnych istot zabolaly już pewnie nóżki, a ręce zdretniały od trzymania twardych łodyg pięknych kwiatów. „Mam pomysł, mam, mam...!” — krzyczę do siebie w duchu i robiąc desperacki wysiłek, wstaję. Sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki, podchodzę do kierowniczk, która stoi w drzwiach czytelni, jakby dalej zagradzała chcącym wydostać się stąd.

— Proszę pani, pani kierowniczo! — Kobieta odwraca się z twarzą ściągniętą grymasem złości i po raz trzeci tego wieczoru uderza we mnie błyskawicami swoich oczu, otwiera usta... Ale ja mam oto już otwarty dowód osobisty, który trzy mam nieruchomo przed nią. Kobieta kilkanaście sekund uważnie wpatruje się w dowód, a potem przenosi wzrok na przemian: na mnie z dowodu i ze mnie na dowód. Chyba z pięć razy powtórzyła tę czynność. Wreszcie zatrzymała wzrok na mnie.

— A to niech będzie! — głos kobiety tchnął złością i ogromnym ponad ludzkim zdziwieniem. A jej słowa miały oznaczać, tak się przynajmniej domyślałam, iż w sytuacji, gdy nie przyjechał ten, na którego czekali, niechże odbędzie spotkanie ten, który oto się zgłasza. Wieczór autorski przecież musi się odbyć. I rzeczywiście, odbyłem trzygodzinne ciekawe i naprawdę tzw. udane spotkanie autorskie. Urządzono nawet część artystyczną, w czasie której dzieci recytowały moje wiersze. Do dyskusji, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości, kierowniczka biblioteki solidnie wszystkich przygotowała, słuchacze wykazali bowiem dobrą znajomość moich skromnych utworów.

Po spotkaniu kierowniczką biblioteki, która okazała się naprawdę przemiłą i inteligentną kobietą, bardzo mnie przepraszała za wyżej opisane perturbacje przed rozpoczęciem spotkania. To wszystko dlatego, mniej więcej tak się usprawiedliwiała, że sądząc po mojej twórczości i sławie, jaką mam w województwie, wyobrażała sobie mnie jako kogoś o wiele starszego. Co najmniej z brzuszkiem, wyłysiałego, no i w jej wyobrażeniu nie mogłem mieć mniej niż czterdzieści lat. Towarzysząc mi do przystanku PKS wciąż mnie przepraszała. Ona naprawdę chciała jak najlepiej i nigdy w życiu... Oczywiście, uspokajałem ją, absolutnie wierzę w jej zapewnienia. Co, przysięgam, zgodne jest z prawdą.

— To, co się stało, pochlebia mi i świadczy o tym, że mam większą sławę niż na nią zasłużyłem swoją twórczością — tłumaczyłem jej z uśmiechem. — Przynajmniej będę miał co opowiadać podczas następnych spotkań autorskich... A za dwadzieścia lat, proszę pani, pewnie pozazdrosczę sobie obecnemu, którego najpewniej już nic podobnego nie spotka, bo będę wtedy rzeczywiście podtatusiały.. — widząc jej wciąż zatroskaną minę, skończyłem poważnym tonem.

I wszystkie moje przewidywania spełniły się szybciej niż przypuszczałem.

Kiedy już wsiadłem do autobusu w twarzy kierowniczki, a szczególnie w jej oczach, znowu dostrzegłem niepewność i powątpiewanie. Coś się jej widocznie w dalszym ciągu nie zgadzało. Ona chyba jednak całkowicie i do końca nie uwierzyła w moją autentyczność — mimo dowodu osobistego i innych niezbitych argumentów moją tożsamość potwierdzających. Oto, co znaczy potęga ludzkiej wyobraźni, która bywa silniejsza od najoczywistszej rzeczywistości! Już w autobusie, po kilku kilometrach drogi, przypomniałem sobie, że jednak dziewczynki zza kotary nie wręczyły mi przygotowanych kwiatów. A przecież to ja, litując się nad ich męką, objawiłem się tak bohaterko przed kierowniczką, która — mam nadzieję — nie zrozumie mnie źle, jeśli kiedykolwiek przeczyta tę opowieść o naszym pamiętnym spotkaniu przeszło dwadzieścia lat temu.

I oto nagle nawiedza mnie refleksja. Ostatnio, kiedy wyglądam już nazbyt poważnie, zwierzył mi się jeden z czytelników, iż po przeczytaniu niedawno napisanego przeze mnie opowiadania sądził, iż wyszło ono spod pióra dwudziestoletniego autora. Choć nie powiedział mi ów czytelnik na jakiej podstawie wysunął takie przypuszczenie — domyślam się jednak przychyny, i robi mi się naprawdę smutno. A zatem, Droga Pani Kierowniczko, była Pani dla mnie stokroć miłsza, uważając mnie dwadziścia lat temu za tak poważnego pisarza!

Pułapka

czyli

patron klasy

Swego czasu, a miałem wtedy niespełna trzydzieści lat, Pani Profesor Z. Z., nauczycielka jednej ze szkół średnich w Białogardzie, zaprosiła mnie na spotkanie autorskie z klasą, której była wychowawczynią. Oczywiście, rzecz potraktowałem normalnie, pomyślałem po prostu, iż zaprosiła mnie, bowiem jestem koszalińskim pisarzem, co więcej, pewnie za-

decydował o tym wzgląd, iż maturę zdawałem właśnie w Białogardzie. Nawet ucieszyłem się z tego zaproszenia, bowiem lubię odbywać spotkania autorskie w szkole, ciekawe są przecież rozmowy z młodzieżą, która jest bardziej odczytana od przeciętnych słuchaczy, zawsze bardziej zadziorna.

Okazało się, że była to pułapka.

Już podczas pierwszego spotkania Pani Profesor zaproponowała uczniom mnie jako patrona ich klasy. Dodała przy tym, że patronami dwóch innych klas są Emilia Plater i Emilia Gierczak. Oczywiście klasa propozycję tę przyjęła entuzjastycznie. No cóż, winienem być zadowolony z takiego zaszczytnego wyróżnienia. Wiedziałem jednak, co mnie czeka i nie pomyliłem się. Odtąd zapraszano mnie często na spotkania z mo-

ją klasą, której zostałem patronem. I nie to było krępujące, że uczniowie uczyli się moich wierszy i recytowali je podczas spotkań, wygłaszali na pamięć mój życiorys. Rzeczą najtrudniejszą dla mnie było przyjęcie oznak szacunku jaki przejawiała do mnie naprawdę przeurocza Pani Profesor i fakt zmuszania przez nią uczniów do uwielbiania mnie. Usiłowałem podczas spotkań z „moją” klasą tłumaczyć, że pisarz to też człowiek i nawet najwięksi w historii mieli swoje słabości i wady. W takich momentach patrzyłem na twarz Pani Profesor i widziałem, że jest niezadowolona, zbulwersowana moimi słowami. Nie mogła zgodzić się z faktem, iż kalam świętość pisarza, że zbeszczeszczam własną świętość poety, którą Ona chciała, aby uczniowie we mnie widzieli. Po spotkaniach z uczniami, na osobności usiłowałem Pani Profesor rzecz całą wytłumaczyć. Przekonywałem Ją, że nie nadaję się ani na pomnik, ani na świętego, że przecież w żaden sposób nie mam szans dorównania Emilii Plater czy Emilii Gierczak. Co więcej, próbowałem siebie przedstawiać w nie najlepszym świetle, informowałem między innymi, że czasem piję wódkę, a nawet oglądałem się za dziewczynami. Pani Profesor była tym wielce zgorzowana, ogromnie zawiedziona. Cóż więc miałem robić. Doszedłem do wniosku, że nie wolno mi burzyć pięknego ludzkiego wyobrażenia o poetach, nie mogłem sprawiać — Pani Profesor i uczniom — tak strasznego zawodu. W rezultacie postanowiłem być „bohaterem” — i w roli patrona klasy, obok Emilek Plater i Gierczak, wytrzymałem przez cztery lata, aż do zdania matury przez moich uczniów. Uff, naprawdę był to mój największy życiowy heroizm. Niestety, na pewno nie wywiązałem się dobrze z zadania, sromotnie zawiodłem — może w mniejszym stopniu uczniów, co Panią Profesor.

Pani Profesor, proszę mi wybaczyć, iż opisałem to wszystko. Naprawdę nie chciałem Panią w niczym urazić, przysięgam, że wierzę w Pani szlachetne, piękne intencje!

Opisałem to wszystko, bo chcę się usprawiedliwić. Ja naprawdę nie nadaję się na czyjegokolwiek patrona, jak większość — pewnie — nawet genialnych pisarzy! — nie nadawało

się do tego za życia. Kto wie, może, gdyby nadawali się do tego, przestaliby być w ogóle twórcami.

*Dziękuję ci,
mój
sobowtórze!*

Któregoś dnia siedzę w sekretariacie Rozgłośni i zastanawiam się nad tym czy nie należałoby wreszcie wpaść na pomysł jakiejś zabawnej audycji. Nagle zaterkotał telefon.

— To do ciebie — sekretarka podała słuchawkę wytrącając mnie z zadumy nad uatrakcyjnieniem programu radiowego.

— Słucham — mówię uprzejmie.

Przez chwilę w słuchawce trwa cisza.

— Tu Komenda Milicji — zadudniło po drucie telefonicznym.

— Z kim rozmawiam?

— Jak to, nie rozumiem? — odpowiadam pytaniem. — A z kim pan chciał rozmawiać? O kogo wam chodzi?

— O obywatela Czesława Kuriatę — usłyszałem znajome mł imię i nazwisko.

— Jestem we własnej osobie — odpowiadam uprzejmie i teraz dopiero zaczyna mnie bardziej bawić ta rozmowa niż złościć.

W słuchawce znowu chwila tajemniczej ciszy.

— Nie wygłupiajcie się, obywatelu! — słyszę ostrzeżenie pod moim adresem.

— To pewnie jakieś nieporozumienie?

— Obywatela Czesława Kuriaty nie może być w tej chwili w pracy, a obywatel wcale nie jest tym za kogo się podaje... Radzę wam mówić prawdę! — dobiega do mnie groźba. — Tu Komenda Milicji i my chcemy znać prawdę!

— Komenda, komenda — mówię znowu uprzejmie — Ale

ja też chcę wiedzieć o co chodzi... Jeśli nie dowiem się, natychmiast odłożę słuchawkę! — Widocznie moja hardość zdziwiła rozmówcę, bowiem przez chwilę w słuchawce trwała cisza.

— Czy mu powiedzieć? — słyszę ten sam głos, tyle tylko, że teraz wypowiedziany nie do mnie, a w bok od słuchawki. „Pewnie rozmawia ze mną szeregowy lub podoficer i pyta teraz swego przełożonego, czy może mi wyjawić jakąś tajemnicę państwową wielkiej wagi” — szybko zgaduję w myśli. Mój rozmówca otrzymał pewnie odpowiedź twierdzącą, powiedział mi bowiem, już o wiele mniej urzędowym tonem, że ich Komenda otrzymała telefonogram z pewnej miejscowości zielonogórkiej, w której milicja zatrzymała bez jakichkolwiek dokumentów Czesława Kuriatę. Zatrzymano go za opilstwo i chuligaństwo oraz nazbyt agresywny stosunek do przechodzących ulicą dziewcząt. Po wysłuchaniu tej informacji zaniemówiłem.

— A więc zaprzeczacie? — słyszę ponownie znajomy mi od kilku minut głos.

— Jeśli w tej chwili z panem rozmawiam, to samo przez się rozumie się, że zaprzeczam. Nie mogę być przecież jednocześnie w Zielonogórskim i tutaj.

I nagle, zupełnie niespodziewanie dla samego siebie, wybuchnąłem niepohamowanym śmiechem. Spostrzegłem, że moja koleżanka sekretarka patrzy na mnie w największym przestrawie. Widocznie mój śmiech przypominał jej człowieka, który nagle postradał zmysły.

— Sprawdźmy czy mówicie prawdę, czy aby nie kryjecie Kuriaty! — w tonie głosu znowu zabrzmiała pogróżka.

— O to właśnie chodzi, trzeba zawsze najpierw sprawdzić, a potem... — zacząłem, ale zaraz zorientowałem się, że mówię już do głuchej słuchawki.

Przez dłuższą chwilę trwałem w bezruchu. Sekretarka patrzyła na mnie z ciekawością. Tak, naprawdę chciałem jej opowiedzieć wszystko w formie dobrego kawału — w tejże samej chwili uświadomiłem sobie, że nie bardzo umiałbym na gorąco dokładnie i jasno cokolwiek jej wytłumaczyć. Zresztą, jeśli opowiem, może zacząć mnie naprawdę podejrzewać, że

pewnie nie jestem tak zupełnie bez winy jak to przedstawiam. Wyszedłem z sekretariatu Rozgłośni zostawiając ją zaintrygowaną do najwyższego stopnia, jakże niezaspokojoną w swojej kobiecej ciekawości.

Szedłem do swego pokoju redakcyjnego i intensywnie — mówiąc językiem wojskowym — przeprowadzałem pracę myślową. A gdyby tak się złożyło, że byłbym akurat teraz w podróży? Za skarby świata nie przekonałbym swoich kolegów, ani też nie udowodnił szefowi, że to naprawdę nie mnie zatrzymano w jednym z miast zielonogórskich... Tak czy inaczej, myślałem ze zgrozą, moje dobre imię pisarza i w miarę spokojnego obywatela PRL zostałyby raz na zawsze zniszczone. Zresztą nawet teraz, jeśli plotka o moim aresztowaniu rozejdzie się w mieście nie pomogą mi żadne sprostowania i najbardziej wiarygodne usprawiedliwienia. Nie pomogą niezbite dowody niewinności, wszyscy będą udawali, że mi wierzą, ale każdy powie w duchu „A jednak coś tam musiało być, nie jest on taki święty jakiego udaje”.

Już po kwadransie zatelefonowałem do znajomego funkcjonariusza milicji, z którym kiedyś chodziłem do szkoły podstawowej.

— Słuchaj, mój drogi, jest taka rzecz... — zacząłem jękając się; z trudem opowiedziałem mu w szczegółach tę dziwną rozmowę telefoniczną. — Bardzo proszę, sprawdź jak sprawa wygląda. To przecież zniesławienie mojej osoby... Będę ci bardzo wdzięczny... Ja od dwóch miesięcy nigdzie nie wyjeżdżałem, potwierdzić to może nawet sam redaktor naczelny...

Mój kolega szkolny jednak milczał.

— Słuchaj, chyba nie sądzisz... No, powiedz coś wreszcie. Znasz mnie przecież od ławy szkolnej... — błagałem go pocą się jak mysz.

— Z poetami nigdy nic nie wiadomo — odpowiedział śmiejąc się. — Zresztą, to nic strasznego, jeśli nie był to groźny incydent, na pewno wszystko będzie dobrze...

Zatkało mnie. A więc on mi nie dowierza! Jeżeli nawet powiedział to w formie żartu, to dziękuję za takie żarty.

— Wyślijcie jak najszybciej telefonogram z prośbą o szczegółowe informacje dotyczące tej sprawy... Błagam cię, przecież to sprawa mego honoru...

— Ależ tak, zrobi się. Co do tego, bądź spokojny, załatwię, jeszcze dzisiaj nadamy telefonogram, sam jestem ciekaw... Za kilka dni zadzwonię do ciebie...

Czytający tę opowieść zapewne domyślają się, że te dni oczekiwania na wiadomość przeżyłem w ogromnym napięciu nerwowym.

Wreszcie któregoś popołudnia mój dawny kolega szkolny, obecnie funkcjonariusz milicji, zadzwonił.

— Słuchaj, kochany, masz szczęście — usłyszałem. — To naprawdę nie byłeś ty — informował mnie jakby z lekką nutą zawodu w głosie.

I tu zdał mi szczegółową relację. Rzeczywiście, w jednej z miejscowości zielonogórskiej zatrzymano za pijaństwo i chuligaństwo młodego człowieka, lat 27, mieszkańca województwa szczecińskiego. Ów, młodszy ode mnie o trzy lata obywatel PRL, nie miał przy sobie żadnych dokumentów tożsamości, milicji przedstawił się jako poeta koszaliński Czesław Kuriata. Jak wpadł na pomysł podszywania się pod moją skromną osobę? Otóż, przyciśnięty do muru przez milicjantów zeznał, że jego siostra miała koleżankę na studiach, która nosiła to samo nazwisko co ja. Fakt ten skojarzył sobie z młodym poetą koszalińskim i to podsunęło mu myśl przedzierzgnięcia się w moją osobę. Ale to nie wszystko. Ów młody człowiek odbył cykl spotkań autorskich w PGR-ach zielonogórskich, oczywiście jako Czesław Kuriata. Podobno miał w czasie tych spotkań sporo egzemplarzy moich książek, z których czytał utwory. Książki te bezinteresownie podpisywał słuchaczom jako ja. Rzecz jasna, iż mój sobowtór honorarium za każde spotkanie pobierał według stawek przysługujących członkom Związku Literatów Polskich. Nawet, jeśli weźmie się pod uwagę, że książki wręczał gratisowo, to i tak na czysto zostawało mu sporo pieniędzy. I to go zgubiło, mając bowiem pieniądze wypił troszeczkę za dużo, nawet jak na poetę. Oczywiście, po dobowym

areszcie i po ustaleniu tożsamości, sobowtóra mego wypuszczono kierując sprawę na kolegium orzekające.

— Komenda z tamtej miejscowości przeprasza cię, że tak pośpiesznie wysłali telefonogram... I to byłoby wszystko — powiedział na zakończenie mój kolega z ławy szkolnej.

— Jak to wszystko? — jęknąłem boleśnie — Przecież on mnie zniesławił, teraz trzeba to jakoś sprostować... Ja jestem niewinny... On na moje konto bzdury opowiadał, więc jakie będą mieli o mnie wyobrażenia ci ludzie, którzy go słuchali. Podrywał dziewczyny w sposób chuligański... Ja na spotkaniach zawsze staram się zachowywać przyzwoicie, męczę się, ale muszę być grzeczny... — wyznałem szczerze jak na spowiedzi. — Nie wiesz ile mnie to kosztuje, aby utrzymać dobre imię pisarza, wiadomo jak ludzie lubią plotkować... A on nie dość, że na mnie zarobił, to jeszcze na moje konto...

— O to ci chodzi — przerwał mi mój kolega tłumiąc ledwo wyczuwalny śmiech.

— Nie, nie tylko o to — zaprzeczyłem speszony. — Powtarzam, jakie będą mieli o mnie wyobrażenia ci ludzie, którzy go słuchali, przecież nikt z nich nigdy nie dowie się, że to nie byłem naprawdę ja... Zostałem skompromitowany, a ty tak lekko powiadasz „To wszystko, co mam ci do powiedzenia”...! — pieklilem się do słuchawki.

— Uspokój się — łagodnie powiedział kolega milicjant — My przecież nic więcej nie możemy zrobić... Jeżeli chcesz dochodzić satysfakcji, wniesź pozew do sądu przeciwko niemu...

Tak, zdecydowanie postanowiłem skierować sprawę do sądu, miałem przecież wszystkie dane osobowe mego sobowtóra. Po jakimś czasie przeraziłem się ciągnięcia po sądach i kłopotów z tym związanych... Ponadto, chcąc skierować sprawę do sądu, musiałbym mieć konkretne dowody skompromitowania mnie w oczach innych ludzi, więcej szczegółów, sąd niewątpliwie zażąda świadków... I dlatego właśnie któregoś dnia zatelefonowałem znowu do Komendy Milicji, do tego samego kolegi z ławy szkolnej.

— Co znowu? — zdziwił się.

— Ja w sprawie mego sobowtóra...
— Czy nie jesteś, przypadkiem, jak wszyscy poeci, przewrażliwiony? — nie dał mi skończyć zdania.
— Słuchaj, to sprawa mego honoru...
— To już mówiłeś.
— Nie wolno ci tak...
— No, dobrze, dobrze... Nie chciałem wcale ciebie urazić.
Co chcesz, żebym jeszcze zrobił?

— Bardzo cię proszę, wyślijcie natychmiast telefonogram do tamtejszej zielonogórskiej miejscowości i poproście, aby posłali wywiadowców do tych wszystkich miejsc, gdzie ten facet odbywał spotkania autorskie jako ja... Niech wybadają ludzi jak on się zachowywał, co mówił... To przecież chuligan, a wszyscy ci ludzie będą myśleli, że to ja... Rozumiesz, co to dla mnie znaczy... Nawet jeśli podałbym w tej chwili sprostowanie do prasy, to przecież i tak nie wszyscy przeczytają, szczególnie mieszkańcy tamtych miejscowości...

— Dobrze, ale nie gniewaj się, z góry uprzedzam, że po raz ostatni zajmuję się tą sprawą... Załatwię, musisz jednak przygotować się na to, że to trochę potrwa, nikt przecież specjalnie nie będzie wysyłać w teren funkcjonariusza w sprawie takiego głupstwa... — powiedział i zająknął się przy ostatnim słowie. — Zrozum mnie dobrze, mamy tyle innych, naprawdę ważnych spraw... Przy okazji, jak będą milicjanci w tych miejscowościach, gdzie on odbywał spotkania, to popytają świadków... Ale to naprawdę potrwa...

Podziękowałem grzecznie, jednocześnie przyrzekłem, że po raz ostatni zwracam mu głowę swoją sprawą.

W tym czasie układałem na brudno sprostowanie do prasy, w którym informowałem, iż w takim a takim okresie nie było mnie w województwie zielonogórskim i nie odbywałem spotkań autorskich, że grasował tam bezczelny hochsztapler i tu, ze złośliwą satysfakcją, wymieniałem jego imię i nazwisko... Wstrzymałem się jednak z wysłaniem sprostowań czekając na nowe dane, które uzupełniłyby listę przestępstw mego sobowtóra-hochsztaplera...

Wreszcie po upływie dwóch tygodni mój szkolny kolega za-telefonował.

— Słuchaj, mam dla ciebie miłą niespodziankę! Wywiadowcy byli w ośmiu miejscowościach i wszędzie ludzie nie mogą się nachwalić ciebie, to znaczy się, są zachwyceni tamtym, czyli tobą...! — radośnie obwieszczał oficer i wił się dalej, aby rzecz, która tak się skomplikowała, wyłuszczyć jasno. — Ci świadkowie, uczestnicy spotkań proszą funkcjonariuszy, żeby go znowu, to znaczy ciebie, do nich przysłać... Słowem, znowu domagają się spotkań z Czesławem Kuriatą... Są dla niego pełni podziwu, chwalą ciebie za dowcip, trafiać im do serca...

— Nie, to nie o mnie chodzi — jęknąłem zupełnie załamany — Gdybym tam pojechał teraz jako Czesław Kuriata, wyśmieliby mnie... Dziękuję, bardzo ci dziękuję — skonsternowany zakończyłem rozmowę.

— Nie ma za co, cieszę się, że mogłem ciebie uspokoić...

Przyszedłem tego dnia do domu i nagle wszystko zrozumiałem. Przecież mój sobowtór zrobił mi doskonałą reklamę, a więc powinienem mu być za to wdzięczny! Natychmiast rzuciłem do kosza wszystkie sprostowania do prasy napisane na brudno. Miałem szczęście, że ich nie wysłałem. Gdyby je wydrukowano musiałbym napisać sprostowania sprostowań. Tak, stokroć stało się lepiej, że nie wysłałem sprostowań! Nie należy przecież ludzi wyprowadzać z błędu ze szkodą dla siebie i dla nich. I zaczęło mi się wydawać — w czym utwierdzałem się coraz bardziej — wszystko na wskroś uczciwe między mną a moim sobowtorem. On zarobił trochę pieniędzy przysparzając mi popularności i dobrej sławy. Solidnie zapracował na tych kilka złotych — w sytuacji, gdy ja siedziałem spokojnie w domu moje konto u czytelników rosło. Nagle zapragnąłem go zobaczyć, spotkać się z moim sobowtorem. Jak on to zrobił, że tak doskonale czuł się w mojej skórze? Mnie przecież nie zawsze udają się spotkania autorskie, a on — jako ja — robił je wyśmienicie. Nie zawsze potrafię podbić serca słuchaczy, nie zawsze umiem ich zainteresować; naj-

częściej nawet ludzie dziwią się dlaczego wyglądam tak niepozornie, że nikt nie pomyślałby... A więc tamten chłopak, mój sobowtór, jest doskonalszy ode mnie. Tak rozmyślając na chwilę popadłem w zadumę: który z nas jest bardziej prawdziwy, ja czy on. Na pewno dla słuchaczy i czytelników — gdyby nas zestawiono ze sobą — on byłby prawdziwszy, bo pewnie bardziej zbliżony do ich ideału młodego pisarza, w ogóle pisarza. Naprawdę bardzo zapragnąłem zobaczyć swego sobowtóra, uścisnąć i podziękować mu z całego serca. A może udałoby się go namówić aby pojeździł jeszcze trochę na spotkania autorskie? Dla mego sobowtóra pieniądze i przyjemność, dla mnie sława a może nawet wzrost nakładów książek, a więc także przyjemność i pieniądze. Naprawdę zrozumiałem, że powinienem być wdzięczny memu sobowtórowi! Postanowiłem go odszukać i wynagrodzić, postawić dużą wódkę i w razie czego bronić przed milicją, jeśli ta zechciałaby go niesłusznie zatrzymać jako Czesława Kuriatę.

Niestety — i tego nie mogę sobie do dziś darować — nigdy nie zrobiłem najmniejszego kroku, aby odnaleźć mego sobowtóra. Kto wie, może podświadomie bałem się konfrontacji. On przecież okazał się doskonalszy ode mnie, o wiele doskonalszy!

W debiutanckim zbiorze mego kolegi znalazłem pewne podobieństwo jego wierszy do moich, szczególnie w cyklu prozy poetyckiej. W kolejnej jego książce natrafiłem w jednym z wierszy na dwa identyczne wersy (najważniejsze dla budowy utworu!), jakby żywcem wyjęte z mego wiersza pt: „Wejście”. Różnica polegała jedynie na tym, że ja mówię w utworze w pierwszej osobie męskiej, natomiast w jego wierszu mamy do czynienia z rodzajem żeńskim w trzeciej osobie. Zaznaczam przy tym, iż swój wiersz wydrukowałem rok wcześniej w dodatku literackim „Wiatraki” bydgoskiego czasopisma „Pomorze” (nr 10/94 — 16—31.63 r.).

Zgłosiłem w powyższej sprawie interwencję w wydawnict-

wie, które opublikowało tomik mego kolegi domagając się sprostowania i satysfakcji. Wydawnictwo jednak nie zareagowało. W konsekwencji usunąłem swój wiersz z tomiku „W każdą podróż”, który ukazał się w roku 1966. Wiersz „Wejście” zdecydowałem się zamieścić w swoim następnym zbiorze poezji „Jeśli miłość nazwać” (1970), ale już bez skradzionych fraz.

W 1965 roku spotkałem na Zjeździe Pisarzy w Krakowie winowajcę. Zaprosiłem go do barku w „Cracovii” gdzie mieszkaliśmy i postawiłem koniak. Autor ściągniętych moich fraz poetyckich nie usprawiedliwiał się, powtarzał tylko w kółko jedno słowo „Przepraszam...” No cóż, byłem bezradny. Długo wściekałem się i nie mogłem odżalować, że znalazł się ktoś, kto przyczynił się do zubożenia mego wiersza. Taki czyn przywłaszczenia uważałem za haniebnny i fakt ten rozgłaszałem wśród naszych wspólnych kolegów po piórze, a przy spotkaniach ostentacyjnie lekceważyłem winowajcę.

Dziś jednak jestem zadowolony. Doszedłem bowiem do słusznego wniosku, że jeśli mnie kiedyś uznawano za naśladowcę innego poety, okrzyczano epigonem — to dlaczego i ja nie powinienem takiego mieć. W rezultacie sprawiedliwości stało się zadość. Naprawdę dzisiaj opisany fakt przywłaszczenia (wszystko jedno świadomego czy nieświadomego) pochwlebia mi. Nie wynika jednak z tego wcale, że odnowiłem przyjazne stosunki z tym poetą. Muszę przecież kierować się względami dydaktycznymi.

Nie znam na pamięć w całości żadnego swego wiersza, jedynie nieliczne fragmenty, natomiast zdarzyło mi się pamiętać wiersze moich kolegów. Dziwnym trafem zapamiętałem na całe życie czterowiersz mego kolegi ze studiów Kazia Wachnowicza, co więcej, czterowiersz ten bardzo często w pewnych chwilach niespodziewanie mnie nachodzi — i wtedy nie mogę się oprzeć, aby go nie zacytować w myślach. Czterowiersz ten brzmi następująco:

*Papieros ledwo mi się żarzy
I senność toczy się muślinem
I patrzę w taką noc bez twarzy
Jak w kielich napelniony winem.*

W tych czterech liniijkach jest coś ujmującego, prawda? A teraz przy okazji kilka zdań o samym Kaziu Wachnowiczu. Podczas studiów pisał on piękną polszczyzną wiersze na modłę romantyczną; spod jego pióra wychodziły urocze współczesne trawestacje fragmentów „Pana Tadeusza”, szczególnie o Zosi i Telimienie. Był to opis subtelnych scen erotycznych, nie nie mających wspólnego z rozpowszechnianymi wulgarnymi trawestacjami, które rzekomo miały wyjść spod pióra Fredry. Kazio miał ogromną sprawność rymotwórczą i wersyfikacyjną. Niestety tuż po studiach wydrukował on zaledwie kilka wierszy w prasie regionalnej. Być może w jego sprawnie napisanych wierszach odstraszała redaktorów ich staroświeckość. Dla mnie jednak Kazik Wachnowicz pozostanie poetą, nawet jeżeli nie wyda żadnego tomiku.

Tego typu osobowości poetyckich jak Kazio spotykałem więcej, część z nich uważałem zawsze za prawdziwych poetów, choć nie opublikowali oni ani jednego wiersza, niektórzy z nich nawet nie napisali ani jednej linijki — wystarczyło, że w nich samych była poezja.

Do jednego z koszalińskich klubów przyjeżdża pisarz ze Słupska. Odbywa trzygodzinne interesujące spotkanie autorskie, połączone z ciekawą dyskusją. Spotkanie trwa tak długo, bowiem publiczność wręcz nie chce wypuścić autora. Słuchacze są zachwyceni pisarzem co rzadko zdarza się prawdziwemu twórcy — najczęściej bowiem większe wzięcie u ludzi mają hochsztaplerzy pokazujący w czasie spotkania cyrkowe sztuczki i opowiadający pieprzne dowcipy.

Wreszcie spotkanie dobiega końca. Pisarz w towarzystwie kierowniczkii klubu maszeruje do jej pokoju po swój płaszcz.

— A jeśli chodzi o zapłatę... — mówi nieśmiało autor, już

w płaszczu. Zrozumiała jego nieśmiałość, bowiem żenującą sprawą jest upominanie się o honorarium, o którym powinni pamiętać przede wszystkim organizatorzy spotkania.

— Ależ, skądże, nie pan nie płaci — odpowiedziała kierowniczką klubu. — Tego jeszcze brakowało, odbył pan przecież ogromnie interesujące spotkanie, wszyscy są zachwyceni panem i długo będą pana pamiętać.

Pisarz serdecznie i czule żegna się z kierowniczką klubu. Tak, jest przekonany, że i on długo będzie pamiętać o tym właśnie, jakże udanym spotkaniu autorskim.

Naprawdę pisarza prowincjonalnego spotykają sytuacje, które nawet nie śnią się np. pisarzom stołecznym.

Któregoś dnia — a działo się to w połowie lat sześćdziesiątych — jestem w Ważnym Urzędzie. Jeden z Dość Wysokich Urzędników serdecznie mnie wita. Znając jego na co dzień wyniosłość, jestem nieco zdziwiony okazaną przede mną wy-lewnością.

— Gratuluję wam z tego miejsca wielkiego sukcesu — mówiąc to podaje mi swoją ważną dłoń. — To wasze dotychczasowe największe osiągnięcie — dodaje, prawie wykrzykując niczym z trybuny.

— Dziękuję, ale nie wiem z jakiego powodu spotykają mnie wasze gratulacje — pytam cicho, ze zdziwieniem.

Dość Wysoki Urzędnik patrzy na mnie zgorszony moją niewiedzą.

— Fragmenty waszego poematu „Kołobrzesci Testament” śpiewała córka... — I tu Dość Wysoki Urzędnik wymienia nazwisko Bardzo Wysokiego Urzędnika.

— Rzeczywiście, to świetna artystka, bardzo ją cenię — mówię szczerze.

— To córka... — znowu Dość Wysoki Urzędnik wymienia z namaszczeniem nazwisko Bardzo Wysokiego Urzędnika.

Tak, nagle wszystko zrozumiałem. Nieważne, że osoba śpiewająca fragmenty mego poematu jest świetną artystką, nie-

ważne także, iż to ja napisałem ów poemat, którego fragmenty ona doskonale zaśpiewała. Dla Dość Wysokiego Urzędnika najważniejsze, iż jest to córka Bardzo Wysokiego Urzędnika. Nie, po chwili już nie gniewałem się na nikogo, nie miałem pretensji z tego powodu, że nie gratulowano mi napisania poematu, którego fragmenty... Przede wszystkim współczułem znakomitej śpiewaczce, iż dla wszystkich Dość Wysokich Urzędników i Mniej Wysokich, jest ona jako artystka przede wszystkim córką Wyższego od Nich Urzędnika.

Jestem na spotkaniu autorskim w jednym z sanatoriów kołobrzeskich. Spotkanie to zorganizował mi młody, utalentowany pisarz kołobrzeski Lech Marek Jakób, pracujący w Uzrodowisku jako bibliotekarz. Podczas dyskusji — na temat tzw. tajników warsztatu poetyckiego — zabiera kilkakrotnie głos jeden z jego uczestników. Wygląda elegancko i dostojnie. Po spotkaniu w hallu sanatorium rozmawiam z Leszkiem i kierownikiem tego sanatorium. W pewnej odległości od nas stoi ów uczestnik spotkania, którego tak bardzo interesował mój warsztat poetycki. Po wyjściu z gmachu przed budynkiem znowu ten sam jegomość; przygląda się nam pilnie z odległości kilku metrów.

— Widzisz tego gościa, on pewnie nie ma odwagi pokazać swoich wierszy, które przyniósł na spotkanie — mówię do Leszka Jakóba i zatrzymuję się na schodach sanatorium. — Pamiętasz, on pytał mnie jak powstaje wiersz.

— Nie znam go, to pewnie kuracjusz sanatorium — odpowiada Leszek.

W pewnej chwili podchodzi do nas energicznym krokiem ów jegomość.

— Jestem viceministrem... — mówi wymieniając swoje nazwisko, jednocześnie podaje mi wizytówkę.

Oczywiście znałem to nazwisko; ministerstwo, które on reprezentował też nie było mi obce.

— Cieszę się, że pana poznałem — mówi dalej do mnie viceminister. — Jeśli będzie pan w Warszawie, serdecznie zapraszam do odwiedzenia mnie w ministerstwie.

— Przyrzekam, że skorzystam ze znajomości — odpowiadam zdecydowanie i chowam wizytówkę.

— Przepraszam pana ministra — odzywa się ze skrucą kierownik sanatorium. — Jak ja mogłem nie wiedzieć, że mam u siebie tak wybitnego gościa — kierownik tonie w służalczych ukłonach. — Jakże jestem szczęśliwy...

— No, no, zapragnął poznać ciebie osobiście sam viceminister — powiedział Leszek Jakób, odprowadzając mnie na dworzec.

— E, to nie to... On przedstawiając się chciał mi zrobić zaszczyt, a przede wszystkim pochwalić się, że jest viceministrem — odpowiedziałem skromnie.

Drugie spotkanie z viceministrem, który w Kołobrzegu tak bardzo pragnął mnie poznać, nastąpiło w Warszawie. Podczas pobytu w stolicy rzeczywiście zwróciłem się do niego o pomoc w pewnej drobnej sprawie. Niestety, w swoim ogromnym gabinecie nie był to już ten sam człowiek. Siedząc za wielkim biurkiem poświęcił mi tylko kilka minut... i odprawił z kwitkiem.

Kierownika sanatorium, który był tak szczęśliwy, że ma u siebie ministra, wkrótce potem posadzono za jakieś machlojki. Nie pomogła mu znajomość nawet z ministrem!

*Moja
dwugodzinna
kadencja poselska*

Zdarzenie, o którym opowieściem miało miejsce pod koniec 1968 roku. Oto szczegółowa relacja odtworzona na podstawie notatek, podobnie jak większość obszerniejszych opowieści w tej książce.

Na przystanku PKS-u w tamtej wsi, do której przyjechałem na spotkanie autorskie, wita mnie miła młoda kobieta.

— Była tu delegacja całej gminy, z przewodniczącym i sekretarzem, wszyscy czekali przeszło godzinę... Teraz są w remizie strażackiej, ledwo się mieszczą, taki ścisk... — wyjaśnia moja przewodniczka.

Po kilku minutach jesteśmy w remizie. Rzeczywiście sala wypełniona ludźmi po brzegi. Mężczyźni, kobiety, dzieci, młodzież, nawet matki z niemowlętami na rękach. Na podium, czyli na scenie, podłużny stół nakryty czerwonym sukniem; za stołem kilka osób jak zawsze ważnych, gdy siedzą w prezydium. Jak zawsze też, w każdym prezydium, po minie i wzroku siedzących obok, łatwo poznać od razu najważniejszego. I właśnie ten najważniejszy wstaje i już miętosi kartkę przed sobą. Nie zdążył jeszcze odczytać nawet pierwszych słów, gdy ja mówię, że sam się przedstawię publiczności. Przewodniczący prezydium z zastygłymi na ustach słowami patrzy na mnie w osłupieniu, w nerwowym tiku porusza powiekami. Po moich słowach zrywa się burza oklasków, klaszczą nawet niektórzy w prezydium.

Przewodniczący nie daje za wygraną i zaprasza mnie do prezydium, na wolne krzesło obok siebie. Odpowiadam, że nie lubię rozmawiać z ludźmi z wysokości, że spotkanie autorskie to szczerza, bezpośrednia rozmowa, więc lepiej będzie jeżeli pozostanę właśnie na tym miejscu, gdzie jestem. Mówiąc to odwracam się do ludzi. Znowu rozlegają się rze-

siste oklaski. Słyszę za plecami odgłos ciężkiego siadania. Do-
myślałam się, że to wreszcie usiadł przewodniczący.

Jeszcze raz przywitałam się z salą powtarzając, że spotkanie autorskie, to przede wszystkim spotkanie człowieka z człowiekiem, to wzajemne poznanie się pisarza i czytelników. Następnie zacząłem mówić o literaturze i jej związkach z życiem. Starąłem się przemawiać jak najprościej, bez jakiegokolwiek tzw. uczoności. Mówiłem między innymi o tym, że obowiązkiem literatury jest podejmowanie trudnych problemów, opisywanie zła, które występuje w życiu, że obowiązkiem pisarza jest piętnowanie wszelkich nieprawidłowości. Wyjaśniłem, że literaci pisząc o smutnych sprawach wcale nie muszą być pesymistami, nie są chwalcami zła, ale wręcz przeciwnie. (Muszę w tym miejscu wyjaśnić, dlaczego zacząłem od takich banalnych stwierdzeń. Był to bowiem okres, kiedy zewsząd atakowano pisarzy za szerzenie przez nich nihilizmu, przedstawianie życia w czarnych barwach itd. W tym właśnie okresie zrodziło się wredne hasło „Pisarze do pióra”). Mówiłem dalej, że twórczość literacka, to także walka o lepszy kształt świata, walka o to, aby nam wszystkim żyło się lepiej... Znowu przerwano mi oklaskami. Te oklaski, a raczej burze oklasków wyraźnie mnie peszyły. Nagle, nie bardzo wiedząc co te oklaski teraz znaczą — aprobatę czy wręcz coś przeciwnego — zaproponowałem dyskusję zachęcając do szczerych wypowiedzi, do mówienia o wszystkim, co ma związek z życiem, bowiem literatura jest artystycznym, skondensowanym obrazem życia... Tak właśnie jakos mówiłem, celowo w sposób uproszczony, aby być dobrze zrozumianym...

Na sali natychmiast wstaje potężny mężczyzna, prawie dwa metry wzrostu chłopisko. Trzyma przed sobą splecione jak bochny chleba dłonie — chwilę stoi przestępując z nogi na nogę. Wszystkie twarze zwracają się w jego stronę. Kiedy stojący wciąż milczy, jakby nie miał odwagi wypowiedzieć pierwszego słowa, słyszę zachęcające szepty pod jego adresem. Potężny mężczyzna o dobroduszej twarzy nagle

w zdenerwowaniu rozplół dłonie w których, gdyby miał — tak mi się przynajmniej wydawało — nawet stał zgniółby jak słomkę.

— Dlaczego nie ma w naszym geesie nawozów sztucznych? — wypalił jednym tchem, jakby rąbnął potężnie siekierą i usiadł.

Ludzie na sali intensywnie wpatrywali się we mnie. Zacząłem cierpliwie tłumaczyć, że wszystko zależy od nich samych, wszystko jest w ich mocy. Powinni więc dobrać się do skóry tym, którzy zaniedbują swoje obowiązki. Podkreśliłem przy tym, że mimo wielu ogromnych niewątpliwych osiągnięć, jest jeszcze w życiu sporo zła i trzeba, a nawet jest obowiązkiem każdego z nas, aby to zło śmiało, odważnie piętnować. Wygodnictwem i niecnym wybiegiem władz jest tłumaczenie wszystkiego „obiektywnymi trudnościami”. Poradziłem zwrócić się do WZGS-u w tej sprawie, a nawet pojechać do Komitetu Wojewódzkiego partii. Mówiłem dalej coś w tym rodzaju: tchórzostwem i asekuranctwem jest niezauważanie zła. Właśnie literatura często podejmuje takie trudne tematy, a robi to, podkreślałem z naciskiem, nie dlatego, aby ludziom zohydzić życie, ale wręcz przeciwnie, aby naprawić nasze życie. Dawałem dalej przykłady dzieł zajmujących się bez ogródek takimi najtrudniejszymi problemami współczesności, wypaczeniami socjalizmu itd. Pisarze winni ukazywać stosunki międzyludzkie takimi, jakie one są naprawdę... „Literatura...” — powiedziałem i zawałałem się szukając najwłaściwszej definicji określającej jej społeczną rolę. Moje chwilowe milczenie wykorzystała kobieta z dzieckiem na ręku w pierwszej ławce. Wstała przytulając do siebie dziecko, które wysuwało się z jej objęć.

— Dlaczego zamknięto u nas przedszkole co zbudowaliśmy w połowie w czynie społecznym całej naszej wioski? Teraz budynek stoi bez opieki i z każdym tygodniem niszczeje — w głosie kobiety brzmiał autentyczny, niekłamany żal.

Kobiety obok natychmiast ją poparły. Odpowiedziałem, że zamknięcie przedszkola i dewastacja budynku to karygodne

przestępstwo, że najwyższy czas, aby karano bez litości ludzi za to odpowiedzialnych itp. itp. I znowu nawiązałem do literatury, która, jeśli nawet zajmuje się pozornie jednostkowymi przypadkami, to zawsze usiłuje uogólniać, nawet drobiażdżki mają znaczenie symboliczne, stają się przenośnią... I zaraz sam zrozumiałem, że mówię niezbyt jasno, więc szybko dodałem, że najtrudniejszą sprawą jest zmiana psychiki poszczególnego człowieka, którego należy przede wszystkim wychować w aspekcie życia społecznego... Ale oto widzę, że stoi już młody, chyba niespełna osiemnastoletni chłopiec.

— W magazynie naszego LZS-u gnije sprzęt, bo magazynier chodzi ciągle pijany...

Natychmiast podzieliłem oburzenie młodego chłopca. Takie karygodne niedbalstwo, to także przestępstwo, które dodatkowo może przyczynić się do tego, że młodzież nie mając żadnej rozrywki z nudów zacznie pić wódkę i chuliganić... I w tym wypadku wiele zależy od całej wsi, bowiem ważną rolę spełniać winna stała kontrola społeczna... Po moich słowach rozległ się na sali szmer aprobaty. Zachęcony tym odgłosem poradziłem młodemu człowiekowi, aby natychmiast, już jutro pojechał do Rady Powiatowej LZS-u... Kończąc wskazówki jak ma załatwić sprawę, przeszedłem do problemów literatury o tematyce sportowej, wychowawczej roli sportu. Podczas mego omawiania istoty literatury sportowej bez słowa wstaje jeden z mężczyzn. Rzecz jasna, natychmiast zamilkłem urywając w pół zdania.

— Czemu tak rzadko przyjeżdżają do nas władze wojewódzkie i powiatowe? Przecież my wszyscy głosowali na nich jak jeden mąż...

Powiedział to sympatyczny chłop w średnim wieku. Zgarnął z czoła kosmyki blond włosów i usiadł w szmerze, tak przynajmniej domyślałem się, ogólnego podziwu dla jego odwagi. Odpowiedziałem, że owszem, często zdarza się, iż wybrani przez społeczeństwo ludzie zapominają komu zawdzięczają władzę, swoje stanowiska... I znowu nawiązałem do literatury mówiąc, że pisarze w swoich książkach także podejmują te-

mat władzy, co więcej, jest to odwieczny, jeden z najważniejszych tematów literackich. Wymieniłem kilka wybitnych książek o tych treściach, oczywiście między innymi sztuki Szekspira, szerzej zatrzymałem się nad jedną z nich, którą ostatnio emitowano w telewizji. Ktoś mi z sali przytaknął, że właśnie oglądał ten spektakl. Na zachodzie, mówiłem, twierdzi się, że nad każdą władzą ciąży jakieś fatum, ukuto nawet twierdzenie o przekleństwie władzy. Ale to nieprawda, bowiem w socjalizmie wszystko zależy od społeczeństwa, od samych ludzi... Kiedy zacząłem rozwijać to zagadnienie znowu mi przerwano. Teraz bez przerwy padały pytania, mówiono o bolączkach, krzywdach i niesprawiedliwości, krytykowano poszczególnych ludzi pracujących w prezydium GRN i w GS-ie, mówiono o złym postępowaniu instruktora w Komitecie Gminnym... Najwięcej wypowiedzi sformułowano w postaci pytań, które zaczynały się słowami „Dlaczego?“, „Kto?“, „Czy to możliwe, aby...?“ itd. itp. Po jakimś czasie ludzie, z którymi całkowicie się zgadzałem, wręcz namawiałem do przeciwstawienia się złu, wypowiedzi swoje rozpoczynali od słów „Chcemy“, „Żądamy“, „Tak dłużej być nie może!“... itd. itp.

Wreszcie zerkam dyskretnie na zegarek: mija już dwie godziny od rozpoczęcia spotkania. Mówię na zakończenie o tendencjach we współczesnej poezji, o nurtach w literaturze polskiej i światowej. Na sali wzmaga się coraz głośniejszy szmer, który chwilami przechodzi w harmider. Wylapując uchem poszczególne zdania zrozumiałem, że ludzie wciąż dyskutują o sprawach poruszanych w swoich wypowiedziach, rozprawiają o tym w jaki sposób najlepiej je rozwiązać... Padają przy tym nazwiska osób, których sala typuje, aby w poszczególnych sprawach pojechały do powiatu, a nawet do województwa. Proponuję słuchaczom przeczytanie kilku swoich najnowszych wierszy. Ludzie przyjmują to z niejakim zdziwieniem, ale szmery przycichają. Czytam wiersze i czuję, że nie trafiają one do publiczności, że dyskusja prowadzona szeptem przez ludzi wciąż trwa. I teraz nogi mi się zaczynają uginać — jak zawsze podczas spotkania, gdy czuję, że mówię w pustkę. Spo-

strzegam z przestrachem, że przychylność do mnie i zainteresowanie z każdą chwilą niknie, że z każdym przeczytanym wierszem niszcze dobre wrażenie, jakie zrobiłem na ludziach. Kończę więc recytację wierszy, serdecznie dziękuję za spotkanie, za bogatą, wszechstronną dyskusję o życiu, które staje się literaturą i o literaturze, która jest zwierciadłem życia... Żegnám się z publicznością mówiąc, że teraz będziemy spotykać się częściej, bo najważniejsze jest pierwsze wzajemne poznanie się, wzajemne zrozumienie się... Widzę znowu ożywienie na twarzach. Rozlegają się ponownie burzliwe oklaski, tak potężne, jakich nigdy dotąd nie miałem podczas mojej bogatej kariery pisarskich występów. Dostojnie i z powagą wstaje mój pierwszy dyskutant, owo chłopisko prawie dwa metry wzrostu.

— Dziękujemy panu posłowi, że pan poseł zechciał do nas przyjechać i tak dokładnie wysłuchać... U nas nagromadziło się wiele, panie pośle...

Dalszych jego słów już nie słyszałem. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to o mnie chodzi. Stoję jak we śnie nie wierząc własnym uszom... Nie, nie przesłyszałem się! Kiedy mój pierwszy dyskutant jeszcze mówił, wyrabując topornie poszczególne słowa, widzę jak kobieta z dzieckiem na rękę w pierwszym rzędzie, ta która mówiła o przedszkolu, zwraca się do swojej sąsiadki.

— On niczego nie obwijał w bawełnę, nie wykręcał się sianiem, jak tamte co u nas byli... Nigdy u nas nie było nikogo, kto by we wszystkim przyznał nam rację... — dobiegł mnie jej szept.

— I taki młodziutki ten poseł... — także szeptem odpowiedziała zagadnięta.

Stałem jak na rozżarzonych węglach. Chciałem natychmiast wyjaśnić, krzyczeć, że zaszła pomyłka, że to nieporozumienie. W tejże chwili podbiegła do mnie malutka dziewczynka i wręczyła bukiet przepięknych piwonii. Już zacząłem pierwsze słowa wyjaśnienia, ale utonęły one natychmiast w huraganowych oklaskach. Z przerażeniem widziałem jak ludzie kierują

się w stronę na oścież otwartych drzwi remizy. Za chwilę wszyscy byli już odwrócenii do mnie plecami.

I tak oto, chcąc nie chcąc, zupełnie mimowolnie i przypadkiem, zostałem najzwyczajszym hochsztaplerem. Przez dwie godziny byłem bowiem dla ludzi z tej miejscowości autentycznym posłem, w dodatku jakże pochlebnie przez nich ocenionym. Tak, to prawda, pamiętam, na sali kilka razy padły z ust dyskutantów słowa „poseł”, „panie pośle”, „proszę posła” itp., ja jednak myślałem, że ludzie się mylą i wymawiają to słowo zamiast słowa poeta, przejeżdżają się. Po prostu, myślałem, niektórzy mylą się z emocji... Teraz zrozumiałem dlaczego ludzie przestawali mnie słuchać, gdy odbiegałem od poruszanych przez nich spraw i mówiłem o literaturze, i dlaczego przestawali mnie prawie całkowicie słuchać, gdy czytałem wiersze. Musiało to także ich niepomniernie dziwić, że poseł czyta swoje wiersze...!

Ludzie siedzący w prezydium, a szczególnie przewodniczący, kiedy im wyjaśniłem, że nie jestem posłem, wyraźnie odetchnęli z ulgą... Doskonale ich rozumiałem, bowiem domyślałem się co mogli o mnie sądzić podczas spotkania... Teraz serdecznie mnie przepraszali i zachodzili w głowę jak to mogło się stać... Po chwili, na dyskretny znak przewodniczącego, ci z prezydium ulotnili się prawie niepostrzeżenie, niektórzy nawet nie raczyli już pożegnać się z „obywatelom posłem”...

Pozostała przy mnie tylko opiekunka, ta, która przyprowadziła do remizy. I ona serdecznie mnie przepraszala. Ochłonnym odpowiedziłem ze śmiechem, że nie gniewam się, bo czy zdarzyło się kiedykolwiek, aby ktoś pogniewał się za to, iż został posłem. Jednak zaraz poważnie poprosiłem ją, aby wyjaśniła ludziom nieporozumienie. Ale ona swoją odpowiedzią ogromnie mnie zaskoczyła. Dobrze pamiętam jej słowa.

— Lepiej niech już zostanie tak jak jest, gdybym ludziom wyjaśniła, poczuliby się oszukani... Teraz pojedą delegacje do powiatu, a nawet do województwa i coś pewnie dla nas załatwią, właśnie dzięki panu... Pan im przecież dodał odwagi... — pocieszała mnie inteligentna młoda kobieta — Tyle tylko,

że musi pan wyjaśnić tym w powiecie i województwie dlaczego nasze delegacje będą powoływać się na pana, i dlaczego będą nazywać pana posłem... — skończyła uśmiechając się.

I tak oto zdarzyła się w drugiej połowie XX wieku sytuacja żywcem wzięta z Gogola... Martwiłem się jedną sprawą... Nigdy nie będę mógł pojechać do tamtej wsi na prawdziwe spotkanie autorskie. W jakiż sposób mógłbym ludziom wytłumaczyć, że nigdy w życiu nie byłem posłem? A oni sami poczuliby się oszukani, zawstydzeni, zażenowani... Nie, nie mógłbym już tam pojechać... zwłaszcza, gdyby okazało się, że w urzędach do których wysłali swoje delegacje — do czego ich namówiłem — niczego im nie załatwiono lub zbyt obiecałkami, których nigdy nikt nie zamierzał spełnić...

Tak, powyższe zdarzenie posiada ważki podtekst... Okrutny podtekst.

Gwoli ścisłości wyjaśniam, iż przyczyna nieporozumienia była bardzo prozaiczna. O tym dowiedziałem się już po powrocie do domu i po sprawdzeniu... Otóż pracowniczka gminy otrzymała z województwa telefonogram — i zamiast prawidłowo zapisać jego treść „*Przyjeżdża poeta ziemi koszalińskiej...*”, zapisała „*Przyjeżdża poseł ziemi koszalińskiej...*”

Często przypomina mi się pewne zdarzonko, które głęboko zapadło w moją pamięć, choć nie było ono wielkiej wagi. Ot, pogawędka towarzyska. Rzecz miała miejsce w czasie Dni Książki w Szczecinie, które przez wiele lat organizowano w tym mieście.

Siedzimy przy kolacji w jednej ze szczecińskich restauracji. Przy stole Władysław Machejek, Eugeniusz Paukszta, Włodzimierz Sokorski i ktoś z gospodarzy. W pewnej chwili dopiąłem się do Włodzimierza Sokorskiego wygłaszającego krytyczne uwagi pod adresem prezesa Radia i Telewizji (nota bene Macieja Szczepańskiego!), który od pewnego czasu zajmował jego miejsce.

— A dlaczego pan będąc na tym stanowisku nie starał się przeciwdziałać złu o którym teraz mówi — maniakalnie powtarzałem, chcąc zmusić Sokorskiego do odpowiedzi.

Po dłuższej chwili moich natrętnych i męczących molestacji, Włodzimierz Sokorski wreszcie odpowiedział.

— Bo byłem prezesem! — rzucił w zdenerwowaniu największy, przygwożdżający mnie argument.

Rzeczywiście, zamilkłem całkowicie pokonany. Na takie dictum nie miałem riposty.

*Moi obrońcy
poznali mnie
przebywając
w więzieniu*

Któregoś pięknego wieczoru jestem w koszalińskiej restauracji „Bałtyk”. Zapłaciłem rachunek za jakieś anonimowe towarzystwo i najspokojniej w świecie wychodziłem z lokalu. Przy szatni panował nie mniejszy tłok niż na sali. I właśnie w tym ścisisku musiałem kogoś po-

trącić. Pretensję o to zaczęło żywić ogromne, podchmielone chłopisko o iście hadesowej twarzy, z nosem jak żuraw, z dwoma sterczącymi zębami w górnej szczęce. Poprzez głowy innych, którzy nas rozdzielali, wyciągnęły się do mnie ręce jak wysuwają się szczęki dźwigu po upatrzony ładunek. Nie jestem z natury aż taki tchórzliwy, sam kiedyś uprawiałem boks, ale teraz naprawdę skuliłem się przyduszony do ziemi uczuciem rezygnacji. Postanowiłem, że nie będę jednak uciekać. Nawet, jeśli mnie zbije, będzie to poświęcenie się dla ludu, cena jaką zapłacę za doświadczenie życiowe potrzebne pisarzowi. Tak sobie chytrze tłumaczę zawsze podobne, beznadziejne sytuacje. Należy im wybaczyć, bo nie wiedzą co czynią — odezwała się we mnie nuta chrystianizmu. Ręka olbrzymia była już o kilka centymetrów ode mnie. Wciąż nie mógł mnie dostać swoją szponiastą dłonią, bo przeszkadzali mu ludzie między nami. Niestety, zrobi to niechybnie. Jest przecież ogromny i silny, a więc wnet dostanie się do mnie, ja natomiast nie mam możliwości wycofania się, bo wciąż napierają na mnie ludzie przepychający się do szatni. I wtedy szatniarka, która jest moją znajomą krzyknęła ostrzegawczo wymieniając moje nazwisko. Widocznie znała siłę dryblasa. Te-

raz odbyło się wszystko tak błyskawicznie, że mogłaby to tylko pokazać kamera filmowa w zwolnionym tempie. Kiedy już szpony (jak szczęki dźwigu) miały mnie osiągnąć, ktoś rąbnął napastnika w podbródek, ktoś inny poprawił. Mój potężny agresor z nosem jak żuraw, zaczął broczyć krwią. A więc ciosy, którymi go „obdarowano” były potężne, jeśli taki chłop zwinął się w tłumie jak parciały manekin. Uchwyciłem twarz jednego z moich obrońców. Obaj jednak wybawcy błyskawicznie zniknęli. Wyślizgnąłem się bezpiecznie, bo mego napastnika odprowadzał ktoś do toalety, już niegroźnego, wręcz potulnego.

Moich obrońców udało mi się dopaść dopiero na ulicy. Chciałem im podziękować, bo przecież dokonali tego wszystkiego bezinteresownie, nie licząc nawet na to, że kiedyś się spotkamy. Poznali mnie, ale niezbyt ucieszyli się widząc przy sobie. A więc nie chcą nawet podziękowań?

— Ludzie nie mają żadnej kultury... To ciemna hołota — powiedział do mnie ten, którego twarz zapamiętałem, a jego ton świadczył, że przeprasza mnie i wstydzi się za dryblasę, który chciał mi spuścić cięgi.

Przytaknąłem skwapliwie.

— A komu mam przyjemność zawdzięczać ratunek? — zapytałem ciepło.

— To nieważne. My nie mamy nic wspólnego z tamtym — powiedział szybko, drugi, oglądając się uważnie za siebie.

Pierwszy z nich przyśpieszył kroku. Tak, byli niezadowoleni z mojego towarzystwa, i najwyraźniej chcieli się jak najszybciej ode mnie oderwać. W milczeniu przecięliśmy kilka ulic oddalając się od centrum miasta. Widocznie teraz poczuli się bezpieczniej, bo zwolnili kroku. Napięcie jakby trochę spadło, atmosfera odtajała.

— My pana bardzo dobrze znamy i bardzo lubimy. Pan jest koszańskim poetą — powiedział ten pierwszy.

— A skąd panowie mnie znają? — zapytałem mile połączony w tzw. ambicję.

— My pana nigdy dotąd nie widzieliśmy. Szatniarka krzyknęła do pana po nazwisku — wyjaśnił drugi.

Zamilkli, jakby postanowili na tym zakończyć wyjaśnienia.

— Może panowie byli na moim spotkaniu autorskim? — po-
magałem.

Jeszcze milczeli.

— Albo spotkaliśmy się gdzieś w restauracji? — znowu py-
tałem, bo paliła mnie ciekawość podniecana próżnością.

— Dopiero dziś, po dwóch latach, poszliśmy do knajpy —
powiedział jeden z nich.

Wyglądają na starych bywalców lokali, a przede mną udają
świętoszków, myślałem. Dalej nic nie rozumiałem. Szkoda, że
upierają się przy tak naiwnym kłamstwie. W świetle latarni
ulicznej widziałem ich twarze z bliznami, dziwnie rozbiegane
oczy. O, naiwni, oszukacie może kogo innego, ale nie mnie —
znowu pomyślałem i już w duchu złościłem się na nich. Szli
teraz wolno i wydawało mi się, że krępują, ujarzmiają swoje
energiczne ruchy, swobodny sposób bycia.

Nagle jeden z nich przystanął.

— Ten cholerny bandzior chciał pana pobić — usłyszałem.

— Powiedz panu wprost, nie owijaj niczego w bawełnę...
Widać, że z pana równy chłop — odezwał się drugi do swego
kolegi.

— Tak, wczoraj wyszliśmy z ciupy — powiedział pierwszy
i odetchnął z ulgą, jakby mu kamień spadł z serca. — Proku-
rator uznał nas za chuliganów, a my niewinni.

— Proszę pana, ten prokurator, to była baba — wtrącił
drugi, jakby to stanowiło niezbity dowód ich niewinności.

Teraz dopiero rozwiązały im się języki. Oni są naprawdę
niewinni. Dali wciry facetowi, który ich oszukał. Co w tym
złego? Ale popadli na prokuratora babę i ta im dołożyła. I jaka
tu sprawiedliwość! To oni wymierzili sprawiedliwość facetowi,
który oszukiwał i to nie tylko ich. Wynikało z ich opowieści,
że raczej powinni dostać nagrodę, a tu posadzono ich aż na
dwa lata.

— Nigdy mnie nie widzieliście?

— Nie widzieliśmy — odpowiedział ten, którego zapamięta-
łem jeszcze w lokalu.

— Jak to, nie widzieliście, Skąd więc...?

— Widzieć, nie widzieliśmy, ale my przez dwa lata czytaliśmy „Głos Koszaliński” z pańskimi wierszami, często też słuchaliśmy pana opowiadań w radiu... — wyjaśniali jeden przez drugiego. — Wiemy, że pan jest koszaliński poeta...

Zdębiałem.

— My pracowaliśmy na budowie — uzupełnił jeden z nich.

— Wczoraj wyszliście...? — powiedziałem cicho, nie wiedząc jak swoje zdziwienie wyrazić. — A dzisiaj...? — jąkałem się — Przecież was znowu mogli zamknąć?

— Za co? — obruszyli się jednocześnie. — I to pan mówi...
My sprawiedliwie.

— Ale znowu ryzykowaliście — szepnąłem, bo nie bardzo wiedziałem jak im rzecz całą wytłumaczyć. Nie chciałem okazać się niewdzięcznikiem, oni mnie przecież uratowali. Było mi ich naprawdę żal, przeze mnie mogliby znowu... Czy żaden z nich tego nie rozumie? Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, że wyjaśnianie im czegokolwiek byłoby względem nich nietaktem. Jeszcze, nie daj Boże, pożałują, że mnie ratowali, takiego niewdzięcznego faceta... — No tak... Bardzo panom dziękuję...

Czy mogłem swoim sprawiedliwym wybawcom nie przyznać racji? Pożegnałem się z nimi niezwykle serdecznie.

Swego czasu w jednej z koszalińskich księgarni miałem odbyć spotkanie połączone z podpisywaniem własnych książek. Niestety, do spotkania nie doszło.

— Serdecznie pana przepraszamy, dziś w nocy dokonano u nas włamania — zatelefonowała do mnie sympatyczna pani z księgarni.

— A czy były tam moje książki? — zapytałem.

— Tak, oczywiście — padła odpowiedź.

— Aha, rozumiem — ucieszyłem się.

W słuchawce chwilę trwała cisza.

— Czy skradziono moje książki?

— Tego jeszcze nie wiemy.

— Bardzo proszę o wiadomość na ten temat.

Sympatyczna pani z księgarni spełniła moją prośbę. Po tygodniu zadzwoniła.

— Na szczęście, pańskich książek nie skradziono — obwieściła mi radośnie.

— Niestety, fakt ten wcale mnie nie ucieszył — odpowiedziałem z powagą.

— Może dlatego nie skradziono pańskich książek, bo były one na dalekim zapleczu magazynu — usłyszałem wyjaśnienie.

I tak oto spotkało mnie głębokie rozczerowanie. Nie stać było szlachetnych włamywaczy (kradli przecież książki!) na równie szlachetny gest w stosunku do własnego miejscowego pisarza!

Któregoś dnia roku 1971 zaproszono mnie na spotkanie autorskie z kołem wędkarskim w jednym z koszalińskich miasteczek. Zaproszeniem tym ucieszyłem się bardzo, bowiem potwierdzało ono, iż mam czytelników w jakże różnych środowiskach. Radość moja była jednak przedwczesna. Po kilku dniach otrzymałem telefon. Mówiący do mnie mężczyzna przedstawił się jako prezes koła wędkarskiego, które zaprosiło mnie na spotkanie. W następnych słowach poinformował, że spotkanie nie może się odbyć, bowiem nastąpiła pomyłka. Otóż członkowie koła sądzili pierwotnie, iż moja książka pt.: „Człowiek z rybą” traktuje o sprawach wędkarskich.

— To zbiór opowiadań psychologiczno-obyczajowych, i jest tam tylko jeden epizodzik o łowieniu ryb przez zupełnego laika sztuki wędkarskiej — wyjaśniłem zgodnie z prawdą.

— No właśnie — usłyszałem słowa pełne wyrzutu i wstrzymanego gniewu — Kupiliśmy dla naszych członków kilkadziesiąt egzemplarzy pańskiej książki... — jękliwie westchnął człowiek po drugiej stronie telefonu.

— Egzemplarze można zwrócić księgarni — odpowiedziałem z poczuciem winy.

— Kiedy księgarnia w naszym miasteczku nie chce już ich

przyjąć — usłyszałem żałośnie wypowiedziane słowa. — A my nie jesteśmy w stanie uzasadnić w naszych dokumentach kupna pańskich książek!

Niestety, mimo najszczerzych chęci, niczego rozsądnego nie mogłem doradzić prezesowi. Pocieszam się jednak, że koło to nie zbankrutowało z powodu kupna kilkudziesięciu egzemplarzy mojej książki, i nikt z jego zarządu nie siedzi za niewłaściwe wydatkowanie społecznych pieniędzy.

Na ogół pisarze mieszkający na prowincji mają kompleks tejże prowincji. W powszechnym odbiorze o wiele poważniej i bardziej przekonująco brzmi termin „pisarz warszawski” czy „pisarz krakowski” niż pn. „pisarz koszaliński”; jak się wydaje, kompleks ten mają pisarze mieszkający na prowincji bez względu na wartość swojej twórczości, nawet ci uznani przez krytykę literacką, mający ugruntowane już swoje miejsce w literaturze. Kompleks ten w pewnej mierze wytworzyła nasza rodzima snobistyczna krytyka literacka, jak również snobistyczny czytelnik. (A może źródło tego kompleksu sięga głębiej, jest w naszej mentalności. Nie miejsce jednak w tych „Zapiskach”, aby to analizować). Ponadto kompleks ten pogłębiają również inne przyczyny. M.in. autor mieszkający na prowincji oddalony jest od wydawnictw i czasopism literackich, ma więc o wiele trudniejszą drogę, zarówno do książki pierwszej jak i do następnych.

Inna niewygoda pisarza na prowincji, szczególnie w wypadku gdy długo mieszka w niewielkim mieście, polega na tym, że znają go mieszkańcy klatki schodowej, kamienicy, ulicy, osiedla, wreszcie zna go całe miasto. Mieszkając w takim mieście pisarz obcuje z ludźmi bezpośrednio, styka się z nimi twarzą w twarz, ludzie widzą jego przywary dziwić się nieustannie, iż wcale nie różni się on od nich, nie jest w czymkolwiek doskonalszy od innych. Pisarz w takim przypadku jest w sytuacji w myśl przysłowia „Nikt nie jest prorokiem między

swymi". Ludzie-czytelnicy przyzwyczaili się i to przyzwyczajenie-widzenie przechodzi niejako w „genach” z pokolenia na pokolenie, iż pisarza nie zna się osobiście, że pisarz to tylko ten, który żył dawniej. Na którymś ze spotkań autorskich usłyszałem cytowane już na tych stronicach pytanie-zdziwienie: „Jak to tak, jest pan pisarzem i jeszcze żyje?” I co było dla mnie podwójnym zaskoczeniem, pytanie to wypowiedziała młoda osoba. (Niewiele więc dokonała w tym względzie telewizja i radio, a nawet spotkania autorskie). Pisarz kiedyś był kimś tajemniczym, fascynującym, bo go powszechnie ludzie nie znali osobiście, nigdy nie widzieli. Wyobrażali więc go sobie jako istotę nadludzką, wyjątkową, doskonałą... Oto co znaczy „umasowienie” kultury, a w tym i pisarza! Teraz, kiedy czytelnik widzi pisarza, może z nim rozmawiać, spotyka go na co dzień kupującego w sklepie ziemniaki i cebulę, maleje on w jego oczach, szarzeje, przestaje być kimś wyjątkowym.

Część artystów, a w tym i pisarzy, nie dba o dobra materialne. (Zresztą, na ogół nie mają takich możliwości!) Jeżeli więc pisarz — a dotyczy to szczególnie pisarzy prowincjonalnych — jest dość znany w swoim środowisku, a jego status materialny kiepski, wtedy, pożałuj Boże, w oczach ludzi maleje on do zera.

Oto jeden z przykładów na potwierdzenie powyższego twierdzenia.

W pewnym okresie moja żona dała ogłoszenie do gazety w sprawie zamiany mieszkania na większe. Już w tym samym dniu, w którym ukazało się ogłoszenie, odwiedza nas kobieta zainteresowana zamianą. Ja akurat siedzę w swoim pokoju i pracuję.

— Czy pani mąż to nasz koszaliński poeta? — pyta tuż po wejściu gość.

Żona odpowiada twierdząco.

— Nigdy nie myślałam, że tak znany pisarz nie ma własnej willi?

Tylko tego brakowało? Teraz już żona długo nie da mi spokoju! — myślę z przerażeniem.

Ale to jeszcze nie wszystko.

— Chyba nie powie pani, że nie macie nawet samochodu?

Tego już było dla mnie za wiele, więc wychodzę ze swego pokoju. Żona stoi z opuszczoną głową, milczy.

— E, co to za pisarz z pani męża! — triumfuje nasz gość.

— Nie, nie mamy samochodu, a teraz to już nawet nie chcemy zamieniać mieszkania — mówię grzecznie i otwieram drzwi gościowi, który tak wysoko mnie oceniał zanim nie dowiedział się o moim ubóstwie.

Opisana wyżej wizyta była pierwszą i ostatnią w sprawie zamiany mieszkania. Wspólnie z żoną zrezygnowaliśmy z tego zamiaru.

P. S. Jako debiutant marzyłem o popularności — teraz jakże obróciła się ona przeciwko mnie!

Tak się złożyło, iż w którymś tam roku, dzięki pewnym dobrym układom, miałem możliwość przeniesienia się do stolicy i podjęcia pracy w centralnym programie radiowym. Miało to miejsce akurat przed reorganizacją w Naczelnej Redakcji Programów Literackich polegającą na połączeniu w jedną redakcję niektórych samodzielnych do tamtego czasu. Na stanowisko kierownika dwóch połączonych redakcji (poezji i prozy) zostałem już nawet zatwierdzony przez odpowiedniego viceprezesa i od pierwszego miałem objąć to stanowisko. Mieszkanie z puli dla literatów obiecano mi w przeciągu trzech miesięcy od zamieszkania w Warszawie. I to w bardzo dobrej dzielnicy Piaski, w której rzeczywiście wykańczano kolejne bloki. Natychmiast fama o moim przeniesieniu się do Warszawy rozeszła się lotem błyskawicy, zarówno na prowincji jak i w samej stolicy. I wtedy o tych samych moich książkach, o których dotąd krytycy pisali bardzo źle, zaczęły ukazywać się niezwykle pochlebne recenzje. Oczywiście natychmiast połączyłem to z faktem mego rychłego przejścia do Warszawy. I być może — oprócz zwykłego tchórzostwa — to niespodziewane „docenienie” mnie przez krytykę literacką, uznanie za tak wartości-

wego pisarza, odstręczyło na zawsze od zamiaru zamieszkania w stolicy. A szkoda, bo przecież wszystko było na dobrej drodze i krytyka literacka, to bardzo prawdopodobne, w krótkim czasie zrobiłaby ze mnie geniusza! A ja odwiedzając się, jako kierownik Redakcji Poezji i Prozy, zapraszałbym często do udziału w audycjach krytyków piszących o mnie pochlebnie. Gdy zrezygnowałem z przejścia do Warszawy, natychmiast przestano o mnie pisać, a po jakimś czasie znowu pisano jak poprzednio, czyli niezwykle ostro, wręcz napastliwie. A mogłem temu zapobiec w tak prosty sposób! Przenosząc się do stolicy wszedłbym na pewno w korzystne układy. (Dlaczego ja w ogóle nigdy nie byłem w porządnym układach!). Tak, ma rację Artur Sandauer, gdy mówi, że właśnie układy (dobre i ważne) nadają rangę pisarzowi w naszym kraju.

Zdaję sobie sprawę z tego, że skazanie siebie na stałe zamieszkiwanie w małym mieście jest dosyć kłopotliwe. Może więc, jak często w życiu, zrobiłem to w myśl zasady jednego z rewolucjonistów-socjalistów (nie pamiętam jego nazwiska), który powiedział, że jeśli nie wiesz jaka droga jest najlepsza, wybierz najtrudniejszą.

Gdybym mieszkał w stolicy, na pewno nie miałoby na przykład miejsca następujące zdarzenie.

Któregoś popołudnia oglądając w telewizji etiudę filmową „Kołysanka”, ze zdziwieniem i emocją słuchałem słów komentatora do tego filmu. Komentarzem tym był mój wiersz pt. „Stworzenie morza” (Nota bene: czytał Zbigniew Zapasiewicz). Niestety w napisach, zarówno czołowych jak i końcowych, nie znalazłem swego nazwiska, jako autora wykorzystanego utworu, choć podano obok reżysera nazwiska wszystkich innych osób mających choćby najmniejszy związek ze wspomnianą etiudą. Ale to drobiazg.

Nadal nie narzekam, bowiem pisarzowi mieszkającemu na prowincji zdarzają się stokroć gorsze rzeczy. I nadal, podobnie jak moi koledzy z innych regionów, wiódę pełen optymizmu żywot prowincjonalnego pisarza. I to może dobrze, iż taki żywot nie jest łatwy i nie pozbawiony zaskakujących niespodzia-

nek. Dzięki tym niespodziankom przynajmniej nie zgnuśnieję! Na przykład jedna z takich niecodziennych sytuacji miała miejsce kilka lat temu w restauracji w Białogardzie, w mieście gdzie zdawałem maturę.

W pewnej chwili przedstawiłem się memu sąsiadowi przy stoliku, który był już pod dobrą datą. Słyszając moje nazwisko krzyknął on niesamowicie rozsierdzony: „Ty draniu, nie podszycuj się pod naszego koszalińskiego pisarza”, i rzucił się na mnie z pięściami. Niestety, musiałem się bronić. Mimo, że z tego pojedynku w obronie siebie, a dokładniej własnego nazwiska, wyszedłem nie bez szwanku, dumny jestem, iż mój czytelnik (bo chyba jednak nim był) atakując mnie, stanął przecież w mojej obronie, a może jeszcze dokładniej, w obronie swego — jak to często bywa — wyidealizowanego wyobrażenia o pisarzu.

Spotkanie

ze

Sztaudyngerem

Pisarze prowincjonalni także biorą udział w ogólnopolskich zjazdach Związku Literatów Polskich, co umożliwia im osobiste zetknięcie się z aktualnymi polskimi sławami pisarskimi.

Z krakowskiego Zjazdu (odbył się on 3—5 XII 1965 r. i był bardzo burzliwy) zachowałem w pamięci taki oto epizodzik.

Długi sznur stojących w karnym ordynku przed recepcją w hotelu „Cracovia”. Stoimy bez względu na dokonania w literaturze, nieważny tu także stopień sławy — miejsce w kolejce zajmujemy też bez względu na ilość wydanych książek i cenzurki wystawione przez krytyków. (I być może, najmniej znany pisarz albo ten, którego bez przerwy besztła krytyka, tu właśnie pomyślał tęsknie, z marzycielskim westchnieniem, że historia i czytelnicy mogą właśnie tak przemieszać kolejność miejsc na Parmasie jak teraz przypadkowo stoją pi-

sarze przed recepcją. Tu każdy ma jednakowe prawa, bowiem wszyscy jakoś tam, lepiej czy gorzej, ale „zameldowali” się już w literaturze. A więc mają prawo potwierdzić to zameldowanie również na Zjeździe Pisarzy. Za ladą recepcji uwijają się młodziutki, sympatyczne dziewczęta z wyhaftowanym w klapach kostiumów słowem „Uczeń”. Te młodziutki dziewczęta z Technikum Hotelarskiego mają wielką frajdę. Sprawdzają bowiem dowody osobiste wybitnym pisarzom, których wierszy musiały się uczyć na pamięć lub czytać powieści i opowiadania, aby potem męczyć się z ich streszczeniem. Być może, niejedna z nich oberwała dwóję za któregoś ze starszych panów, stojących teraz w kolejce. A jest tu wielu rzeczywiście znanych pisarzy. Przed sobą widzę Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Putramenta i Juliana Przybosa, za mną także kilku autorów, którzy od dawna są już w lekturach szkolnych. Patrę i próbuję się domyśleć, co też te podlotki mogą czuć trzymając w swoich rączkach dowody osobiste tak wybitnych i sławnych pisarzy. Obserwuję uważnie ich wyraz twarzy, ruchy, a nawet wsłuchuję się w barwę głosu, gdy mówią: „proszę”, „dziękuję”... Uczennice są jednak spokojne, uprzejme, powiedziałbym, że nawet w odrobinę dostojny sposób załatwiają tylu niezwykłych gości. Oto jedna z nich, pulchniutka jak pączek, o ładnej, choć trochę lalkowatej twarzy, bierze dowód Jarosława Iwaszkiewicza. Patrę uważnie. I nie bardzo wierzę własnym oczom i uszom. Nic, zupełnie nic. Dziewczyna zachowuje się najspokojniej w świecie; żadnego wewnętrznego rwetesu, podniecenia, drżenia rąk przy wpisywaniu nazwiska do książki hotelowej, najmniejszej emocji w głosie. Za chwilę wypisuje druczek meldunkowy Jerzy Putrament. To samo. Uczennice przejawiają spokój, absolutny spokój. Potem jeszcze kilka osób. Przesuwam się trochę w bok, bo zasłania mi widok wysoki, siwy pan tuż przede mną. Druczek wypełnia Jan Dobraczyński. Może na jego widok zadrży głosik podlotkowi w recepcji? Wiadomo, to przecież popularny pisarz katolicki. Ale gdzie tam! To samo co przedtem, dziew-

częta zachowują się spokojnie. Jestem rozczarowany i trochę zbulwersowany. Ja przecież, gdy pierwszy raz rozmawiałem z tymi samymi pisarzami, przeżywałem nie lada emocję i treść! Usiłuję dać spokój w swoich myślach uczniom z recepcji. A jednak, myślę dalej, obserwacja ich w bezpośrednim kontakcie z wybitnymi pisarzami, ich reakcja, a raczej brak całkowitej reakcji, to także jakaś wiedza. Teraz podaje dowód siwy, szczupły pan w okularach tuż przede mną, który mi zasłaniał widok. Spośród stojących w kolejce, nie znam tylko jego nazwiska. Nagle pomyślałem, czy uda mi się dostać pokój jednoosobowy. A gdyby tak jeszcze z łazienką... Wiadomo jak się człowiek czuje i wygląda po tej piekielnej podróży prawie przez całą Polskę, znad morza do Krakowa. I w tejże chwili, zupełnie przypadkowo, opierając się o barierę recepcji zerknąłem na pulchną uczennicę. Dziewczę drżącymi rękami, z wypiekami na twarzy, trzyma dowód siwego pana w okularach. Rumieńce na jej twarzyczce nabierają intensywności pałowej róży. Drżącym, załamującym się głosikiem zwraca się do siwego pana, nie wiadomo za co przeprasza. Trzymając jego dowód w obu dłoniach biegnie do grupki swoich rówieśnic uczennic-praktykantek. Pokazuje im dowód, do najwyższego stopnia podekscytowana coś im chaotycznie tłumaczy. Rumieniec, jak pod wpływem podłączenia źródła prądu, pojawia się na wszystkich młodych twarzyczkach. Dziewczyny natychmiast podbiegają i gromadzą się przed szczupłym panem w okularach. Ta pierwsza z dowodem osobistym w ręku — najwyraźniej najszczęśliwsza i najważniejsza dzięki temu dokumentowi — najdelikatniej i jak tylko można najuprzejmiej, załatwia formalności hotelowe siwemu panu. Podsuwa swój pamiętniczek w czerwonej oprawie, za chwilę robią to samo wszystkie jej koleżanki. Przed panem w okularach wyrasta stos różnokolorowych pamiętników. Oczywiście pierwszeństwo, jeśli chodzi o dedykację, ma ta panienka, która załatwia pana w okularach. Szczupły pan zamaszyście wpisuje do pamiętników kilkudzaniowe dedykacje. Udziela się i mnie

nastrój podniecenia wytworzony przez miłe dziewczęta. Skąd ta nagle emocja i zainteresowanie? Jak się nazywa ten pisarz, że dopiero on potrafił podniecić aż do tego stopnia te młode duszyczki, które nie przejawiały prawie żadnego zainteresowania takimi sławami jak Iwaszkiewicz, Putrament czy Dobraczyński? Otwarty pamiętnik akurat podaje dziewczę o niebieskich oczach, z dwoma dołeczkami w twarzy. Wymykam się spod ramienia stojącemu przede mną i przechylam się przez ladę recepcji. Teraz wszystko widzę i słyszę doskonale.

— Jak pani na imię? — pyta nieznany mi osobiście pisarz wpisujący dedykację.

— Ania — szepcze i romantycznie płoni się właścicielka pamiętnika.

Opieram się rękami o barierę recepcji unosząc nogi nad posadzkę. Odczytuję:

„Ja do Ani, Ani, Ani

A Ania ani, ani, ani...

Jan Izydor Sztaudynger”

A więc to popularny Sztaudynger! Cała Polska zna fraszki Sztaudyngera, a ja go dopiero przed chwilą zobaczyłem po raz pierwszy w życiu... Świetny fraszkopisarz oddaje z uśmiechem pamiętnik Ani. Ta dziękując dyga z przejęciem i pieczołowicie chowa pamiętnik pod ladę. Jan Izydor Sztaudynger w następnych pamiętnikach podpisuje się już tylko imionami i nazwiskiem. Bierze klucz. Najpewniej jednosołowego pokoju z łazienką, mimo, że przyjechał z pobliskiego Zakopanego, myślę zazdrośnie. Autor najlepszych fraszek erotycznych w Polsce idzie na górę do swego pokoju. Kolej na mnie. Podaję swój dowód osobisty tej samej, co Sztaudynger uczennicy-recepcjonistce. Sprawdza na liście moje nazwisko, podaje druczek meldunkowy. Postanawiam działać. Chwilę czekam bez słowa, z grymasem niezadowolenia wpatruję się w ładną twarzyczkę. Za kilka minut dziewcz-

czę wręcza mi klucz do pokoju. Przybieram poważną, groźną minę na jaką mnie tylko stać.

— A mnie panienci nie podają pamiętników? Ja też jestem poetą i przyjechałem na zjazd Związku Literatów — mówię udając, że nie panuję nad nerwami. — Jakże to tak, panienci, bardzo nieładnie z waszej strony! — przybieram surową, mentorską postawę. — Co wy sobie myślicie!

Natychmiast przede mną wyrasta sterta pamiętników, nie mniejsza niż przed Janem Izydorem Sztaudyngerem. Patrzę z udaną wyższością na kolorowe, ozdobne, ze złożonymi literami okładki.

— Poproszę o pamiętnik Ani — mówię tonem jeszcze poważnym, a już lekko, dla rozładowania napięcia, uśmiechając się.

Rozpromieniona wyróżnieniem (teraz wyróżnieniem!) Ania znajduje swój pamiętnik.

— Proszę poszukać strony na której wpisał się pan Sztaudynger.

Ania nerwowo, z przejęciem przewraca kartki, podaje otwarty na właściwej stronie pamiętniczek. Szybko wpisuję się tuż pod dedykacją popularnego fraszkopisarza. Natychmiast odchodzę zostawiając rozczarowane (teraz naprawdę rozczarowane!) koleżanki Ani brakiem mojej dedykacji również w ich pamiętnikach. Kiedy byłem już na schodach prowadzących na górę do mego pokoju, obejrzałem się w stronę recepcji. Wszystkie uczennice ściśnięte i przytłone do siebie pochylały się nad otwartym pamiętnikiem Ani. Odczytywały dedykację ze strony pamiętnika, która wyglądała teraz następująco:

*„Ja do Ani, Ani, Ani
A Ania, ani, ani, ani...”*

Jan Izydor Sztaudynger”

*„Do Ani u Sztaudyngera
Już ani, ani chęć szczerą*

Czesław Kuriata”

W taki oto sposób „ułożyłem” fraszkę erotyczną, zazdrozcząc sławy samemu Sztaudyngerowi! Myślę, jak myślałem i wtedy, że świetny fraszkopisarz wybaczyłby mi tamten krakowski fraszkowy żart. Wiadomo, jaką bronią walczysz... Jednakże żałuję bardzo, że nie opowiedziałem podczas tamtego zjazdu Janowi Sztaudyngerowi o zdarzeniu z pamiętnikiem Ani. Na pewno otrzymałbym reprimendę w postaci kolejnej fraszki. Gdyby tak się stało, wtedy niniejsza historia byłaby bogatsza! A może nawet doszłoby do długiego fraszkowego pojedynku, który przeszedłby do historii literatury?

Zabawa w detektywa

Zjazdy Związku Literatów Polskich bywają różne. Trudne i łatwe, nudne i ciekawe. Są zjazdy o ważącym znaczeniu dla środowiska literackiego a są, i tych ostatnich w ćwierćwieczu naprawdę odbyło się wiele, po prostu spotkaniem się

starych znajomych lub okazją do zawarcia nowych znajomości nie tylko przy kawie. I chyba ten aspekt towarzyskich spotkań i dyskusji, bezpośrednich rozmów, wzajemnego poznawania się pisarzy, jest nie mniej ważny od oficjalnych referatów i tzw. zadań generalnych jakie poszczególne zjazdy miały spełniać. Zjazdy pisarzy, to również w mniejszym lub większym stopniu, poznawanie regionu, w którym one się odbywają. Nie o tych jednak poważnych aspektach Zjazdów Literatów chciałbym opowiedzieć. Z moich osobistych doświadczeń wiem, że każde spotkanie pisarzy obfituje w przeżabawne zdarzenia, które urastają po latach do rangi anegdot, obrastają w legendę, są powtarzane w formie uroczych wspominków. Chciałbym więc w tym miejscu opowiedzieć pewną bląhą historyjkę związaną z jednym ze zjazdów bydgoskich. Tym chętniej o tym drobnym, a zabawnym wydarzeniu opowiem, iż nie zostanie ono w żadnych oficjalnych

dokumentach. Wydarzenie to jednak oprócz uroku i „zabawności” ma pewną wymowę... Ale nie ubiegajmy faktów.

Na wspomnianym zjeździe było nas tylko dwóch z koszańskiego oddziału. Ja, jako prezes — a więc zgodnie ze zwyczajem, gość zjazdu (bez prawa głosowania) i Zbyszek Kiwka, którego wybraliśmy delegatem. Nam, małemu oddziałowi przypadał tylko jeden mandat, więc prezes na ogół nie kandydował na delegata, bo i tak brał udział w zjazdach. (Gdzież te czasy, gdy (najczęściej w dwójkę ze Zbyszekiem Kiwką), wracaliśmy do domu ze zjazdu w Warszawie przez Kraków, a z Katowic przez Białystok i Olsztyn. Niestety, z lat tych pozostały już tylko wspomnienia!)

W którymś momencie podczas bydgoskich obrad nad czymś tam głosowano (procedura głosowania z liczeniem głosów ponad stu delegatów trwa długo) i na salę wpuszczano uczestników zjazdu tylko z mandatami. Stałem w hallu i nudziłem się straszliwie, bowiem kolega z oddziału, Zbyszek Kiwka, jako delegat, musiał uczestniczyć w obradach. Potem zacząłem się piekielnie niecierpliwić, bo przypomniałem sobie, że na sali obrad zostawiłem aparat fotograficzny (markę pamiętam do dziś: „Penti II”). Niestety, nic nie pomogły moje wyjaśnienia i prośby, na salę obrad mnie nie wpuszczono. Nagle zobaczyłem w hallu innego prezesa oddziału, także tylko gościa zjazdu. Był to popularny prozaik, którego w tej opowieści będę oznaczał symbolem NN, nie chcąc (jak się później okaże ze zrozumiałych względów) podawać nazwiska. Tak się złożyło, że nie zetknęliśmy się na tym zjeździe bezpośrednio, więc ściskamy się teraz jak zwykle serdecznie i wylewnie. NN jest już po dobrej wódce, więc chcę się nim zaopiekować i odwieźć do hotelu, bo szkoda, żeby taki klawy chłop kłuł oczy (szczególnie przedstawiciele władz) swoją zachwianą postawą. Zresztą, zaopiekować się nim nakazuje solidarność, jutro ja mogę potrzebować jego opieki. NN nagle przyjął twardą postawę. Opierając się o barenk w hallu rzekł stanowczo, że owszem pójdzie ze mną, ale jeżeli postawię mu setkę. Rad nie rad, przyjmuję jego warunek, zwa-

szcza, że w tym dniu w ustach miałem sucho jak na Saharze i do tego złość mnie rozpierała z powodu aparatu fotograficznego. Obyło się jednak na szczęście bez setki, wypiliśmy bowiem tylko po pięćdziesiątce. Wyprowadzam NN; chcę zawieźć go do hotelu, ale on nagle z uporem zaczyna twierdzić, że wcale nie mieszka w hotelu. Jestem zrazu przekonany, że to dzięki zjazdowym literackim dyskusjom coś mu się pokiełbało w faktologii. Pytam jednak dla formalności gdzie wobec tego zamieszkał i dodaję z uśmiechem, że może jako kosmopolita mieszka po prostu w świecie. Na dworze, w orzeźwiającym powietrzu odpowiada odrobinę trzeźwiej: zatrzymał się u znajomych i tam właśnie zostawił swoją żonę. Odpowiedź jego brzmi przekonująco, więc daję dwadzieścia złotych (to był wtedy duży pieniądz) chłopakowi za kierownicą samochodu z napisem „Zjazd Pisarzy”. Wsadzam przyjaciela do zjazdowej „warszawy”. Kierowca patrzy na nas pytająco, więc zagaduję NN: gdzie mieszkają jego znajomi. On jednak nie reaguje na moje pytania. Dopiero po wielu indagacjach moich i młodego chłopaka za kierownicą, mruczy coś niewyraźnie, że to niedaleko, za parkiem, w nowych blokach. Tak mu się przynajmniej wydaje, ale nie wie tego na pewno czy na przykład za parkiem. Potem nagle twierdzi, że to przecież nie ma znaczenia, gdzie mieszkają jego znajomi. Spostrzegam zaniepokojony, że w naszym samochodzie zrobiło mu się gorzej. W takim stanie maszerować z nim ulicami Bydgoszczy też nie ma sensu. Rad nie rad proszę kierowcę, aby jednak ruszył. Kierowca wzrusza ramionami, wyjeżdża jednak na jezdnię i włącza się w ruch uliczny. Myślę z przestрахem: jeżeli ta podróż przedłuży się, będę musiał pożegnać się z aparatem fotograficznym, a moja żona jak zwykle powie, że zjazdy pisarzy przynoszą tylko straty w budżecie domowym. Jednocześnie wiem, że nie możemy w tej chwili wrócić do budynku zjazdu, bo NN coraz głębiej zanurza się w stan nirwany. Widzę, jak z zaczerwienionych jego oczu cieką ogromne, najczystsze w świecie łzy. Płacze jak bóbr. Przepychamy się w nie-

znane ulicami Bydgoszczy, a mój kolega powieściopisarz najzwyczajniej w świecie płacze, cicho i bezgłośnie. (Dwa razy tylko w życiu „widziałem”, żeby ktoś tak bezgłośnie płakał. Moja mama podczas okupacji, co opisałem w „Galopie do Wielkiego Lasu” i teraz ten, naprawdę znakomity pisarz). Kiedy wjechalismy, bodaj już w siódmą czy ósmą ulicę, odzywa się zatroskany i zdaje się już trochę poirytowany kierowca: „Tu blisko są dwa parki, nie wiem o który chodzi”. Z konieczności odpowiadam tonem, w którym brzmi całkowita pewność siebie: „Jedź pan w okolice tego parku, gdzie jest nowe osiedle”. Po niespełna kwadransie wyjeżdżamy na teren nowego osiedla. Dopytuję się NN o ulicę, ale on wciąż milczy jak zakłęty. Kręcimy się wokół nowych bloków. Znowu zasypuję go pytaniami, używam podstępów, przemawiam do niego jak do dziecka. Wreszcie obiecuję setkę. Nic nie pomaga, domyślam się, że on niewiele z tego słyszy co do niego mówię. Kierowca, młody chłopak, więc powinno go to wszystko bawić: wiezie przecież znanego pisarza. Kierowca zaczyna się niestety wyraźnie denerwować. Kręcimy się w kółko, a mój kolega wciąż milczy jak zakłęty. Nagle uświadamiam sobie, że dwadzieścia złotych już się „skończyło”, więc ponownie płacę kierowcy. Od kolejnej dwudziestozłotówki rzeczywiście pojaśniało w samochodzie, jakby nagle intensywniej zaświeciło słońce. Znowu zasypuję NN pytaniami. Wreszcie zaczyna reagować. Mruczy coś pod nosem. Nic jednak nie mogę zrozumieć, po prostu wyrzuca z gardła przez łyzy nieartykułowane dźwięki. Proszę kierowcę, aby przystanął, nie chcę uronić uchem ani jednej sylaby, którą wypowiada sympatyczny kolega prezes. Kierowca chętnie przystaje, woli przecież stać, niż kręcić się w kółko po osiedlu aż do zawrotu głowy. NN jak na złość znowu zamilkł wraz z ucichnięciem silnika. „Na jakiej ulicy mieszkają twoi znajomi?! — krzyczę pochylając się do jego ucha. „Stulecia... Stulecia... Sto lat... Sto lat...” — mamrocze już wyraźniej. Pewnie przypominają mu się toasty, wydaje mu się, że akurat podnosi kieliszek, aby szczerze wypić na czyjaś cześć?

NN to porządne chłopisko i choć literat, kolegom po fachu życzy dobrze i nie ma u niego zazdrości, co jest zjawiskiem nierzadkim w środowiskach artystycznych, i chyba nie tylko w artystycznych. Uśmiecham się bezradnie z powodu jego spóźnionego toastu „sto lat” i daję kierowcy następną dwudziestozłotówkę prosząc, żebyśmy trochę pojeździli po osiedlu. Kierowca zapala silnik i rusza, a ja myślę ze strachem ile mi przyjdzie jeszcze wypłacić tych dwudziestozłotówek.

Znowu krążymy wokół osiedla, tam i z powrotem, przecinamy je wszerek i wzdłuż. Nagle olśnienie. Tabliczka z napisem „Ulica Wyspiańskiego”. Jest przecież stulecie urodzin Wyspiańskiego! „Mieszkają na Wyspiańskiego” — pochylam się rozgorączkowany emocją w stronę nieprzytomnego kolegi po piórze. Twarz jego tym razem rozjaśnia się. Przytakuje głową. Zatrzymujemy się na ulicy Wyspiańskiego, którą NN określił swoim „sto lat”, co ja wziąłem po prostu za pijacki toast. Przy tej ulicy jest jednak wiele kilkapiętrowych bloków. Stoimy bezradnie u wylotu Wyspiańskiego. „Jaki jest numer klatki i mieszkania”? „Jak nazywają się ci państwo, u których jest twoja żona”? Milczenie. Po chwilowym ożywieniu się NN znowu popadł w nirwanę. Stoimy kwadrans a ja bez przerwy, jak refren skanduję pytania. Nareszcie mój kolega zaczyna mruczeć, a to już jest coś w tej beznadziejnej sytuacji. Mruczenie to jakaś iskierka nadziei. Nauczony doświadczeniem wśluchuję się w jego pomrukiwanie, czujnie wyłapuję sylaby, które niosłyby jakiś sens. Kierowca wierci się, a ja — okazało się — już mam ostatnią dwudziestozłotówkę w kieszeni. Jeśli ją wydám — a podróż przedłuży się — wtedy kierowca na pewno zaprotestuje. Nie mam żadnych przedmiotów, którymi mógłbym opłacać dalszą jazdę. I jeszcze myśl: na pewno głosowanie się skończyło i zaczęła się przerwa obiadowa. Sala obrad pozostanie pusta, a wtedy mój aparat z pewnością zmieni właściciela. Odsuwam te myśli skupiając się gorętkowo na wśluchiowaniu się w pomrukiwanie kolegi prezesa oddziału. Wreszcie czytelniejsze sylaby. „Ten, t-en, ten, te,

cooo co pooodddpadł... pooodddpadł..." — wyławiam strzępki sensu. Czyżby miał na myśli jakiegoś pisarza, który ostatnio jest w niełasce? Nic nie mówiąc wyskakuję z wozu i po kolei odczytuję nazwiska lokatorów na tablicach w klatkach pierwszego bloku. Wreszcie znajduję nazwisko „Andrzejewski”... No cóż, nie mam wyboru. Zaryzykuję. Najwyżej przepraszę bydgoską rodzinę państwa Andrzejewskich, jeśli odczytanie treści szyfru poprzez analogię z Wyspiańskim zawiedzie. „A jeżeli następne nazwisko będzie Kisielewski itp.!” Wbiegam na piętro w najwyższym podnieceniu, z bijącym sercem. Tabliczka na drzwiach mieszkania z pięknie wygrawerowanymi literami w metalu „Andrzejewscy”. Naprawdę nacisnąłem guzik dzwonka drżącym palcem. Po chwili, która wydała mi się wiecznością, otwierają się drzwi i staje w nich uśmiechnięta jak zawsze żona powieściopisarza. A więc to tu! Szyfr był bezbłędnie przeze mnie odczytany!

W taki oto sposób, wykazując swoje zdolności detektywistyczne, dowiozłem znakomitego pisarza do jego znajomych i oddałem go w ręce prawowitej małżonki. Oto jak mocno żyjemy wydarzeniami w świecie literackim! Dowieszenie pod właściwy adres zawdzięczam dwom faktom. Po pierwsze, w roku 1969 obchodzono stulecie urodzin Stanisława Wyspiańskiego. Po drugie, wiedziałem jacy pisarze aktualnie byli w niełasce. Wszystko więc skończyło się pomyślnie. Dzisiaj na pewno trudniej byłoby dostarczyć powieściopisarza NN pod właściwy adres!

P.S. Gdzież ta piękna aura dawnych zjazdów, gdy każdy z każdym rozmawiał a nawet pił wódkę, bez względu na światopogląd czy poglądy polityczne. Najgorszy pod tym względem był euforyczny, rozhisteryzowany Zjazd ZLP w 1980 roku!

Oto jedno z zebrań Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Na zebraniu omawia się sprawy związane ze spotkaniami autorskimi i kiermaszami książki.

— Rzeczywiście, zarówno spotkania jak i kiermasze straciły już całkowicie sens — odbywa się w pewnej chwili Jarosław Iwaszkiewicz. — A już całkowicie bezsensowne stało się składanie dedykacji i autografów...

Iwaszkiewicz urywa tajemniczo zawieszając głos, członkowie Zarządu z zaciekawieniem czekają na jego dalsze słowa.

— Otóż, proszę sobie wyobrazić, iż na którymś z kiermaszy podслуchałem następującą rozmowę uroczych osiemnastolatek: „Mam jeden autograf Iwaszkiewicza, dostanę za to dziesięć autografów Putramenta”.

Sala wybucha gromkim, niepohamowanym śmiechem. Nim jeszcze całkowicie zdążył przebrzmieć śmiech, odzywa się siedzący obok prezesa Jerzy Putrament.

— Tak, nasz Szanowny Prezes ma absolutną rację — mówi tubalnie Putrament. — Dedykacje na spotkaniach i kiermaszach to czysty idiotyzm. Niedawno i ja podслуchałem rozmowę, być może tych samych uroczych osiemnastolatek: „Mam dwadzieścia autografów Iwaszkiewicza, na pewno dostanę za to jeden autograf Niemena”.

Sala ponownie wybucha entuzjastycznym śmiechem. Riposta Putramenta nie była, niestety, li tylko dowcipem. Sygnalizowała ona bowiem pewną głębszą prawdę!

Gdybyż jednak literatura przegrywała tylko z piosenkarami tej miary co Niemen!

A teraz jeszcze coś z życia związkowego.

Na przełomie siedemdziesiątego siódmego i ósmego roku porządkowano dokumenty członków Związku Literatów wraz z częściową wymianą legitymacji. I wtedy właśnie zamiast prawie tysięcznego numeru dostałem numer 597. Do tej pory nie wiem czy numer ten miał któryś ze zmarłych pisarzy, czy też odziedziczyłem go po pisarzu-emigrancie.

Jedna z moich znajomych renomowanych wszechstronnych wróżbitek postawiła kabałę na mój numer 597. Oto jej Klimuszkowe odczytanie:

— wszelkie egzaminy życiowe będziesz zdawał na piątkę, bowiem pierwszą cyfrą twego numeru jest właśnie piątka

— zarobisz dużo na swojej twórczości, masz przecież 9 w numerze, a to przecież liczba dobrych kupców

— osiągniesz doskonałość, albowiem numer twojej legitymacji zamyka 7-ka, którą już biblia uznała za doskonałą

— i wreszcie — i to jest również ważne — musisz być szczęśliwy, a to z tego podstawowego względu, iż suma cyfr $5 + 9 + 7$ daje 21 czyli popularne oczko.

Długo byłem cierpliwy i czekałem. Wierzyłem bowiem głęboko w przepowiednie. (W przypadku przeciwnym byłbym człowiekiem zacofanym i nie nadążającym za naszymi środowiskami intelektualno-artystycznymi!) Niestety, nie mam już żadnych szans, bowiem moja legitymacja ZLP z tak szczęśliwym numerem już nieważna. Ale co tam legitymacja, mam ważniejsze argumenty astrologiczne przemawiające na moją korzyść!

P.S. Renomowanej wróżbitce nie podałem swojej daty urodzenia — 29 kwietnia i daty imienin — 20 lipca. Otóż 29 kwietnia, to dzień urodzin obecnego cesarza Japonii, a dzień ten — zgodnie z tradycją w tym kraju — jest świętem narodowym. Zarówno w dniu moich urodzin jak i imienin, powiewają flagi. W dniu urodzin przed 1 maja, w dniu imienin przed świętem Odrodzenia. Kto wie — tak czasem myślę — może to na moją cześć!

Nie lada przeżyciem dla mnie, i moich koszalińskich kolegów po piórze, był ogólnopolski zjazd Związku Literatów Polskich w Koszalinie (1967 r.). Podobnie, jak i na wielu innych zjazdach, i tu odbył się imponujący kiermasz książki z udziałem aktualnych sław pisarskich. Oto jeden z zabawnych epizodów, który właśnie miał miejsce na koszalińskim kiermaszu.

Naprzeciwno rzędu stołów, przy których pisarze dedykują swoje książki, zatrzymuje się luksusowy samochód. Po chwili

wychodzi z samochodu koszalińskie małżeństwo mające tzw. inicjatywę prywatną m.in. hodowlę lisów i norek. Pani wyciąga walizkę z wnętrza wozu, jej małżonek jeszcze większą z bagażnika. Pochyleni pod tym ciężarem podchodzą do Jarosława Iwaszkiewicza i z dumą stawiają walizki przed nim na stoliku. Dostojnie i z namaszczeniem otwierają je i podsuwają naręcze książek do podpisania. Książek tych jest napewno ponad pięćdziesiąt, w większości po kilka wydań tych samych tytułów.

— Szanowny mistrzu, prosimy o dedykację — z dumą i wyniosłością mówi kobieta.

Na twarzy znakomitego pisarza pojawia się najpierw wyraz zaskoczenia i niesmaku, po chwili mięśnie twarzy ściąga groźny Mars. Milczenie jakie zalega zabarwione jest wyraźną konsternacją, trwa ono jednak krótko. Jarosław Iwaszkiewicz wybucha gniewem i każe natychmiast zabrać wszystkie książki i wynosić się nobliwemu małżeństwu gdzie pieprz rośnie.

Takiego obrotu sprawy ani kobieta, ani mężczyzna, nie mogą pojąć do dzisiaj, spodziewali się przecież wręcz przeciwniej reakcji. Odtąd natychmiast oboje przestali być gorącymi wielbicielami wielkiego pisarza; teraz ogromnie, autentycznie go nienawidzą, co więcej, w ogóle przestali uważać go za pisarza. Nie wiadomo tylko co zrobili z kilkudziesięcioma książkami Jarosława Iwaszkiewicza, któremu od tamtej chwili odmawiają jakiegokolwiek, choćby najmniejszego talentu?

W przeciwieństwie do Jarosława Iwaszkiewicza, nikt z czytelników pisarzom prowincjonalnym nie przynosi walizek z ich książkami, i to nie tylko dlatego, że nie mają oni tak dużego dorobku. I w przeciwieństwie do Jarosława Iwaszkiewicza, pisarze prowincjonalni nadal z przyjemnością składają autografy, mimo iż naprawdę sprawiają one nie lada kłopot. Trzeba przecież wymyśleć dedykację nieschematyczną, niestereotypową; niełatwo jednak wymyśleć na poczekaniu kilkadziesiąt oryginalnych, niebanalnych, krótkich dedykacji

— ambicja nie pozwala przecież powielania tych samych tekstów. Należy więc rozumieć gniew Jarosława Iwaszkiewicza, który brał się również i z powyższego, zwłaszcza, że owe kilkadziesiąt egzemplarzy miał zadedykować tym samym osobom.

Tak, wyznaję szczerze, w chwili składania dedykacji niewiedza mnie autentyczna rozpacz i bezradność. Spośród setek złożonych dedykacji, bez zarozumiałstwa mogę stwierdzić, iż jedna udała mi się naprawdę, co najmniej na miarę na przykład fraszki Sztaudyngera. Dedykację tę złożyłem na jednym z kiermaszy w tomiku poetyckim „Jeśli miłość nazwać”. Nabywczynią mego tomiku była młoda, śliczna dziewczyna, która prosiła, że chce wpis do rymu. Zachwycony wdziękiem młodej dziewczyny napisałem w natchnieniu następujący czterowieisz:

NIE BĄDŹ JAK KSIĘGA
NA KTÓRĄ SIĘ PRZYSIĘGA
LECZ JAK KSIAŻKA CZYTANA
DO SAMEGO RANA!!!!!!!!!!

W mojej, i moich kolegów pamięci, pozostanie już chyba na całe życie wspomniany Zjazd Związku Literatów Polskich w Koszalinie. To było dla nas, początkujących pisarzy, pierwsze zetknięcie się z najwybitniejszymi pisarzami polskimi. Takie kontakty są ogromnie potrzebne dla młodych, szczególnie dla tych, którzy mieszkają daleko od centrów kulturalnych. Takie wydarzenia ważne są również dla czytelników, mają ogromne znaczenie społeczno-kulturalne, choć nie zawsze doceniane są przez tak zwane urzędowe czynniki. Niestety, od szesnastu lat Koszalin nie miał podobnej imprezy literackiej.

Podczas trwania Zjazdu przygotowałem cykl audycji z udziałem wielu pisarzy, na szczęście, część z nich zachowała się w archiwum naszej Rozgłośni. Oto spisana z taśmy opowieść nieżyjącego już pisarza marynisty Stanisława Marii Salińskiego.

Alchemia

pisarza marynisty

To było pamiętne dla mnie spotkanie. Dosyć rzadkie, niestety, w naszych czasach. Spotkanie bardzo robocze. Spotkałiśmy się w gronie pisarzy, prozaików, młodych początkujących poetów i myśmy wtedy, przy roboczym stole, rozmawiali o sekretach warsztatu li-

terackiego, o tajemnicy warsztatu pisarskiego. Bardzo często na różnych spotkaniach z czytelnikami padają pytania: „Proszę pana, jak powstaje książka, gdzie to się dzieje, jak to się dzieje, że np. w mózgu, w umyśle pisarza, który zasiada do jakiejś pracy, powstaje ten świat inny, różny od tego, w którym on żyje, nie mówiąc o jakichś powieściach historycznych, bo są to sprawy raczej ułatwione, bo to jest kwestia selekcji materiału, pewnej znajomości historycznych realiów. Ale w ogóle, jak to się dzieje, że powstaje fikcyjny świat, który zamyka się w świat książkowy? Skąd to się zaczyna? Gdzie się to załęga? Jaki jest początek, jaki jest prapoczątek powieści tej czy innej?

I wtedy opowiedziałem kolegom o eksperymencie z łyżką soli. Miałem przed wojną przyjaciela, wielkiego przyjaciela — chemika, eksperymentatora, niestety, tragicznie zginął w czasie powstania; niewątpliwie jakiś ciekawy, bardzo dociekliwy umysł, który błdził wciąż. Jego pasją, jego hobby życiowym była chemia. Marzył o wielkich wynalazkach, odkryciach, o przewrotach w chemii. Szukał jakichś nowych związków chemicznych. Była w nim i obsesja i wielkie hobby i wielka wiedza. Wszystko razem było w tym człowieku. I kiedyś pokazał mi kapitalną historię. Byłem u niego. Mówił: „Zobacz, znalazłem nową formułę”. Nalał wody do słoja, i zaczął po kolei z szafek, szufladek, wyjmować jakieś proszki, substancje — i to wszystko wlewał do tego słoja z wodą. I tam zaczynały się dziać przedziwne rzeczy. Mętniało, potem dosypał kolejny proszek, szczyptę proszku; zaczęło się

burzyć. Coś tam dołał, jakieś przedziwne zielone kolory zaczęły bulgotać w tej wodzie itd. itd. On tak gdzieś ze dwadzieścia ingrediencji wrzucił do tej wody, potem coś tam dosypał i coś niemożliwego się stało, coś się zaczęło burzyć, jakiś siarkowódór, jakiś niesłychany odór zaczął parować nad tym wszystkim. Cały pokój wypełnił się strasznym zapachem. Patrzyłem trochę zdziwiony na to, co się w tym słoju dzieje, co się tam kłębi. Podał mi małą solniczkę mówiąc „Skosztuj, to jest sól”. Skosztowałem, istotnie, zwykła, kuchenna sól. Wsypał tę szczyptę soli do tej bulgocącej breji i nagle wszystko ucichło, uspokoiło się, w oczach się to wszystko wyklarowało, woda stała się przezroczyście klarowna, tak jak była nalana do tego słoja z kranu, tylko na dnie zostało troszeczkę osadu...

Powyższy eksperyment przerzucam na twórczość pisarską. Tak właśnie u mnie, jak wiem, to się ze mną zgadzają niektórzy moi koledzy piszący, ten eksperyment chemiczny łączy się jakoś z twórczością pisarską. Powstanie książki: bardzo wyraźnie prześledziłem powstanie książki, konkretnie „La Palomy”. Właśnie tu, na Wybrzeżu Koszalińskim. Od dłuższego czasu, od iks tam lat, trudno mi znaleźć początek powstania tej koncepcji, błakały się pewne fragmenty, jakieś oderwane, rozstrzelone. Po prostu w głowie miałem ten słów, do którego wrzucałem jakieś różne, pozornie oderwane rzeczy, fragmenty ze wspomnień, z przeżyć. Fragment zupełnie oderwany, np. nagle przypomina mi się, że kiedyś siedząc na pokładzie, daleko, dawno, Pacyfik, lata 1919—1920, siedząc na pokładzie z kolegami na starym rybnym statku piliśmy wodę. Piliśmy wodę z kubków cynowych. Podszedł do nas bosman i mówi: „Słuchajcie, z tych kubków lepiej nie pijcie, bo tutaj Chińczycy — wśród załogi byli Chińczycy — chorują na żołądki i oni też z tych kubków pili. Zauważcie, żeby do was się coś nie przyczepiło”. I rzeczywiście, wtedy na naszych kubkach, z których piliśmy mleko, wodę i herbatę, porobiliśmy znaczki ołówkiem, żeby Chińczykom tych kubków nie dawać. Inny fragment. Ni z tego,

ni z owego, przypomina mi się, że w Macao, w portugalskim porcie, siedziałem na ławeczce przy takim małym skwerku rozprężonym. Na środku skwerku rosła jakaś roślina i wielki pies czau-czau chodził i obwąchiwał tę roślinę, po prostu wyszukując sobie miejsca do podniesienia nóżki. Niedaleko stał policjant portugalski z dużą pałką w ręku. Było gorąco, pusto. Nudził się. Policjant czatował kiedy pies podniesie nóżkę, aby go pałką trzasnąć. Pies krążył, namyślał się, a on, policjant, przyczajony, czatował na moment, kiedy zacznie zapaskudzać roślinkę na skwerku. I pamiętam napiętą uwagę policjanta i moją uwagę; ja patrzyłem, no... trafi czy nie trafi w psa. Nie pamiętam jak to się skończyło. Pamiętam moment jakiegoś sportowego zacięcia. Policjant zaczajony do ciosu, ja zaczajony: trafi, nie trafi w tego czau-czau. Pamiętam masę takich różnych momentów...

Ten słój wypełniał się oderwanymi fragmentami, różnymi itd.; wypełniał się ni stąd, ni zowąd. Jakies podświadome uczucie, że z tego coś musi być, że będzie — nie wiem co — nowela, książka; oderwane, różne fragmenty kierują się, celują ku temu jednemu słojowi, ku tej jednej szufladce, one muszą znaleźć swoje rozwiązanie. Rozwiązanie nastąpiło. Byłem w Mielnie we wrześniu 1948 roku. Śliczna miejscowość, cudowna plaża, zresztą cóż, koszalinianom mam opowiadać o Mielnie, sami to dobrze znają. Mieszkalem wtedy w Uniestach, jakieś półtora kilometra od Mielna, cudowny wrzesień, pusto, wczasowicze się rozjechali, byłem na obiedzie w gospodzie, która nazywała się bodaj „Mewa”, no i po obiedzie, w takim cudownym przedwieczornym czasie, spacerkiem szedłem w kierunku mojej chałupki w Uniestach. W połowie drogi przysiadłem na kamieniu, wyjąłem swoją tradycyjną fajkę, starą, zapaliłem i pamiętam jakiś wszechogarniający bezmiar ciszy, absolutny sztil, srebrne morze, słońce pochylone nisko nad horyzontem. Jakies wielkie, olbrzymie oczarowanie tą ciszą, pięknem tego świata, spokojem morza, mają wielką wewnętrzną ciszę, uspokojeniem ogromnym, jesiennym. I nagle, po wodzie czystej, klarownej

wodzie rozległy się z gospody dźwięki „La Palomy”. To jest ta melodia wszystkim nam dobrze znana, i z radia i z różnych orkiestr. Po tej wodzie czysto i jasno niesło dźwięk orkiestry. Stara, melodyjna kantylena, która ma swoją historię. Nie wiem, czy wszyscy wiedzą, że „La Paloma” to stary angikański hymn, właściwie psalm z szesnastego wieku. Historia tej melodii jest bardzo stara, ale to już inna rzecz...

To było olśnienie. Dźwięk melodii idący po wodzie, cichej, przedwieczornej wodzie, była to właśnie łyżka soli. Tego mi brakowało, żeby właśnie te wszystkie ingrediencje, obce sobie, zmieszane, wlane w kotłującą się breję w słoju... Nagle uciszyło się wszystko, uspokoiło się, coraz czystiej, coraz czystiej, coraz jaśniej, coraz przezroczystiej, na dnie mały osad, słoń pelen czystej, klarownej wody, zamknięty w sobie kształt. Wstałem z kamienia, poszedłem do Uniest i od razu — szczęściem było sporo papieru pod ręką, ołówek — dosłownie w ciągu trzech dni napisałem „La Palomę”. Ktoś z czytelników zajrzy do niej, zobaczy ile tam jest różnych rzeczy, to są autobiograficzne szczegóły, historie zasłyszane, podsłuchane, podpatrzone, przeżyte itd. itd. Rzeczy z różnych stref, z różnych pokładów, i z różnych statków. Wszystko to zamknęło się w książkowy kształt, dzięki nagle zasłyszanej melodii, łyżce soli.

Z kolei inny przykład. Jechaliśmy bodaj do Słupska, jechaliśmy autobusikiem i wśród rozmów, które tam toczyłem z kolegami, posłyszałem słowo „guzik”. Ktoś powiedział słowo „guzik”, nie wiem w jakim kontekście. Dobiegło mnie słowo „guzik”, łyżka soli... dla mnie. Tak samo w jakichś wspomnieniach, jakichś przeżyciach, z tamtych moich, dawnych morskich lat, niepowtarzalnych, niepowrotnych, pozostało mi wspomnienie pewnego bardzo dramatycznego epizodu. Na statku, na innym, nie na tym, którym pływałem, zdarzył się kiedyś tragiczny wypadek. Podczas czyszczenia kotła, przez przypadek, przez nieuwagę, zamknięto jednego z czyszczących ten kocioł parowy, ogromny, niczym wielka machina wielkości trzech wagonów kolejowych, jeśli ktoś chce szukać porównania... Przez przypadek zamknięto jednego z czyszczących, napełniono ko-

ciół wodą i wodę zagrzano do wrzenia. Oczywiście, czyszczący ten kocioł zginął dramatycznie, ciężko, okropnie, jest to okrutna nieludzka śmierć w zamkniętym kotle. No więc później, przy poszukiwaniach, przy śledztwie, dotarto do tajemnicy jego zniknięcia, po prostu znaleziono nie jego ale szczątki, sprzączkę, bo to się nie rozgotowało, jakieś inne żelazne okucie od butów, coś takiego. I między innymi znaleziono po nim kilka metalowych guzików, świadectwo, że istotnie ten człowiek zginął. Autentyczny wypadek, który zdarzył się w jednym z portów chińskich. Dobrze pamiętam bardzo wiele szczegółów, zupełnie oderwanych, ludzi, słów, powiedzeń; wszystko jakoś łączyło się z tym wypadkiem, zupełnie nieskoordynowane... Po prostu autentyczny, tragiczny wypadek i szereg różnych elementów, które jakoś podświadomie łączyły się z tym właśnie wypadkiem na statku... I nagle słowo „guzik”, łyżka soli. Te wszystkie oderwane od siebie elementy, tajemnicze, jakieś skojarzenia, wszystko zostało zawarte w konkretnym kształcie. Na drugi dzień, czy na trzeci po tym właśnie spotkaniu, po tym moim odwiedzeniu was, wróciłem do Warszawy i tegoż dnia zasiadłem do pisania noweli „Guziki dla wdowy”. Nowela ta jest w moim tomie „Pożegnanie z Pacyfikiem”. Czytelnicy, którzy ją przeczytają, niech właśnie zajrzą za kulisy tajemnicy warsztatu pisarskiego.

Tak wygląda moja kuchnia. Tak wygląda mój warsztat, mój stół przy którym piszę, tak wygląda słój, który mam w głowie, te szufladki, do których coraz to coś dorzucę.

Wracam znów do pytania czytelników „Jak powstaje książka?” Staram się wytłumaczyć, wyjaśnić, staram się sam dociec tej wielkiej tajemnicy: czym jest struktura mózgowa, myślowa, uczuciowa człowieka, który jest pisarzem. Czym jest? Przypuszczam, jakąś wielką tajemnicą. Taką samą tajemnicą, jak właściwie nieodgadniętą, niezbadaną do końca tajemnicą jest człowiek. I właśnie literatura, pisarstwo, stara się tę tajemnicę jakoś poszerzyć, rozszerzyć, dowiedzieć się... Pisarz sam chce się dowiedzieć i powiedzieć komuś co to jest człowiek...

Mój pojedynek z księciem Erykiem

Mój pojedynek z księciem Erykiem trwał pełne cztery lata, a wszystko zaczęło się bardzo niewinnie i nie zapowiadało tak długich i ciężkich zmagañ.

W roku 1960, zwiedzając zamek darłowski, dowiedziałem się po raz pierwszy o wielu nieznanym a ciekawych szczegó-

łach dotyczących księcia Eryka I. Wyznaję ze skrucą, iż stało się to tak późno. (Upowszechnienie bogatej i świetnej historii Pomorza Zachodniego wśród mieszkańców regionu pozostawiało wiele do życzenia. Niewiele zresztą zmieniło się w tym względzie mimo upływu lat). W czasie mego pobytu na zamku w Darłowie, gdy kustosz tego muzeum, nieodżałowanej pamięci Hieronim Fiodorow wspominał o mało znanym mi księciu pomorskim Eryku I, nic nie wskazywało na to, że już nigdy nie rozstanę się z tą postacią. A że stało się przeciwnie, na pewno w dużej mierze należy to zawdzięczać panu Hieronimowi, który w sposób niemalże sensacyjny, po trosze pikanteryjny w treści, potrafił przekazać mi wiadomości o księciu pomorskim żyjącym na przełomie XIV i XV wieku (1382—1459). (Niedawno upłynęło dokładnie sześćset lat od daty urodzenia księcia).

Pamiętam, pan Fiodorow oprowadzając mnie pierwszy raz po zamku, stanął przed rzędem portretów.

— A tu widzi pan jednego z największych władców, którzy urodzili się na zamku darłowskim, księcia Eryka I. Ów książę mając siedemdziesiąt lat porwał i więził u siebie co piękniejsze panny darłowskie. Zapiski historyczne mówią nawet o tym, że mieszczanie ostrzeliwali jego zamek z armat chcąc zmusić księcia do zwrotu swoich pięknych córek... — powiedział z tajemniczym uśmiechem kustosz i poprowadził mnie do następnej komnaty.

Okazało się, że tych kilka sprytnie wypowiedzianych zdań wystarczyło. Jakże to talk, siedemdziesięcioletni starzec pory-

wa młode dziewczęta, to albo wariat i zboczeniec, albo fenomen. Po zwiedzeniu zamku, dowiedziałem się od pana Hieronima jeszcze bardziej frapujących szczegółów z życia Eryka I. Oto władca ten, prawnuk naszego Kazimierza Wielkiego, w wieku kilkunastu lat został królem Danii, Szwecji i Norwegii i rządził tymi państwami przez lat kilkadziesiąt. Następnie we wszystkich trzech królestwach został zdetronizowany i wypędzony. Okazuje się bowiem, że już wtedy kwitło kumoterstwo. Podobno książę Eryk we wszystkich trzech państwach co ważniejsze stanowiska obsadzał swoimi pomorskimi rodakami. I to właśnie wyzwoliło przeciw niemu gniew Skandynawów i Duńczyków. Władca trzech królestw uciekł wtedy na wyspę Gotlandię na Morzu Bałtyckim, gdzie został wodzem piratów, korsarzy i rozbójników morskich. Cóż za fascynujący temat dla pisarza! Skromny książę pomorski władcą trzech królestw! Władca trzech królestw wodzem piratów i rozbójników! Jakaż to pożywka twórcza dla poety, który szuka metafor! Jakaż pojemna to metafora o zmienności losu ludzkiego! Książę Eryk upodobał się też do polskiego Janosika czy angielskiego Robin Hooda, bowiem jak głosi legenda, jego piraci napadali na statki bogatych kupców, łupili je i zagrabione łupy rozdzielali wśród biednych. I to było chyba wszystko, czego dowiedziałem się podczas tamtego pobytu w Darłowie. Powiadam, to było wszystko, ale wystarczyło, aby książę Eryk nie dał mi już spokoju.

Nie minęło wiele czasu, a znowu znalazłem się w Darłowie. I tym razem dowiedziałem się dalszych szczegółów z życia księcia. Po siedmioletniej korsarskiej działalności na Gotlandii, Eryk powraca do rodzinnego zamku darłowskiego. I podczas tej podróży nie omijają go przygody. Kilka statków załadowanych złotem tonie tuż przy brzegu darłowskim. Książę szczęśliwie ląduje na rodzimej ziemi. To właśnie w tym miejscu, gdzie Eryk I postawił stopę, zbudowano mu pomnik, który doszczętnie został zniszczony przez hitlerowców — dokładnie w tym samym miejscu zamontowali oni wyrzutnie rakietowe V₁ i V₂, jakby skierowane przeciw państwom, których

Eryk był władcą. A więc znowu metafora, przenośnia i symbol!

Podczas tego kolejnego pobytu w Darłowie odwiedziłem niespożytego księcia, który po śmierci spoczął wśród kobiet. Jego sarkofag znajdował się bowiem w darłowskim kościele za głównym ołtarzem — obok niego księżniczka Jadwiga i księżniczka Elżbieta. (Kilka lat temu księcia Eryka, wraz z księżniczkami, przeniesiono do kaplicy przykościelnej). Dowiedziałem się także, że księcia najpierw pochowano w krypcie kościoła, gdzie przeleżał w ciemności kilkaset lat. Trumnę z jego szczątkami znaleziono podczas remontu kościoła w 1882 roku czyli dokładnie w pięćset lat od chwili jego urodzenia. Podobno u jego stóp znaleziono złotego gołębia, który dla Eryka miał być swego rodzaju talizmanem, ptakiem przynoszącym szczęście.

I wreszcie, podczas któregoś kolejnego pobytu w Darłowie, w jakichś starych drukach przeczytałem, że, o dziwo, rozpustny książę porywający do siebie młode mieszczyki miał swoją miłość o imieniu Cecylia. Co to była za kobieta? A więc znowu zaskoczenie i zagadka, znowu zapowiedź przewrotnej metafory. I jak się później okazało, nie omyliłem się.

Już po pierwszym zainteresowaniu się Erykiem, miałem ochotę natychmiast usiąść do pisania. Nie rozpocząłem jednak wtedy utworu z tej prostej przyczyny, że nie wiedziałem jeszcze jaką powinienem wybrać formę. Ponadto, zdawałem sobie sprawę z tego, że nie poznałem jeszcze dostatecznie bohatera, nie przeżyłem wystarczająco głęboko treści z nim związanych. Świadomie więc odłożyłem pisanie utworu o księciu Eryku. Ale nie na długo. Książę wciąż pojawiał się przede mną ze swoją kuszącą i fascynującą historią. Po raz któryś z kolei pojechałem do Darłowa. Przy pomocy kustosa, wspomnianego już pana Fiodorowa, zacząłem godzinami grzebać zarówno w starych drukach niemieckich, jak też w łacińskich dziariuszach spisywanych przez mnichów pobliskiego (nie istniejącego już) klasztoru w Bukowie. Zaczęła się powoli wyłaniać z mroków coraz pełniej postać tajemniczej Cecylii, wielkiej miłości księcia. Prawdopodobnie była to piękna dziewczyna

z ludu, dwórka żony księcia pana, która walcząc o swoją miłość do władcy, potrafiła przekupić nawet surowych zakonników. W diariuszu klasztorным pod pewnymi datami znalazłem bowiem zapiski w rodzaju „Ceacilia regina dedit...”, dalek widniały sumy pieniędzy, jakie ofiarowała ona na klasztor. Tak, słowo „regina” znaczy po łacinie „królowa”. A więc mni si wdzięczni za jej hojność tytułowali Cecylię królową, choć królową zwykła dwórka być nie mogła. A może wiedząc o romansie, obdarowywali ją tym tytułem chcąc przypodobać się księciu i władcy? Jak było naprawdę, nie wiadomo. Tak czy inaczej, nawet historycy niewiele dziś wiedzą o prawowitej małżonce Eryka I — natomiast z całą pewnością wiadomo, że wielką jego miłością była Cecylia. I tak się oto objawiła sprawiedliwość w postaci hołdu złożonego miłości przez historię. A więc znowu pikantna metafora, obok której poecie niesposób przejść obojętnie.

Po którymś powrocie z Darłowa podjąłem niezbite postanowienie, że zaryzykuję napisanie poematu historycznego. Tyle bowiem symboli, metafor, przenośni i sentencji (również istotnych dla czasów współczesnych) wynikało z życia księcia, że mogła to być właśnie najbogatsza pożywka dla poezji. Życie księcia Eryka to przecież los człowieka i władcy. Temat wręcz szekspirowski! Kiedy jednak usiadłem do biurka, aby zapisać pierwsze słowa poematu, owładnął mną strach nie do pokonania. Bojaźń, iż nie podołam zadaniu, wątpliwości czy przyswoiłem sobie dostatecznie treści, które mam przekształcić w poezję, paraliżowała moje siły. I postanowiłem wtedy znowu, co powtarzało się już kilka razy, odłożyć pisanie poematu na później. Ponadto zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, iż podjęcie się dziś stworzenia poematu historycznego jest przedsięwzięciem karkołomnym. Poemat historyczny został przecież przez poetów już dawno zaniechany. Autor piszący taki poemat musi sięgnąć do fabuły, w tym wypadku do autentycznego epizodu z historii — a to właśnie najzacieklej atakowała polska awangarda z Julianem Przybosiem na czele... I ja sam mam teraz napisać taki utwór, ja, który wyszedłem z założeń pol-

skiej awangardy? Tak, poeci polskiej awangardy mają po sto-kroć rację. Jak stworzyć dzisiaj poetycki utwór epicki bez uszczerbku dla liryki? Jak korzystając z autentycznego zdarzenia, z fabuły, stworzyć prawdziwą lirykę? Czy epika nie zabije poezji? I dalej. Jak taki utwór przyjmie dzisiejsza krytyka? Jaki będzie odbiór czytelniczy, jeśli sięgam do treści regionalnych, do wątków i postaci historycznych tak mało komu znanych? Jednocześnie wiedziałem, że do takiego poematu jest potrzebny wstęp, wprowadzenie historyczne. A przecież uczono mnie, że jeśli utwór poetycki trzeba tłumaczyć jest to klęska autora...

A jednak wiedziałem, że fascynacja księciem Erykiem jest we mnie silniejsza od wszystkich powyższych przeciwwskazań...

Mój pojedynek z księciem Erykiem trwał i nie było żadnych widoków na jego rychłe zakończenie. (Wiedziałem już jednak, że kiedyś, wcześniej czy później, dojdzie do ostatecznego rozstrzygnięcia. Miałem jednocześnie świadomość, że w tym pojedynku tylko ja ryzykuję. Jeżeli bowiem wyjdzie spod mego pióra utwór udany, zwycięży wielkość księcia, jeśli natomiast powstanie utwór kiepski, również zostanę pokonany). Wciąż jeździłem do Darłowa. Bywało nawet, że zamykałem się na noc w ciemnej wieży zamkowej, której okiennicami targał wiatr, a mnie się wydawało, że to korsarscy wysłannicy dobijają się do księcia złożonego chorobą, aby go błagać o powrót na morze. Wiodłem długie rozmowy z księciem przy jego sarkofagu w kościele, w którym kiedyś niewiele brakowało, a byłbym został przez kościelnego zamknięty na całą noc.

Pojedynek z księciem Erykiem wciąż trwał, wciąż powstawały w mojej głowie nowe sceny poematu, nowe metafory, narastały wizje, które z każdym miesiącem nabierały jaśniejszych, realniejszych kształtów. Coraz częściej siadałem do pisania i zawsze odkładałem rozpoczęcie poematu na później wynajdując inne, nawet błahe zajęcia. Wszystko to robiłem po to, aby odwlec chwilę bezpośredniego starcia z księciem.

Pamiętam, że w ostatnim roku pod koniec epoki zmagania się z księciem Erykiem, zamieszkałem na tydzień w Darłó-

ku. Do jego zamku, ani do niego samego już nie chodziłem. Chciałem bowiem czuć i przeczuwać tchnienie tej postaci, ale już się od niej wyzwalać, aby stworzyć ją na swój własny poetycki sposób. Bałem się poznać jakieś nowe, nieznane mi szczegóły, które zniweczyłyby powstałe w wyobraźni dotychczasowe gotowe sceny — cząstki utworu. Po ostatnim pobycie w Darłowie wróciłem „nie widząc się” z księciem. Tuż po powrocie usiadłem do biurka i w ciągu kilku godzin napisałem poemat historyczny „Powrót księcia Eryka”. Nie, co ja mówię, ja go wtedy w ciągu tych, kilku godzin nie napisałem, ja utwór ten już miałem stworzony w myśli, w wyobraźni — ja go tylko w tamtej chwili przeniosłem na papier. Do dziś nie wiem czy czteroletni okres nieustannych zmagania z księciem Erykiem I nie był jeszcze za krótki. Wiem tylko tyle, że książę w tym wieloletnim, najcięższym dla mnie pojedynku jaki dotąd w swoim życiu stoczyłem, zwyciężył bezapelacyjnie. I to bez względu na to czy napisałem o nim poemat bardziej, czy też mniej udany.

Dotychczas nie wiem, czy po ukazaniu się mego poematu „Powrót księcia Eryka”, egzemplarz tej książki trafił do rąk Juliana Przybosa. Ja mu o tym nigdy nie wspomniałem i on także w korespondencji do mnie nie napomknął o poemacie. Tak się złożyło, iż ojciec awangardy polskiej — jak go nazywano — niedługo po wydaniu „Powrotu księcia Eryka”, poznał ten utwór i to w sposób całkowicie nieprzewidziany...

Oto kierowniczka robotniczego amatorskiego teatru poezji w Sianowie, Janina Łagodnicz, zaprosiła Juliana Przybosa na przedstawienie właśnie mego poematu historycznego „Powrót księcia Eryka”. Propozycję obejrzenia przedstawienia poeta przyjął bez słowa komentarza. Do Sianowa jednakże jechałem z Julianem Przybosiem z pewnym zakłopotaniem.

Podczas spektaklu siedziałem obok poety obserwując dyskretnie jego reakcję. Miał on kamienną twarz, był spokojny, na jego obliczu nie dojrzałem ani grymasu niezadowolenia, ani

też wyrażu akceptacji. Po przedstawieniu podziękował kierownicze zespołu nie wygłaszając jakichkolwiek opinii. W czasie drogi powrotnej do Koszalina nie wspomniał ani razu o oglądanym spektaklu. Rozmawialiśmy swobodnie o wielu sprawach. Nie byłem wcale urażony jego obojętnym stosunkiem do mego poematu, wręcz przeciwnie, dziwiłem się, jak dziwię się do tej chwili, dlaczego Julian Przyboś nie skrytykował tak antyawangardowego utworu poetyckiego...

Do dziś zastanawiam się dlaczego tak bardzo odszedłem od poezji polskiej awangardy, czego dowodem jest choćby uprawianie przeze mnie poematu historycznego. Trudno samemu autorowi na to odpowiedzieć. Kiedy jednak nad tym się głębiej czasem zastanawiam, domyślam się pewnych tego przyczyn.

Po pierwsze, być może nazbyt wzięły mnie rygory przybośowskiej awangardy, a może uprawianie przeze mnie jednocześnie i prozy także miało na to wpływ.

Po drugie, być może była to konieczność wewnętrzna napisania o Pomorzu, owym fenomenie państwowym, który otoczony potęgami przez wieki potrafił utrzymać swoją niepodległość?... A że jestem zbyt niecierpliwy — aby np. napisać powieść historyczną, która wymagałaby studiów historycznych epoki — z konieczności musiałem sięgnąć do poematu.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, pewnego dnia zaświtała nagle w mojej głowie myśl: może przyczyną sięgnięcia przeze mnie do formy poematu historycznego było nagminne uczęszczanie na spektakle operowe, szczególnie podczas pierwszego roku studiów 1955/1956?!!! Może więc w podświadomości pozostała w moim uchu fraza bohaterskiego eposu historycznego? Na marginesie mówiąc, sam długo dziwiłem się dlaczego ubóstwialiśmy operę w tamtych czasach? (Otrzymanie wtedy biletu do opery łączyło się ze wstawaniem już o czwartej, najpóźniej o piątej nad ranem... Pamiętam jak otuleni zimą kocami staliśmy w długiej kolejce przed gmachem opery...) Domyślam się dzisiaj, iż przyczyną tego był fakt, iż w literaturze i w innych dziedzinach panował jeszcze przemożnie schema-

tycznie traktowany temat produkcyjny. Opera natomiast przenosiła nas w świat zupełnie inny...

Po napisaniu poematu historycznego „Powrót księcia Eryka” przysięgałem sobie w duchu, iż nigdy nie sięgnę do tej formy utworu literackiego. Tylko przez kilkanaście lat udało mi się znieść piekielne pokusy, wreszcie uległem. Po piętnastu latach od ukazania się „Powrotu księcia Eryka”, wydałem drugi pomorski poemat historyczny „Bogusław X”.

Nie będę w tym miejscu opowiadał o procesie powstawania drugiego pomorskiego poematu historycznego „Bogusław X” (ukazał się on również w Wydawnictwie Poznańskim) natomiast zaspokajając ciekawość Czytelników odpowiadam na często zadawane pytanie podczas spotkań autorskich „Ile pisarz otrzymuje za książkę?”. Odpowiedzią moją jest dokładne przepisanie „Rozliczenia honorarium autorskiego” za poemat „Bogusław X”. Dodaję przy tym, iż jak na poezję, utwór ten ukazał się w maksymalnym nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy (nakład podstawowy dla poezji 5 tysięcy egzemplarzy) czyli otrzymałem za tę książkę prawie podwójne honorarium czyli 180 proc.

Cz. Kuriata „Bogusław X” — poemat historyczny
Nakład: 10.000 egz. (dwa nakłady podstawowe)

Rozliczenie honorarium autorskiego

Umowa wydawnicza nr 5069 z 8 lutego 1979 r.
Stawka wynagrodzenia: zł 20,— /linijkę poezji

Objętość tomiku:

346 linijek po zł 20,—	= zł 6.920,—
za drugi nakład podst. 80 proc. wynagrodzenia, tj. zł	5.536,—
	razem zł 12.456,—
minus wypłacona zaliczka	zł 5.504,—
pozostaje do wypłaty	zł 6.952,—

Słowami: sześć tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt dwa złote.
Poznań, dnia 23 maja 1980 r.

Powyższe „Rozliczenie honorarium autorskiego” pozostawiam bez jakichkolwiek komentarzy. Dodam tylko tyle, że nad poematem „Bogusława X”, podobnie jak nad „Powrotem księcia Eryka”, pracowałem — oczywiście z przerwami — około czterech lat.

Na podstawie opowieści pani Janiny Łagodnicz, która — jak już wspomniałem na kartach tej książki — wystawiała ze swoim zespołem mój poemat historyczny „Powrót księcia Eryka” napisałem humoreskę pt.: „**Misterium buffo czyli rewolucja w piekle**”, którą nawet wydrukowały swego czasu „Szpilki”. Pani Janina przysięgała, że opowieść jej jest prawdziwa i nawet najmniejszego szczegółu nie zmyśliła. Pisząc humoreskę trzymałem się ściśle jej opowieści, niechże więc sami Czytelnicy orzekną czy sprawia ona wrażenie utworu napisanego na podstawie autentycznego wydarzenia, czy też sugeruje bardziej fikcję. Jeżeli ktoś z Czytelników nie uwierzy w autentyczność opisywanego wydarzenia będzie to świadczyć o tym, że prawdziwe fakty, wzięte do literatury wprost z życia, prześcigają swoją paradoksalnością najdziwniejsze wymysły literackie.

Misterium buffo
czyli
rewolucja w piekle

Zgodnie ze zwyczajem i obowiązkiem, instruktorka amatorskiego zespołu teatralnego przyniosła tekst sztuki dyrektorowi przedsiębiorstwa do zatwierdzenia. Egzemplarz ten wydany został przez Centralną Poradnię Amatorskiego Ruchu Artystycznego, z instruktą reżyserским i scenograficznym.

— Co to jest!? — pyta dyrektor.

— „Misterium Buffo” — odpowiada instruktorka.

Dyrektor nagle purpurowieje i nie panując nad swoimi nerwami, wymachuje egzemplarzem CPARA nad głową biednej kobiety.

— Znowu pani z jakąś bufonadą wyskakuje! A nam potrzeba uczciwej, konkretnej roboty! Rozumie pani! — urywa zmęczony własnym krzykiem.

Zmęczenie jego trwa jednak krótko. Zaraz bowiem przypomina sobie, że siedzi za urzędowym biurkiem na tzw. piedestale.

— Naszemu miastu potrzeba czegoś porządniejszego na siedemsetlecie... No, coś, jakby to powiedzieć, rewolucyjnego!

— To w sam raz — odpowiada nieśmiało instruktorka. — To przecież napisał Majakowski, wielki poeta rewolucyjny — dodaje szybko.

Dyrektor chwilę milczy, jest wyraźnie skonsternowany, zbity z tropu. Porusza się nerwowo na fotelu i szybko przewraca kartki egzemplarza.

— A wy nie bujacie? Wy mnie znacie, mnie można tylko prawdę — mówi teraz dobroliwie, tonem ojcowskim. — Trzeba było od razu tak powiedzieć, prosto z mostu, nie owijając niczego w bawełnę.

Dyrektor na dłużej zatrzymuje wzrok na projektach dekoracji, które znajdują się na końcu skryptu. Rozpromieniony podnosi głowę. Kobietę przed biurkiem obezwładnia radosny optymizm.

— O, jakie ładne pieski!!! — dyrektor wykrzykuje niczym bigbitowiec. — On miał pomysł z tymi pieskami... Ten poeta. Jak mu tam...

— Majakowski — podpowiada szeptem instruktorka. — To nie... — usiłuje sprostować i urywa.

Na twarzy człowieka za biurkiem odmalował się nagle wyraz zgrozy.

— Jak się te pieski rozbiegną, jak się rozszluszczą i polecą na ludzi w czasie akademii?! Coooo?! — wykrzykuje — Pani

mnie zna — znowu zmienia ton. — Tyle razy mówiłem i zawsze powtarzam, ja chcę solidnej... Tylko solidnej roboty!

Dyrektor popada w filozoficzną zadumę. Instruktorka zbiera w sobie rozproszoną odwagę, aby wyjaśnić pomyłkę co do piesków.

— A jak te pieski zaczną tego... No, wie pani o czym myślę, wstyd powiedzieć... Na sali będą przedstawicielki Ligi Kobiet, i to aż z województwa... Nie!! — wraca energia w człowieku za biurkiem. — To nie nadaje się na jubileusz naszego miasta!

Dyrektor zamyka egzemplarz i kładzie na nim olbrzymią pięść.

— To nie pieski, to diabły — mówi jednym tchem kobieta.

— Jak to? Co pani wygaduje! Kto dzisiaj wierzy w diabły! Kpiny pani ze mnie stroi! Śmiecie twierdzić, że poeta rewolucyjny napisał sztukę o diablach! Ja chcę tylko solidnej roboty...!!!

— Ten poeta opisał rewolucję w piekle.

Na twarzy dyrektora rozlewa się niespotykana u niego łagodność.

— A to co innego — mówi zadowolony. — Trzeba było od razu tak mówić, rzeczowo i prosto z mostu.

— Czy pan zatwierdza? — z nową nadzieją instruktorka.

Zwierzchnik wstaje i podchodzi do niej z dobrodusznym łaskawym uśmiechem. Ojcowskim ruchem kładzie swoją mocarną dłoń na jej kruchym ramieniu.

— Ja zawsze w panią wierzyłem i broniłem przed innymi. Zniszczyłem nawet kiedyś donos...

— Czy pan zatwierdza? — kobieta ryzykując, przerywa swemu szefowi.

— Ależ, zatwierdzam, zatwierdzam... — dyrektor oddaje egzemplarz instruktorce. — Ale... — błysk myślenia jak piorun osiada na jego twarzy. — Rewolucja w piekle? Nigdy by mi to nie przyszło na myśl... Miał głowę ten poeta...

Dyrektor wraca za biurko. Powolna męka myślenia odbija się na jego dostojnym obliczu.

— Ale... Jest jednak pewne ale... — wreszcie zaczyna cedić słowa. — Czy aby uda się ta rewolucja w piekle? Czy diably tak szybko się nawrócą?

— A tego to ja już nie wiem — dyskretnie uśmiecha się kobieta.

— Co pani powiedziała? Nie wie pani? Tyle razy mówiłem, że wszystko trzeba wiedzieć, wszystko!!! Jeżeli nie uda się ta rewolucja w piekle, to nie trzeba jej tam jeszcze robić. Trzeba poczekać.

Dyrektor wychyla się zza biurka i nagłym ruchem wyrwa egzemplarz sztuki z rąk podwładnej.

— Z tą sztuką, z tą bufą... trzeba jeszcze poczekać. Może za rok, jak się wszystko wyjaśni. Każda najdrobniejsza rzecz musi być przemyślana, a tym bardziej takie coś jak rewolucja w piekle...

Bohaterem kolejnej opowieści będzie artysta, więc przedstawiciele żadnego z zawodów nie mogą się obrazić, wiadomo przecież, że tylko o artystach pisać wolno wszystko. Zresztą, w tej historyjce nie najważniejszy jest sam artysta, bowiem sytuacje, jakie on stwarzał, bywają udziałem również innych ludzi, którzy mają tzw. artystyczną duszę. Nie ubiegajmy jednak faktów.

W pewnym miasteczku naszego województwa mam znajomego prokuratora, z którym kiedyś chodziłem do jednej klasy szkoły podstawowej. Mimo srogiego zajęcia, pozostała mi koledze z czasów młodości jedna piękna cecha, mianowicie poczucie humoru, które, jak to często bywa, łączy się z umiłowaniem człowieka. Otóż mój przyjaciel, gdy wybrałem się do niego w odwiedzin — kiedy długo siedzieliśmy przy przepysznej nalewce wspominając naszą młodość — opowiedział mi pewną historyjkę, którą i ja moim Czytelnikom w tym miejscu powtórzę.

Kompleks

Artysty

Od lat w miasteczku mego przyjaciela mieszkał młody i od lat dobrze zapowiadający się poeta, którego w tej opowieści będę nazywał po prostu Artystą. Nikt żadnego dzieła tego Artysty nigdy nie mógł przeczytać, bo tak bardzo go cenił, że wciąż pilnie ukrywał przed światem. Fama jednak głosiła, że tworzy arcydzieła — opinia ta tym trudniejsza była do podważenia, bo, jak już powiedziałem, nikt jego utworów nigdy nie widział. Potwierdzeniem poziomu artystycznego owianych legendą arcydzieł było samo życie Artysty oraz jego nieprzeciętna osobowość. I to właśnie niezbitie przekonywało wszystkich w miasteczku o genialności Artysty.

Taki oto mniej więcej wstęp zrobił mój przyjaciel-prokurator rozpoczynając swoją opowieść. Po chwili dodał, że spośród wielu zdarzeń związanych z ich genialnym miasteczkowym Artystą, przytoczy tylko jedno, dzięki któremu poznał go osobiście.

— Artysta w któryś jesienny dzień wybrał się na ryby — zaczął opowieść mój przyjaciel. — Ponieważ zaciął zimny wiatr i była niesamowita plucha, lyknął sobie żdziebko ognistej wody rozgrzewającej organizm i przyspieszającej krążenie krwi. Kiedy był już niedaleko jeziora, ale jeszcze na szerokim trakcie prowadzącym do miasteczka, wódka Artyście uderzyła nie tylko do krwi, ale i do głowy, a humor wybitnie mu się poprawił. Po katastrofizmie, który podobno wyznawał w swojej sztuce, nie było teraz śladu, znikł także pesymizm dominujący w jego postawie. Wszystko to zastąpiła dobroduszość i dobroć w stosunku do ludzi. W tym stanie łagodności Artysta przemówił do przechodzących milicjantów. Zrobił to w przekonaniu, że wykazuje wspaniałe poczucie humoru i dowcip godny encyklopedysty.

Milicjanci byli jednak na służbie, co wykluczało możliwość okazania przez nich poczucia humoru.

— Dlaczego obywatel w stanie nietrzeźwym wybiera się na ryby? — widząc wędkę zapytali naszego Artysty.

— Tym lepiej dla ryb — stereotypowo a dobrotliwie odpowiedział zagadnięty.

Stróże porządku publicznego poprosili o dowód.

— Co wy, panowie, sobie wyobrażacie? — nadymał się urażony Artysta. — Ja piłem z samym prokuratorem Z. — skończył dostojańnie.

Milicjanci nie odpowiedzieli wyraźnie zaskoczeni. Spisali dane personalne Artysty i zrobili ścisłą notatkę służbową.

— Treść notatki przekazano mi już następnego dnia — opowiadał mój przyjaciel. — Poprosiłem więc o przybycie do gmachu sądu owego, pełnego poczucia humoru Artystę. Bez żadnych wstępów przystąpiłem do meritum sprawy. Powiedziałem mu, że na ogół wiem z kim piję wódkę, w żaden jednak sposób nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek to robił... w jego towarzystwie.

Speszony, ogromnie trzeźwy — a więc już poważny — Artysta zaczął przeproszać wyjaśniając, że był to tylko żart. Nie sądził wcale, że funkcjonariusze będą tacy naiwni.

I w tejże samej chwili Artysta poczuł się o wiele pewniej. Zaczął narzekać jacy to łatwowierni są stróże porządku publicznego i jakież prezentują brak poczucia humoru. Kiedy narzekania Artysty zaczęły się przedłużać, mój przyjaciel prokurator przerwał sympatycznemu gościowi. Podsunął mu papier i pióro i zaczął dyktować:

„Ja niżej podpisany oświadczam, że nigdy nie piłem wódki ani żadnego innego napoju z prokuratorem Z. i nigdy nie będę się tym chwalił ani przed funkcjonariuszami milicji, ani przed kimkolwiek innym. Oświadczenie niniejsze traci swoją ważność w chwili, gdy zaistnieją rzeczywiste okoliczności zaprzeczające treści powyższego. Jeśli nastąpi taka okoliczność niniejszy dokument podlega zwrotowi niżej podpisanemu.

*Prawdziwość oświadczenia stwierdzam
własnoręcznym podpisem”.*

(Data i miejsce złożenia
oświadczenia)

(tu widniał czytelny
podpis Artysty).

— Po sporządzeniu powyższej treści dokumentu obaj odechnęliśmy z ulgą, zarówno Artysta jak i ja — ciągnął dalej opowieść mój przyjaciel. — Szybko rozstaliśmy się bez życzeń rychłego następnego spotkania. Ale nie myśl, że na tym ta historia kończy się...

Artysta z tego wydarzenia wysnuł praktyczny dla siebie wniosek. Nieprzyjemnie pisać tego typu oświadczenia tylko po raz pierwszy, każda nieprzyjemna czynność staje się łatwiejsza, gdy się ją powtarza. Do wszystkiego można się przecież przyzwyczaić. Jedno dla Artysty było ważne, w chwili, gdy powołał się na prokuratora, nie spotkały go żadne nieprzyjemności, nawet w postaci mandatu. Teraz przypomniał nawet sobie, iż po powołaniu się na prokuratora, czyli na człowieka, który był znaną osobistością w mieście, stróżę porządku publicznego stali się natychmiast dla niego miłsi. Odtąd nasz Artysta, który lubił sobie wypić, we wszystkich podobnych sytuacjach zaczął się powoływać na co wybitniejsze osobistości w mieście, za każdym razem tylko na jedną. W postępującym rejestrze tych osób był komendant milicji, sędzia, przewodniczący Rady Powiatowej, wreszcie doszedł nawet do sekretarza partii. Już przy drugiej znakomości w mieście, na którą Artysta się powołał, mój przyjaciel-prokurator podpowiedział tej osobie, aby zażądała ona podobnego oświadczenia, jakie on sam uzyskał. Opowiedział jednocześnie o procedurze Artysty wszystkim swoim znajomym, z którymi kontakt miał prawie na co dzień. Do końca roku Artysta napisał takich oświadczeń kilkanaście. Pisanie oświadczeń nie sprawiało mu już żadnych przykrości, wręcz go bawiło. W dodatku był dumny, że poznał w tak krótkim czasie co znaczniejsze osoby w miasteczku o czym, żyjąc

normalnie, nie mógł nawet marzyć. Był także dumny i z tego powodu, że przez te osobistości miasteczkowe był przyjmowany uprzejmie, prawie z szacunkiem. Artysta przez wiele miesięcy poruszał się swobodnie w stanie alkoholowego podniecenia. Zawsze w trakcie spotkania z władzą powoływał się na kolejną znaną osobistość i zawsze, po spisaniu danych z dowodu, mógł spokojnie udać się tam gdzie zamierzał. Wreszcie, któregoś dnia powinęła mu się noga. Oto zatrzymany przez milicję powiedział, że pił z księdzem proboszczem. Ku jego zdziwieniu i przerażeniu, milicjanci po raz pierwszy nie uwierzyli wlepiając mandat. W taki oto sposób Artysta znalazł się w sytuacji bez wyjścia, bowiem ksiądz-proboszcz był ostatnią wybitniejszą postacią w miasteczku, na którą mógł się powołać. I wtedy zaryzykował. Rzec całą postanowił powtarzać od początku.

— Znowu powołał się na mnie — skarżył się z uśmiechem mój przyjaciel-prokurator. I wyobraź sobie, że poskutkowało, bowiem milicjanci nie pamiętali o tym, że on kiedyś już wymieniał moją osobę.

Teraz nie miałem innego wyjścia jak rzeczywiście wypić jeden symboliczny kieliszek z Artystą. Od chwili, kiedy to zrobiłem, nigdy nie powołał się już na mnie, mimo, iż kilkakrotnie przypadła w jego cyklu kolej na mnie. Poradziłem więc wszystkim innym, na których powoływał się, aby zrobili to samo co ja. Nie mając innego wyjścia chętnie poszli za moją radą... Z Artystą wypił więc symboliczny jeden kieliszek sędzia, komendant milicji, przewodniczący prezydium, zrobił to nawet sekretarz partii. Od tego czasu już na nikogo nie mógł powołać się nasz Artysta, natomiast wiedział, że ksiądz-proboszcz nie może tknąć, bo to nie skutkuje.

I w ten oto prosty sposób, Artysta został wyleczony z choroby alkoholizmu. Od czasu do czasu wpadał on do którejś z wybitniejszych postaci miasteczkowej na jeden kieliszek, co oczywiście było normalne, wiadomo bowiem, że wszystko dobre, co się robi z umiarem. Nawet picie wódki.

Opowieść mego przyjaciela dobiegała końca. Wciąż nie

bardzo mogłem pojąć przyczyny nagłej zmiany jaka zaszła w Artyście. Zapytałem więc o to wprost.

— I ja mu kiedyś zadałem to pytanie — odpowiedział prokurator. — I wiesz co usłyszałem?

— A nie wiesz skąd mógłbym wiedzieć? — odparowałem pytaniem.

— Otóż Artysta odpowiedział mi, wierzę, że szczerze, co następuje: „Miałem kompleks niższości, że nic nie znaczę. Co innego teraz, kiedy wszyscy, co wybitniejsi ludzie w mieście, to moi kumple od kieliszka. A zdradzić kumpli, to największe świństwo. Ja nawet odmówiłem zeznań, kiedy prezes GS-u wyleciał za pijaństwo. Ponadto wiem, że jestem swój, że teraz nikt nie boi się mnie w naszym mieście”.

Na tym kończę tę opowieść zapewniając Czytelników, że z żadną z wybitnych osobistości naszego miasta nie piłem.

I jeszcze ostatnia refleksja. Działo się to w czasach, kiedy liczono się z artystami i dlatego byli oni pełni polotu i potrafili stworzyć piękną aurę na piekielnie poważnej prowincji. Działo się to oczywiście w czasach grubo poprzedzających smutną ustawę antyalkoholową.

Jak ciężko być artystą plastykiem

Dwóch artystów plastyków wybrało się za granicę. Powiedzmy, że jeden z nich nazywał się Apoloniusz Kosiak i miał już odpowiednią sławę; drugiego, o nazwisku Zenobiusz Maras, krytyka artystyczna zupełnie nie uznawała, nazywając go wręcz pacyka-

rzem. Obaj zabrali ze sobą w zagraniczny wояж kilkanaście swoich płócien. W czasie podróży uznany malarz Apoloniusz Kosiak z wyższością spoglądał na swego kolegę po fachu, szczególnie pogardliwy wzrok kierował w stronę pokaźnej skrzynki zawierającej jego obrazy olejne.

Obaj artyści podarowali swoje dzieła zagranicznym kolegom artystom. Oczywiście, sława Apoloniusza Kosiaka dotarła i do tego kraju, więc wszyscy chętnie przyjmowali jego dzieła, natomiast płótna Zenobiusza Marasa przyjmowano z wyraźną niechęcią, li tylko z grzeczności. Apoloniusz patrzył więc w dalszym ciągu z pogardliwą wyższością na mękę ambicji swego kolegi. Jednakże stan zadowolenia u Apoloniusza skończył się w chwili przekraczania granicy w drodze powrotnej. Na granicy bowiem wybuchła bomba. Otóż, celnicy nałożyli dziesięciokrotnie wyższe cło na dzieła Zenobiusza Marasa pozostawione w obcym kraju, niż na dzieła Apoloniusza Kosiaka. Artysta Apoloniusz spalał się ze wstydu w swoim poniżeniu, gdy teraz jego o wiele gorszy kolega patrzył na niego z wyższością, wzrokiem pełnym pogardy.

Nie minęło kilka tygodni od powrotu z zagranicy, a obaj artyści otrzymali do zapłacenia rachunki z Urzędu Celnego. Rzecz jasna, Zenobiuszowi Marasowi przysłano do uregulowania kwit na sumę dziesięciokrotnie wyższą niż Apoloniuszowi Kosiakowi. Oczywiście, artysta plastyk Zenobiusz nie miał z czego zapłacić, bowiem, jak już powiedzieliśmy, uchodził za kiepskiego malarza i dlatego nie był majątny, miał natomiast ambicję, która nie pozwalała mu przyjmować do wykonania chałtur, za które byle malarzyna otrzymuje setki tysięcy.

— Dlaczego ja mam płacić dziesięciokrotnie wyższą kwotę za swoje obrazy, jeśli wszyscy uznają mnie za stokroć gorszego artystę od Apoloniusza — żałośnie skarżył się Zenobiusz swojej teściowej, która jednak i tym razem nie uwierzyła w skromność zięcia.

Wiedząc o kłopotach jakie Zenobiusz ma z uregulowaniem cła, znowu Apoloniusz patrzył na swego kolegę z wyższością nie pozbawioną cech mściwej satysfakcji. I tym razem jednak jego zadowolenie trwało krótko. Oto incydent graniczny szybko nabrał rozgłosu w ojczystym kraju, więc zawistni konkurenci sławnego Apoloniusza Kosiaka zaczęli głosić wszem i wobec, iż sprawiedliwości stało się zadość, że wreszcie wyszło na jaw jakim naprawdę malarzem jest wychwalany przez

krytykę Apoloniusz Kosiak. Artysta Apoloniusz znowu cierpiał piekielne męki.

— Dlaczego moje obrazy ocłono dziesięciokrotnie niżej niż obrazy tego pacykarza Zenobiusza — z kolei Apoloniusz żalił się w zaciszu domowym swojej żonie, która z niedowierzaniem przyjmowała takie słowa męża, dobrze bowiem знаła jego skąpstwo.

Historia powyższa świadczy o tym jak ciężko być artystą, wszystko jedno jakim, dobrym czy złym. Historia powyższa świadczy jednak przede wszystkim o tym, iż obaj artyści malarze zostali nareszcie sprawiedliwie ukarani.

Poetę mieszkającego na prowincji czyli w o wiele mniejszym mieście niż Warszawa i Kraków, wszyscy znają, ma on też wszędzie znajomości. Dotyczy to w ogóle wszystkich artystów; ze zrozumiałych względów zostanmy jednak przy poecie. Ze znajomości tych wynikają zarówno pożytki jak i niewygody. Poniżej przytoczę na ten temat kilka przykładów, tym samym odpowiadając wszystkim Czytelnikom, którzy na spotkaniach autorskich zadają pytania w rodzaju „Czy dobrze być pisarzem (w ogóle artystą) mieszkającym na prowincji, którego wszyscy znają, który tym samym wszędzie ma znajomości?”

Zacznijmy od pożytków.

Poeta jest w sklepie mięsnym w okresie największego kryzysu mięsa. Okazuje się, że brakuje mu iluś tam złotych do zapłacenia za wycięte kartki, a tu ostatnie żeberka. Nagle, ku jego zaskoczeniu, ekspedientka mówi, że go zna i założy za niego brakującą sumę, wie bowiem, że na pewno jej przyniesie. Poeta jest dumny, że mu ludzie ufają.

Poeta jedzie taxi i taksówkarz nie ma wydać z tysiąca złotych, a poecie się bardzo śpieszy. Taksówkarz ogląda się do tyłu i mówi, że go zna i dla takiego drobiazgu nie trzeba marnować czasu na przystawanie przy kiosku. Przy okazji zapłaci mu za kurs. I znowu poetę rozsadza zrozumiała radość z powodu jego wyjątkowości.

Poeta jest w urzędzie, gdzie urzędniczka załatwia mu uprzejmie i szybko trudną sprawę. Mówi przy tym, że podobają się jej wiersze poety. Znowu ogromnie jest on zadowolony ze swojej sławy.

Pożytków podobnych, wynikających z tzw. znajomości można przytoczyć więcej, ale po co.

Teraz przykłady niewyгоды poety (w ogóle artysty) prowincjonalnego.

Pomaga on rencistce w podeszłym wieku zrobić zakupy, więc towarzyszy jej w kolejce dla emerytów i rencistów. Nagle za jego plecami zle i groźne głosy: „Poeta, a pcha się bez kolejki, tak uczą teraz w szkołach”. Inny głos mu wtóruje „I taki śmie nas w gazecie i w radiu pouczać, a jaki teraz daje przykład”. Nieśmiałe tłumaczenia poety nie przekonują, wręcz wyzwalają jeszcze większą na niego ludzką wściekłość. Zostawia on schorowaną rencistkę-staruszkę i ze wstydem rumieńców na policzkach wychodzi ze sklepu. Nie śmie nikomu z atakujących spojrzeć w oczy. Takie beczelne spojrzenie mogłoby doprowadzić do linczu na osobie poety.

Wczoraj poeta pił wódkę i chce o tym zgubnym występku zapomnieć jak najszybciej. Ale gdzie tam, to niemożliwe. Co najmniej kilkanaście osób mu to przypomina w ciągu co najmniej tygodnia. Niektórzy widzieli jak pił, inni słyszeli o tym, jeszcze innym mówili ci, którzy słyszeli o tym od swoich znajomych. Nie, tym razem poeta nie jest zadowolony ze swojej popularności.

Poeta jest w urzędzie, gdzie urzędniczka cholernie komplikuje załatwienie mu prostej sprawy. Jej wyniosłość jest czyściej wody arogancją. Kiedy zwraca jej grzecznie z tego powodu uwagę, podnosi swoją ważną główkę i mówi do niego sykiem żmijki „Jeśli ktoś jest poetą, to myśli, że wszystko mu wolno!? Co pan myśli, u nas jest demokracja!” Poecie zależy bardzo na załatwieniu sprawy, więc przybiera potulną minę i już nawet nie śmie ułożyć (jako poeta) częstochowskiego rymu „demokracja — biurokracja”. Po chwili jednak rozumie on biedną urzędniczkę jako psycholog. Ona, wytrząsając się nad

nim i pokazując swoją ważność, lecz swój kompleks. Poeta byłby nie wychowany i bez serca, gdyby nie pomógł jej w kuracji!

Potęga znajomości

Miałem pewną drobną sprawę, której jednak od dłuższego czasu w żaden sposób nie mogłem załatwić. Od myślenia o niej już mnie nawet rozboleła głowa. Wszyscy mi wciąż powtarzali, że bez znajomości nigdy tej sprawy nie załatwię.

Wreszcie szczęście mi dopisało. Spotkałem w mieście znajomego, który — dobrze o tym wiedziałem — może mi z powodzeniem pomóc. Od razu wyłożyłem mu przedmiot mego kłopotu.

Znajomy spojrzał na mnie jak na naiwne dziecko.

— I ty z tym do mnie? Wal prosto do Wiśniaka... Gdybym ja miał tak dobrego znajomego na tak wysokim stanowisku, nigdy mnie by nie bolała głowa! On przecież wszystko może! I jest twoim jeszcze lepszym znajomym niż ja, bo ważniejszym.

Serdecznie podziękowałem znajomemu za radę. Długo dziwiłem się, że od razu nie pomyślałem o Wiśniaku, który jest jedną z najważniejszych figur w mieście. Ból głowy natychmiast ustąpił, jakby odjęty czarodziejską różdżką.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, byłem już u swego dobrego znajomego, który wszystko mógł.

— A cześć — przywitał mnie kordialnie Wiśniak, mój bardzo ważny, dobry znajomy. — Kupę lat nie widziałem ciebie. Dlaczego zapominasz o swoich dobrych znajomych, mógłbyś przecież od czasu do czasu mnie odwiedzić...

— Wiesz, mam taką sprawę, w zasadzie rzecz jest prościutka, ale każdy umywa ręce... — Zacząłem i wyluszczyłem z czym przyszedłem. — Jedyne ty możesz mi to załatwić, znasz mnie przecież od dziecka...

Po wypowiedzeniu tych błagalnych słów czekałem w napięciu.

— I ty przychodzisz do mnie z taką bzdurą? — obruszył się mój dobry znajomy na wysokim stanowisku. — Przecież to może załatwić byle urzędniczyna.

— Ale żaden urzędnik nie chce — zajęczałem ze strachem.

— Ty jesteś ostatnią deską ratunku...

— Jaką znowu deską? — zachnął się mój ważny dobry znajomy.

— Jesteś przecież moim bardzo dobrym znajomym, znamy się prawie od kołyski... — mówiłem dalej w rozgorączkowanym podnieceniu.

Chwilę trwało straszliwe milczenie. Na czole Wiśniaka, mego dobrego znajomego, pojawiły się nabrzmiałe troską zmarszczki.

— Właśnie to jest najgorsze, że jesteśmy dobrymi znajomymi — usłyszałem słowa wypowiedziane z ogromną powagą i poczuciem odpowiedzialności. — Rzeczywiście, załatwiłbym ci tę sprawę od ręki, ale... Widzisz, wszyscy wokoło wiedzą, że jesteś moim dobrym znajomym, gdybym więc ci załatwił, zaraz zaczęliby ludzie plotkować, że zrobiłem to po znajomości.

Mój bardzo dobry znajomy znowu zamilkł. Powaga sytuacji w dalszym ciągu odmalowywała się na jego twarzy.

— To przecież sprawa czysta, każdemu należałoby się to o co ja proszę... — wykrztusiłem.

— Tak, przyznaję, każdemu to się należy. Jednakże zrozum, wszyscy wiedzą o naszej znajomości, a ja muszę na swoim stanowisku postępować taktycznie... Nie można przecież demoralizować ludzi... Posłuchaj, radzę ci zwrócić się do Wiśniewskiego, wy się przecież zupełnie nie znacie. On nie będzie się bał, że posądzą go o kumoterstwo.

Pożegnałem się z Wiśniakiem niezwykle czule, z obopólnym zrozumieniem.

Nazajutrz zwróciłem się do wskazanego mi Wiśniewskiego. I jemu od razu wyłożyłem z czym przyszedłem.

— Tak, rozumiem — usłyszałem grzeczną odpowiedź. —

Owszem załatwiłbym chętnie, ale ja przecież zupełnie pana nie znam. Niech pan wali wprost do... — Tu wymienił nazwisko Wiśniaka, mego dobrego znajomego na wysokim stanowisku. — Wszyscy przecież wiedzą, że to pański dobry znajomy, on pana załatwi od ręki...

Nie słuchałem dalej, szybko pożegnałem się i poszedłem. Tej drobnej sprawy nie załatwiłem do dzisiaj, co zdecydowanie zaprzecza błędnemu — a co gorsza — powszechnemu przekonaniu, jakoby w życiu najważniejsze były znajomości, bez których niczego nie można załatwić. Okazuje się, że bywa wręcz przeciwnie, co jest ogromnie pocieszające dla tych, którzy nie mają żadnych znajomości.

P.S. Kiedy zaniósłem niniejszą opowieść do bardzo dobrego znajomego redaktora miejscowej gazety, ten powiedział z troską: „Owszem, zamieszczę, choć wiem, że ogromnie ryzykuję narażając się na plotki, iż zrobiłem to po znajomości. Prawdę mówiąc, wolałbym żebyś nie był moim dobrym znajomym, albo przynajmniej, żeby nikt nie wiedział o naszej znajomości”.

Rzecz zdarzyła się w Słupsku, z okazji zakończenia którejś kolejnej imprezy dorocznej „Październik Literacki”. Dokładniejsze miejsce akcji: słupski ratusz, przyjęcie u prezydenta miasta.

Zbyszek Zielonka w pewnej chwili wdał się w dyskurs z miejscowym działaczem, prawie że notablem. Zbyszek w ferworze dyskusji uwielbia uprawiać konwencję żartobliwą, w podtekście nieco prowokującą, w gruncie rzeczy niewinną. Po kilkunastu minutach słyszę taki oto mniej więcej dialog.

- Słuchajcie, towarzyszu Zielonka!...
- Nie jestem towarzyszem.
- Co wy przez to chcecie powiedzieć?
- A nic.
- Jak to nic?!
- Ano nic.
- To kimże wy jesteście?

- Chyba człowiekiem.
- Nie wymigujcie się, powiedzcie prawdę.
- Przysięgam, że mówię prawdę.
- Kłamięcie, wam się nie podoba ustrój.
- Ależ podoba się, to tylko niektórzy jego reprezentanci są tego ustroju niegodni.
- Co wy sobie wyobrażacie...!!! Wy jesteście...!!!
- Czy sądzi pan, że jest odwrotnie, że ustrój jest niegodny, aby wszyscy działacze go reprezentowali...?
- Wy, wy jesteście wrogiem!!!

W tym momencie dyskusja teoretyczna nabrała życiowych, groźnych rumieńców. W pewnej chwili ów działacz, prawie miejscowy notabl (nie powiem „prominent”, bo wtedy jeszcze tego terminu nie znano), biegł do telefonu, aby sprowadzić milicjantów do ratuszowej sali, gdzie prezydent przyjmował literatów. Po co to robił działacz, prawie notabl? To proste, chciał oddać w ręce sprawiedliwości osobiście zdenuncjonowanego ewidentnego wroga. Jednakże dzięki kilku osobom (negocjatorom) — i muszę się pochwalić, dzięki mnie — (och, mieliśmy trudne zadanie!), nie doszło do sprowadzenia milicji na przyjęcie u prezydenta miasta. I tak oto znowu sprawiedliwości nie stało się zadość!

Poświadczam niniejszym, że żadna ze stron polemizujących nie była pod wpływem alkoholu. Zbyszek Zielonka od czasu do czasu wypija tyle co kot napłakał, a ów działacz (dopiero przyszły prominent), dając na to słowo honoru, był stuprocentowym abstynentem.

Po upływie czterech lat od podjęcia po studiach pracy w Koszalinie, wydrukowałem w stołecznej „Kulturze” (20 IX 1964 r. nr 38) opowieść pod znamienym tytułem „Spowiedź prowincjonalnego pisarza”. Opowiadanie to zamieściłem w tomie „Człowiek z rybą” pod skróconym tytułem „Spowiedź” (Wydawnictwo Poznańskie 1971). Dziś tekst ten wydaje się dla mnie samego nazbyt — że tak powiem — minoderyjno-ego-

centryczny; w tej chwili pisząc o tej samej treści opowiadanie, położyłbym główny akcent na trochę innych sprawach. Ponadto, czytając teraz ten utwór, nie mogę zrozumieć dlaczego napisałem tak śmiertelnie poważne opowiadanie, a nie na przykład humoreskę. Opowiadanie to oddaje jednak w jakiejś mierze mój stan ducha w tamtym czasie — jest zatem swego rodzaju dokumentem. Przepisując je w tej książce zachowuję tytuł tekstu wydrukowanego w prasie, bo jest on po prostu adekwatniejszy. Jeśli i dziś moi nie tylko prowincjonalni koledzy po piórze, znajdują w nim — mimo upływu czasu — choć iskierkę prawdy, będę zadowolony.

Spowiedź prowincjonalnego pisarza

Codziennie chodzisz ulicami tego miasta. Usiłujesz wnikać w życie ludzi, którzy tu mieszkają. Oni jednak ciągle wymigują się tobie: zawsze, gdy odkrywasz w nich jakąś cechę, robią zręczny unik. Nigdy jednak nie dają ci do zrozumienia, że przegrałeś.

W rezultacie, nie ty ich poznajesz, a oni ciebie. Taki mały paradoks, który rośnie w tobie do rangi wrzodu, z każdym dniem coraz bardziej palącego. Niestety, musisz co dzień spotykać się z mieszkańcami tego miasta, chodzić do gwarnych lokali i przeróżnych instytucji. Musisz zapraszać znajomych i przyjaciół do mieszkania i bywać u nich w ramach rewanżu. Czasem myślisz o tym, jakie prowincjonalne jest to twoje miasto. I jakie małe dla ciebie. Łudziłeś się na początku, że łatwo poznasz tutejszych ludzi, w małym mieście ludzie szybciej nabierają wspólnych cech. Tak myślałeś w chwili, gdy zamieszkiwałeś w tym mieście. Postanowiłeś o nich pisać, poznawać ich życiorysy, ich zmartwienia i radości. Stało się wręcz przeciwnie. Nie poznałeś ich życiorysów — jeśli nawet opowiadali o sobie, to już na drugi dzień przekonywałeś się, że przekazywali ci fałszywe wiadomości.

Zacząłeś więc pisać o sobie, pisać tak natarczywie i z takim samobiczowaniem, że z czasem nawet w tobie zrodził się z tego powodu niesmak. Utrzymywały cię jednak przy pisaniu pierwsze oznaki sławy — sławy taniej, ale jednocześnie bardzo potrzebnej, bo objawiającej się w momencie kupowania sera lub chleba, w chwili wyludzenia w stołówce kości dla twego rasowego psa, który dzięki tobie stawał się również sławny. Może ściślej, twój okazały pies zwiększył twoją popularność. Gdy pojawiał się na przykład wśród ludzi, którzy cię nie znali, twój okazały pies wzbudzał tak wielkie zainteresowanie, że w końcu wyjaśniało się, kto jest jego panem. Nie mogłeś na początku znieść szeptanych pytań w rodzaju: „Co to za facet z tym ślicznym, rasowym psem?” Potem gdy wszyscy rozszyfrowali ciebie, żałowałeś tamtych chwil, w których spośród was obu, twój pies był bardziej popularny.

Pisałeś o sobie zachowując pozory pisania o innych. Rozdrabniałeś siebie na iluś tam bohaterów, potrzebnych do stworzenia sytuacji, akcji czy tylko atmosfery. Wreszcie przyszedł taki moment, w którym wyczerpałeś wszystkie możliwości siebie — nie mogłeś już ułożyć zdania, żeby się nie powtórzyć. Dostrzegałeś coraz wyraźniej, że wszyscy twoi bohaterowie, na pozór różniący się między sobą, to tylko ty, jakże ciężkostrawny i nudny, wyeksploatowany do ostatnich granic. Teraz mogła cię uratować już tylko fantazja o samym sobie, ale przed fantazją broniła się twoja natura nie dopuszczająca fałszu. Teraz, w kolejce po masło i ser, zamiast jak dawniej uśmiechnąć się do sprzedawczyni z odrobiną pobłażania, ona uśmiechała się do ciebie. Uśmiechała się z tą wyraźną wyższością, która oznacza, że zna ciebie i twoje tajemnice, które jej sam wyłożyłeś. Wytrzymywałeś jej wzrok, szukając na gwałt choćby najblahszej sprawy, w której zaatakowałbyś z kolei ją — i tu spotykało cię fiasko. Ona, jak wiele podobnych kobiet, była dla ciebie manekinem, który nic nie wyraża. Wiesz doskonale, że poniosłeś nieodwracalną klęskę. Powinieneś wynieść się z tego małego miasta. Powinieneś osiedlić się w mieście, w którym byłbyś czujny wobec siebie i bardziej przebiegły w sto-

sunku do jego mieszkańców. Dotychczasowe doświadczenia pomogłyby ci jednakowo oceniać zarówno pochwałę jak i nagannę — wiedziałbyś, że w obu jest jednakowa doza lekceważenia. Wygłaszający oceny są zawsze ponad tobą i dlatego powoli stają się dla ciebie niezbędnymi. W innym, dużym mieście, wszyscy czuliby, że istniejesz, a jednocześnie jesteś dla nich nieosiągalny, poza zasięgiem ich działalności. Powtarzasz przed sobą, że byłbyś wyjechał z tego miasta. Mówiono by o tobie z lęką w oku, wzbudziłbyś nawet zazdrość, bo twój wyjazd uznano by za awans.

Byłbyś naprawdę wyjechał, gdybyś nie odkrył pewnego dnia rzeczy niezwykle zastanawiającej, uderzającej w ciebie jak grom z jasnego nieba — i bądź szczerzy przed samym sobą — to cię zatrzymało w tym prowincjonalnym mieście. „Argus, to dopiero artysta, pobił wszystkich na głowę zajmując pierwsze miejsce w konkursie” — powiedział któregoś dnia sąsiad z parteru. Patrzył na ciebie przez chwilę długim i przeciągłym spojrzeniem. Zazdrość przepłynęła w tobie falą i na chwilę podcięła nogi. Miałeś jednak na tyle siły, żeby nie dać niczego odczuć sąsiadowi. A kiedy wróciłeś do domu, nagle wykrzyknąłeś zwycięsko przed samym sobą. Przestałeś być samotny w tym mieście. Argus zacznie dokładnie cię powtarzać. On będzie z zadowoleniem przyjmować czyjeś pochwały, i tylko ty będziesz wiedział, że tak oto zaczyna się jego klęska. Nigdy nie powiesz Argusowi prawdy, bo uznałby to za objaw zazdrości. Teraz będzie tak, jak było z tobą: nikt nie będzie go czytał, a wszyscy będą udawali, że czytają.

Liczyłeś się także z tym, że gdy zejdziesz w cień będziesz swobodniejszy. Oto, dlaczego zostałeś w tym mieście. Ktoś mógłby nie uwierzyć, że pojawienie się Argusa na afiszu zdecydowało o twoim pozostaniu. A jednak... Zostałeś, bo stałeś się wreszcie postronnym świadkiem, więc jednocześnie bystrzejszym obserwatorem. Jeszcze jedno zdarzenie przekonało ciebie, że nie przegrałeś zupełnie. Oto, jak często dotychczas, miałeś oficjalne spotkanie z mieszkańcami tego miasta. I tym razem wykladałeś im siebie uniżenie jak clown, żebrząc o odrobinę

łaski i choćby nikły uśmiech przyzwolenia, o gest aprobaty, choćby z grzeczności i od niechcenia. Usłyszałeś po tym spotkaniu, że twoja szczerłość to obłuda i fałsz, że w gruncie rzeczy wszystkimi gardzisz. Jakże niesprawiedliwie cię oceniali — myślałeś. Potem stwierdziłeś, że oceniają cię korzystniej niż jest w rzeczywistości, niż na to zasłużyłeś. Wszystko cokolwiek robiłeś, uznali za fałsz i grę, więc nie jesteś w ich oczach skompromitowany. Nie mogłeś nawet marzyć o lepszej dla siebie sytuacji. Te dwie rzeczy, błędna ocena ciebie i pojawienie się Argusa zadecydowały, że pozostałeś w tym mieście. Prawdy o sobie, którą im dobrowolnie rzucałeś pod nogi, nie przyjęli, bo nie mogli uwierzyć, że ktoś aż do tego stopnia może być szczerzy. Teraz Argus — pomyślałeś szybko — będzie ci dostarczał wielu satysfakcji w tym mieście.

Już od kilku godzin krążysz pod oknami jego domu i coraz częściej wracasz do tej myśli, że powinniście się upić, że powinienes powiedzieć mu całą prawdę, przestrzegając go przed niebezpieczeństwem. Nie, nie będziesz nawet próbował odbierać mu złudzeń — to byłoby dla niego zbyt okrutne. Nie można nikomu zabierać złudzeń — usprawiedliwiasz siebie, odchodząc spod okien Argusa. Chciałbyś jednak z nim porozmawiać, więc znowu krążysz pod jego oknami. Chciałbyś przepowiedzieć mu przyszłość, zrobiłbyś to bardzo dokładnie. Po prostu opowiesz o sobie. Mógłbyś mu udzielić trochę rad i wskazówek, które uchroniłyby go przed niepowodzeniami. Naraz łapiesz się na tym, jakie masz dobre i sentymentalne serce.

Wzdrygasz się spostrzegłszy, że ten sentymentalizm i ta cikliwość są w stosunku do samego siebie. Wiesz doskonale, że nie ma żadnego pisarza Argusa. Krążysz pod oknami własnego domu, do którego za chwilę wejdiesz. Twój pies nazywa się Argus, ty sam go tak nazwałeś. Byłeś trochę pijany — a jednak mimo zamroczenia, jak dużo jest ścisłości w twoim rozumowaniu. Twój pies ma na imię Argus. Ty go usiłujesz zrozumieć i to jest twoja wyższość nad rasowym psem. Odchodzisz wreszcie od okien. To nieprawda, nie ma prowincjonalnego miasta, mieszkasz w bardzo dużym mieście. Byłeś w sklepie,

kupowałeś chleb i ser. Nikt cię tam nie poznał, nawet znajoma ekspedientka. Podała ci produkty i przyjęła pieniądze, nie patrząc na ciebie. Teraz zauważasz jaki jesteś sentymentalny i ganisz siebie w imię dyscypliny, która nigdy dotychczas cię nie zawiodła. Zły jesteś na siebie, że pozwoliłeś samemu sobie na roztkliwianie się. Jesteś przecież znanym pisarzem, a nikt w sklepie nie wskazał cię nawet skinieniem. Nikt także nie podejrzewa cię o tyle rozterek duchowych, o tak miękki i słaby charakter. Z wyglądu sprawiasz wrażenie człowieka wewnętrznie bardzo silnego. Jesteś również znany z tego, że jako jeden z niewielu pisarzy, poprzez swoich bohaterów nie opowiadałeś nigdy o sobie, choć zawsze o tym marzyłeś. Dzisiaj długo krążyłeś w ogrodzie, pod oknami swego domu.

Wreszcie otworzyłeś drzwi i wszedłeś.

Po piętnastu latach pracy w Koszalinie przechodziłem dwuletni życiowy przełom. Przez dwa lata mieszkalem w wynajętym jednopokjowym mieszkaniu, dzięki wyjazdowi za granicę mego kolegi Dyzia. Warunki te, rzecz jasna, uważałem za luksusowe w stosunku do grożącej mi sublokatorki. Dwa lata miało i Dyzio wracał z zagranicy, trzeba było więc natychmiast rozejrzeć się za nowym lokum. Byłem bezradny, bowiem do spółdzielni mieszkaniowej należałem zaledwie dwa lata. Wreszcie, w swojej bezradności, zdecydowałem się. Poszedłem bez większej nadziei, do ówczesnego wojewody koszalińskiego Stanisława Macha. Przedstawiłem się jako pisarz koszaliński. Wojewoda odpowiedział, że zna moje książki, bowiem zastał je w gabinecie po poprzednim wojewodzie. Wyluszczyłem od razu z czym przyszedłem. Wojewoda natychmiast się zasępił.

— Sprawa jest niezwykle trudna — odpowiedział. (Na szczęście w jego głosie i wzroku odczytałem pewną do mnie przychylność). — Gdyby pan mieszkał gdzie indziej i chciał się sprowadzić do Koszalina, załatwilibyśmy od ręki mieszkanie z puli dla kadry fachowców.

— Ja przecież od piętnastu lat mieszkam w Koszalinie — od-

powiedziałem, bowiem uważałem, że to właśnie najważniejszy argument przemawiający na moją korzyść.

— I dlatego sprawa jest piekielnie trudna. W tym względzie obowiązują żelazne zasady.

— To niesprawiedliwe! — wykrzyknąłem pełen szczerego oburzenia. — Ja przecież w Koszalinie przepracowałem piętnaście lat! — powtórzyłem argumentację.

Wojewoda milczał.

— Panie wojewodo, mam pomysł — mówiłem teraz z przejęciem, jak w transie. — To ja przeniosę się na dwa miesiące do Zielonej Góry i przyślę stamtąd podanie do wojewody z prośbą o pracę i mieszkanie w Koszalinie!

Dostrzegłem, że dopiero ta argumentacja zrobiła na wojewodzie wrażenie.

— Pozwoli pan, że chwilę pomyślę — Wojewoda popadł w zadumę.

Ja też zamarłem w bezruchu. Wiedziałem, że ta chwila zdecyduje o wszystkim. Naprawdę słyszałem przyspieszony ruch powietrza w gabinecie. Cisza trwała co najmniej pięć minut.

— Proszę jutro zgłosić się do sekretarki po odbiór numeru mieszkania — wreszcie usłyszałem.

I w taki oto sposób dostałem mieszkanie z puli wojewody dla kadry fachowców sprowadzanej na teren województwa. Nie potrzebuję w tym miejscu mówić, że wyleciałem z gabinetu wojewody jak na skrzydłach.

P.S. Cokolwiek by się nie powiedziało, były to czasy kiedy zaliczano pisarzy do kadry fachowców.

Za namową Ziutka Narkowicza napisałem na początku 1983 roku do wicewojewody koszalińskiego podanie następującej treści:

„Towarzysz

mgr inż. JACEK CZAYKA

P r o ś b a

Zwracam się do Towarzysza Wojewody o umożliwienie mi kupna maszyn do pisania.

Na maszynie, którą posiadam od dwudziestu trzech lat, napisałem trzynaście książek wydanych i cztery książki czekające na druk oraz setki artykułów publicystycznych.

Doceniając zasługi mojej maszyny do pisania dla mojej skromnej twórczości, muszę jednakże stwierdzić obiektywnie, że obecnie nie jest ona w stanie pracować bez usterek — należy się więc jej słuszny odpoczynek w okresie dostojnej starości.

Z wyrazami szacunku
Czesław Kuriata

P.S. Niniejszy tekst prośby został napisany dzięki uprzejmości młodszej koleżanki mojej sędziwej maszyny do pisania.

Cz. K.

Nie, nie umożliwiono mi kupna nowej maszyny. Nową maszynę do pisania wręczono mi bezpłatnie z okazji dwudziestopięciolecia pracy literackiej, które akurat wtedy przypadało. I co równie przy tym ważne, vicewojewody nie zraził humorystyczny ton prośby. Dzięki temu mogę w tej chwili przepisywać z notatek te „Zapiski prowincjonalnego pisarza”.

*Szkoda,
że go kula
nie trafiła*

Swego czasu pisałem dość systematycznie drażliwe tematycznie felietony do gazety codziennej. Cykl ów zatytułowałem „Pukanie od dołu”. (Tytuł nawiązywał do znanej myśli Le-ca: Ktoś będąc przekonany, że znalazł się na samym dnie, nagle usłyszał pukanie od dołu). Te

króciutkie felietony cieszyły się

nawet pewnym wzięciem u czytelników. Ale nie o to mi w tym miejscu chodzi. Otóż jeden z felietonów pt.: „Szkoda, że go kula nie trafiła” redakcja odrzuciła, wychodząc pewnie z założenia, że poruszam w nim problem aż nazbyt drażliwy. Tak

się przynajmniej domyślam. W felietonie tym opisałem autentyczne perypetie mego ojca (oczywiście nie mówiąc, że przyadek dotyczy mego ojca), który będąc na rencie, starał się — w myśl pewnych przepisów — o dodatek pieniężny przysługujący mu z racji udziału w wojnie. Niestety starania ojca były bezskuteczne, bowiem miejscowy Zarząd ZBoWiD odrzucił jego prośbę.

Po latach napisałem opowiadanie „Spowiedź pamięci”, które ukaże się w tomie „Spowiedź pamięci, próba światła” w wydawnictwie „Pojezierze”. W opowiadaniu prototypem nieżyjącego Kacpra, o którym wciąż opowiada narrator, jest mój ojciec. Jeden z fragmentów opowiadania to prawie dosłownie przytoczony wspomniany felieton. Fragment ten rozpoczyna się dialogiem prowadzonym przez urzędnika Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD z moim ojcem, byłym szeregowcem.

„— Czy kolega był ranny na wojnie? — pyta urzędnik ZBoWiD.

— Nie, ale... — jąka się szeregowiec.

— Nie ma żadnego ale, tylko ranni mają prawo do dodatku.

— Byłem prawie bez przerwy na froncie, na pierwszej linii...

— Nie został jednak kolega ranny.

— Nigdy nie chowałem głowy w piasek, dostałem nawet wiele odznaczeń.

— Nic na to nie poradzimy.

— Ja przecież zdrowie zniszczyłem na wojnie.

— Ale nie został kolega ranny.

— Musiałem walczyć za siebie i za rannego kolegę!

— Oj, bardzo nieładnie, kolego...

— ...Nikommu nie wymawiam... Ja tylko...

— No, więc?

— Bardzo żałuję, że nie zostałem ranny.

— Nie nasza to вина.

Były szeregowiec odchodzi miętosząc czapkę w rękę. Wściekły jest na los, że go kula nie trafiła; czegoś tu nie rozumie, jego rzeczowość i zdrowy rozsądek leżą w gruzach. Nie po raz

pierwszy tak się dzieje w epoce od zakończenia wojny aż do śmierci szeregowca...”

Kacprowi, bohaterowi opowiadania, załatwia ten dodatek jego syn Waldek.

Prawda z życia wygląda następująco. Za wszelką cenę chciałem uratować w swoim ojcu ostatnią iskierkę wiary. Ponadto, jako dziennikarz, pisarz i członek partii wstydziłem się przed ojcem postępowania bezdusznych urzędników. Pokonując piekielne opory, których źródłem była duma, zwróciłem się w sprawie ojca z prośbą do wysokiego urzędnika zbawidowskiego w Warszawie. Ojciec dodatek ten otrzymał. I mimo, naprawdę niewysokiego statusu majątkowego ojca, chodziło tu o coś stokroć ważniejszego od tych trzystu złotych.

Prototypem innego z moich bohaterów, mianowicie w opowiadaniu „Upominek jubileuszowy” był major-lotnik, mieszkaniec koszalińskiej wsi koło Świdwina.

*Prototyp
mego
bohatera*

Poznałem go któregoś wiosny. Dzień w którym po raz pierwszy przechodziliśmy przez jego wieś był piękny i słoneczny. Obejmująca nas z każdej strony zieleń dopełniała reszty. On szedł przede mną lekkim krokiem, a ja podziwiałem jego

chód. Szedł wyprostowany, krok miał sprężysty, choć przekroczył już wtedy sześćdziesiątkę. Szliśmy przez wieś czystą, zadbaną — i chyba z tego powodu mój współtowarzysz co pewien czas zwalniał kroku i dyskretnie zerkał na mnie. Ale ja byłem wtedy niezbyt uważnym obserwatorem i nie złapałem w lot jego intencji-myśli wypowiedzianych owym dyskretnym spojrzeniem. Dziś wiem, że podczas tamtej przechadzki przez wieś walczyły w nim dwa nieczęsto chodzące ze sobą w parze uczucia: duma i zniecierpliwienie. Duma, która brała się w nim stąd, że była to jego wieś, zniecierpliwienie z tego powo-

du, że ja nie zauważam rzucającej się w oczy przy każdym obejściu chłopskiej gospodarności. Przyznaję, iż nie patrzyłem wtedy na gospodarną i czystą wieś, patrzyłem na niego, majora-pilota, bohatera kampanii wrześniowej i bitwy o Anglię, posiadacza najwyższych odznaczeń polskich i angielskich.

— O wojnie porozmawiamy później — odpowiedział łagodnie, gdy zapytałem go o przeżycia frontowe — Teraz niech pan spojrzy na tę wieś. Zaczynaliśmy tu od podstaw... Pan musi to zrozumieć... — zakończył cedząc słowa.

Ale ja wciąż nie myślałem o wsi, myślałem o nim, bohaterze powietrznych bitew o Anglię.

W pewnej chwili podeszliśmy do wysokiego ogrodzenia z drucianej siatki.

— Pójdę przodem — powiedział gardłowym głosem, a ja pomyślałem, że on postanowił nie ukrywać dłużej swoich uczuć. A jednak i to dzisiaj wiem, że jego słowa „Pójdę przodem” oznaczały nie tylko zwykłą, suchą informację. On najpewniej nie chciał mi w tamtej chwili pokazać swojej twarzy.

Po kilku minutach stanęliśmy za ogrodzeniem i wtedy spadłem go wzrokiem. Były major-pilot patrzył na maszyny rolnicze ustawione rzędem na betonowej nawierzchni. Wypolerowane części maszyn odbijały się w promieniach słońca i oślepiały oczy. Wpatrywałem się w jego twarz. Nie, dziś boję się taniego sentymentalizmu i nie powiem, że to łyż na jego twarzy lśniły w słońcu. Były major-pilot stał na szeroko rozstawionych nogach, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Stałem obok niego i nie śmiałem poruszyć się. Ta chwila ciszy i skupienia — nagle pomyślałem — mogła być podobna do tamtych, tuż przed startem do akcji bojowej na kontynent, w stronę Ojczyzny. Ludzie powiadają, że czasami przeszłość wraca w nieskazitelnej, identycznej postaci. Jeżeli kiedykolwiek i komukolwiek to się zdarzyło, mogło to spotkać byłego majora-pilota Władysława B. w tamtej chwili, podczas słonecznego i wiosennego dnia.

Władysław B., były major-pilot, piastował urząd przewodniczącego Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, a jego ocz-

kiem w głowie był właśnie Ośrodek Maszynowy. Władysław B. to jeden z tych, co nie dbali o posady, nie zabiegali o zaszczyty — oni włączyli się od początku w wir życia, podobnie jak kiedyś tkwili w samym środku piekła wojny. Jako pisarz na zawsze pozostałem pod presją jego życiorysu, bo jest on syntezą polskiego losu. W czasie wojny bohater strącający samoloty prowadzone przez asów niemieckich, w czasie pokoju pracowity i nie błyszczący w codziennym życiu, jeden z wielu tysięcy tych, którzy życie budowali od nowa, od zera.

Po roku znowu spotkałem się z Władysławem B. Były major-pilot nie pełnił już funkcji przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej, był na emeryturze. Brał on jednak nadal aktywny udział w życiu swojej wsi i gromady. Zastałem go wtedy niedomagającego ze zdrowiem; wydał mi się o wiele szczuplejszy. W jego wzroku dostrzegłem coś, czego przedtem nie było — a czego nie mogłem od razu nazwać. Nie był to jednak smutek, ani wyraz cierpienia — była to raczej łagodna zaduma. Przywitał mnie jak zwykle serdecznie, z żywieniem.

— Tyle razy spotykaliśmy się, a nigdy nie spełniliśmy toastu — powiedział zaraz po przywitaniu.

Po chwili Władysław B. sięga do nocnej szafki i wyciąga butelkę wina i dwa aluminiowe kubki. Pijemy wino, czerwone, wytrawne. Napój ma cierpki, kwaskowy smak. Mówi, że nawet lekarz twierdzi, że takie wino mu nie szkodzi. Patrząc z zainteresowaniem na aluminiowy kubek, który trzymam w ręku. Widnieje na nim biało-czerwona szachownica.

— To jedyne pamiątki z pułku, resztę oddałem do muzeum. Tylko te dwa kubki zostawiłem — mówi uśmiechając się do mnie porozumiewawczo.

Nagle Władysław B. z natężeniem patrzy na mnie, jakby nad czymś się zastanawiał. Czekam w napięciu na jego słowa. Po chwili pochyła się, otwiera szufladę tej samej nocnej szafki.

— Już dawno miałem to panu pokazać — podaje mi małą, pożółkłą amatorską fotografię. Na fotografii grupa pilotów stoi przy dwupłatowym samolocie — To z dęblińskiej szkoły. Ten

w środku, o ten, to znany pisarz, autor poczytnych powieści o tematyce lotniczej... I nie tylko zresztą lotniczej — tu Władysław B. wymienia nazwisko popularnego pisarza — Nie ma pan pojęcia jak ciężko mu szła nauka pilotażu...

Mój gospodarz zawiesza głos i milknie. Domyślam się, że robi to przez delikatność. Nie chce dalej krytycznie mówić o swoim dawnym koledze, a obecnie znanym pisarzu.

— I kto by pomyślał, że on zostanie wielkim pisarzem — mówi do mnie głosem, w którym nie ma jednak zawiści, ani tonu lekceważenia, a tylko nuta podziwu zmieszana ze zdziwieniem.

Rozumiem Władysława B. On całe życie uczestniczył w sytuacji konkretnej, namacalnej, nigdy nie miał do czynienia z fikcją, kreacją. Kiedyś był mistrzem pilotażu, doskonałym pilotem, do niedawna pracowitym gospodarzem gminy. Jego fantazja i wyobrażenia pokrywały się z rzeczywistością, były jednym i tym samym. Dokonywał rzeczy, które dopiero potem przyjmowała jego świadomość, przyjmowała fantazja i wyobrażenia ludzka. Znakomity autor powieści lotniczych postępował jakby odwrotnie, kazał swoim bohaterom-lotnikom robić to, co podpowiadała mu fantazja i wyobrażenia. I temu on, Władysław B. trochę się dziwił, bo nie przypuszczał pewnie nigdy przedtem, że można właśnie tak, całkowicie inaczej.

Władysław B. nie znał pojęcia skargi. Nawet wtedy — jak mi opowiadano we wsi — nikt nie usłyszał od niego słowa skargi, kiedy jego koledzy zdegradowali go w okresie kultu jednostki do stopnia szeregowca-pilota. (Ten fakt również opisałem we wspomnianym opowiadaniu „Upominek jubileuszowy”).

— Ja przecież po degradacji pozostałem ten sam — odpowiedział krótko mój bohater, gdy zagadnąłem go na ten temat.

Podczas pierwszego spotkania namawiałem Władysława B. do spisania swoich wspomnień, zarówno z okresu bitwy o Anglię, jak i z okresu wójtowania, a nawet sięgnięcia do okresu dęblińskiej szkoły, nie mówiąc już o okresie walk polskich lot-

ników w kampanii wrześniowej. Odpowiedział, że nie bardzo potrafiłby, a pamięć zawodzi. Gdy po raz drugi spotkaliśmy się, paliła mnie ciekawość czy zaczął już opisywanie swego życia. Zapytałem go o to.

— Tak, rozpocząłem, ale idzie mi to nieskładnie i topornie — odpowiedział ściszym głosem — Łatwiej było, o stokroć łatwiej było zestrzelić niemiecki samolot niż to opisać... Teraz naprawdę podziwiam mego kolegę pisarza, z którym razem byłem w dęblińskiej szkole...

— Po prostu trzeba spisać to wszystko, co się robiło i co się czuło... Na przykład w czasie zestrzeliwania niemieckiego samolotu — podpowiedziałem nieudolnie.

— Po prostu strzelało się do nieprzyjacielskiego samolotu — Mój bohater chwilę milczał — A jeśli go trafiłem, to on spadał.

Wiedziałem, że ostatnie zdanie wypowiedział tylko po to, aby dać mi do zrozumienia, że należy zmienić temat rozmowy.

Po roku od ostatniego spotkania z Władysławem B. dowiedziałem się o jego śmierci. Natychmiast pojechałem do jego wsi. Na moje pytanie czy nie zostawił jakichś notatek rodzina kategorycznie zaprzeczyła.

Od pewnego czasu żałuję bardzo — jak zdarza się to w moim przypadku często — że za wcześnie napisałem opowiadanie, w którym prototypem jednego z bohaterów jest Władysław B. Gdybym je pisał dziś na pewno wszechstronniej ukazałbym w utworze postać majora-pilota, stworzyłbym sugestywniejszy jego portret, bowiem czas i życie — a co za tym idzie — doświadczenie ludzkie, to największy sprzymierzeniec pisarza.

Kaszubi pod Wiedniem

Paweł jest bardzo staranny w robocie, po prostu mistrz w swoim fachu. Zanim przyklei tapetę do ściany, wykleja ją dokładnie gazetami. Właśnie w tej chwili tapetuje moje mieszkanie. W przerwie siadamy do piwa za którym on przepada a i mnie smakuje ten napój w je-

go towarzystwie zwłaszcza, iż między jedną a drugą szklaneczką, Paweł wygrywa na grzebieniu rzewne melodie. Naprawdę nikogo dotąd nie spotkałem, kto umiałby tak grać na tym przedmiocie.

— To doskonała gazeta — mówi Paweł Pupka-Lipiński wskazując „Tygodnik Kulturalny” leżący na krześle obok.

— Bardzo się cieszę — szybko odpowiadam — Ja właśnie od lat współpracuję z tym czasopismem. Naczelny Redaktor tygodnika, Stanisław Adamczyk, to mój stary przyjaciel — chwale się.

— To bardzo dobra gazeta do wyklejania ścian pod tapetę — kończy informację Paweł.

(Wybacz Staszku, nie masz chyba jednak w tym miejscu powodu do obrażania się na mnie, ani na mego przyjaciela Pawła. Okazuje się, że Twoje czasopismo w równym stopniu cenią czytelnicy, jak i sympatyczny Paweł, doskonały malarz-tapeciarz).

Po chwili Paweł Pupka-Lipiński opowiada o swojej rodzinnej wsi Brzeźno Szlacheckie koło Chojnic. Paweł jest dumny z obu członów swego nazwiska, które jego rodzina nosi od czasów Sobieskiego. Mówi z dumą o pomocy jaką jego przodkowie udzielili Sobieskiemu zdążającemu z odsieczą Wiednia. Właśnie jego przydomek datuje się od tamtych czasów. Oba członki nazwiska figurowały w spisie lokatorów na klatce schodowej. Niestety, dzieci Pawła nie rozumiejąc wagi historycznych przydomków, zatarły pierwszy człon nazwiska. Z przydomków tych dumni są do dzisiaj w rodzinnej wsi Pawła jak i w oko-

licy. A prawie każdy w tamtych stronach ma przydomek: Lew-Kiedrowski, Pluta-Prądyński, Wnuk-Lipiński, sporo jest przydomków Dryfk i Mesje. Dziadek Pawła ze strony matki nazywał się Bastian-Brzeziński.

Paweł Pupka-Lipiński wraca do opowieści o odsieczy wiedeńskiej. Regimenty kaszubskie nie zdążyły do Krakowa, na szczęście udało im się dołączyć do Sobieskiego na Śląsku. Po powrocie spod Wiednia zasadzono na pamiątkę wielkiej wiktorii lipę, a podczas uroczystości przed pięćdziesięciu laty powstała w Brzeźnie cała lipowa Aleja Sobieskiego. Odbyła się wtedy wielka uroczystość z udziałem najwyższych ówczesnych władz z województwa i powiatu. W uroczystości uczestniczyła husaria na koniach, wtedy też zakopano butelkę z nazwiskami uczestników odsieczy wiedeńskiej. A Kaszubów pod Wiedniem było sporo, aż dwa regimenty, jeden składający się z trzystu chłopów, drugi liczył dwieście pięćdziesiąt.

O odsieczy wiedeńskiej w rodzinnych okolicach Pawła opowiada się z pokolenia na pokolenie, przez osiemnaście pokoleń. Wydarzenie to było wielkie i znaczące w życiu Kaszubów. Z łaski króla Sobieskiego otrzymali oni ziemię, herby i przydomki, następni królowie także dążyli łaskami potomków wiedeńskiej wiktorii. Od trzystu lat Brzeźno nosi nazwę Brzeźno Szlacheckie. Paweł z pamięci potrafi zacytować fragment z sienkiewiczowskiej prozy „Na polu chwały” ukazujący waleczny i wspaniały prezentujący się regiment kaszubski.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, przypominam sobie dwie ballady bohatersko-szlacheckie, jak je w duchu sentymentalnie, a nieprecyzyjnie określam. Wyciągam maszynopis i czytam — niechętnie pokazuję swoje utwory kolegom po piórze, przy takich jednak słuchaczach jak Paweł nie czuję skrępowania. Czytam więc ballady a Paweł na grzebieniu wykonuje podkład muzyczny doskonale harmonizujący z tekstami wierszy. (I tak na marginesie mówiąc, podkładowi muzycznemu Pawła może dorównywać tylko pomysł podkładu muzycznego audycji wymyślony przez naszego realizatora Rozgłośni Takisa Grancarisa, z którym pracuję od dwudziestu trzech lat).

Pozwól więc Pawełku, że w tej chwili zadedykuję Tobie
i Twoim bohaterskim przodkom spod Wiednia obie ballady.
Niechże i one w skromny sposób uświęcą uroczystości w Two-
jej rodzinnej wsi, uroczystości związane z odsłonięciem pomni-
ka „Kaszubi pod Wiedniem”.

KOŃ

Poprzez tysiąc lat wciąż galopem
Piękny polski koń jak wichher gnał —
A uzdy na nim srebrno-złote
I był to wciąż sarmacki cwał.

Że była u nas tysięczna szarża
Świat polskiego konia dziś oskarża!

Do nieba prosto szli rycerze,
Do nieba tylko szli ułani —
A lud zazdrościł śmierci szczerze
Z ręki wojenki, pięknej pani.

Na ziemi zostawał biedny koń
I jego nad krajem mdława woń.

W stepach hulał dziki koń Tatara,
W mitach podstępny koń trojański —
A każdy z nich o stu przywarach,
Nasz wciąż szlachetny, jakże pański!

Czy to wina naszych polskich koni,
Że wolność nam się wyrывała z dłoni?!

Na nic, że koń galopem, cwałem,
Gdy historia krokiem stępa.
Tylko złote trąbki zostawały całe,
Z nimi muzyka w nas zakłęta.

Nasz koń przez wieki nosił honor.
Czemu więc konia potępiono?

SZABLA

Nasz czas wciąż zacofanie odrabia,
Przestawia cele, zmienia charaktery
Tak sarmackie jak nasza polska szabla
I tak miłe sercu jako złote ordery.

To nic, że dziś super —

i mikrohonorów szabla

To szczegół staroświecki, jakże już paradny
To nic, że czas nam symbol zmienić przynagła —
My wciąż szablą mozolnie, z uporem tniemy nawet
zawiłą nić Ariadny

Już na naszej szabli pełno śniedzi
Już nam krok hamuje, nogi pęta —
Jaki czart w niej przyczajony siedzi,
Że szabla droga, zawsze święta?

Czy od nas większy spryt ma szabli święta tradycja,
Że jako wąż zwinny zgrabnie się od cienia wywija?

Nam światło szabli dech zapiera,
Niesie sen o naszej z nią odwadze —
I chociaż inna, całkiem inna era
Wciąż na szabli iskry a nie sadze — —

Kiedyś chwacko wśród wojennej wrzawy
Kiedyś honor na jej ostrzu dumnie błyskał —
Dziś z tradycji wzięliśmy ją w codzienne nasze sprawy
I jęzorem jako szablą rozdajemy już wyzwiska — — —

*Czyżby z tradycji tyle tylko myśmy wzięli
Że się nigdy od szabli nie od-anielim?*

*Na koniec wyznam, że przed wami szablę ganię
Widząc w niej cierpienia, widząc w niej niedole —
W domu moim, na mej głównej ścianie
Jakże chciałbym widzieć
Szabli piękne dwa symbole!*

Powyższe wiersze, które prezentowałem na spotkaniach autorskich, wielu moich słuchaczy, szczególnie starszego pokolenia, przepisywało dla siebie na pamiętkę. Dotychczas teksty powyższe nie ukazały się w żadnej z moich książek, bowiem, odbiegały one zarówno treścią jak i formą od wierszy zamieszczonych we wszystkich dotąd wydanych tomikach poetyckich. Umieszczając je na tych kartach spełniam tym samym prośbę wielu moich Czytelników o wydrukowanie ich w książce.

W przeciwieństwie do poprzednich epok literackich, pisarz współczesny bardzo często nie ogranicza się do jednego gatunku literackiego, czy do określonych w tym gatunku form. Są pisarze, którzy uprawiają jednocześnie prozę i poezję, lirykę i satyrę, piszą scenariusze filmowe, teksty piosenek, są autorami sztuk teatralnych; ci sami autorzy piszą zarówno dla dzieci jak i dla dorosłych. Przykładem tej wszechstronności na naszym polskim gruncie jest Ernest Bryll, który do tego wszystkiego jest autorem niejednej śpiewogry.

Tak się złożyło, że obok wierszy lirycznych, mam w swoich teczkach również teksty satyryczne, niektóre z nich publikowałem nawet w prasie i radiu. Najwcześniej jednak zacząłem pisać-układać fraszki, w większości na użytek własny, a dokładniej na użytek towarzyski. Od czasu do czasu, w okolicznościach mniej oficjalnych, wygłaszałem swoje fraszki, w większości te nieco erotyczne. Oto niektóre z tych, do których sięgam najczęściej:

Najsmutniejsze westchnienie:

Ano,
rano.

Z Cezara

Veni — maxi
Vidi — midi
Vici — mini
Pakt — akt!

Przy posagu antycznym

Dziwi się nudystka
tak ogromnej zmianie listka.

Przed i po

Z narzeczeńskiej ery:
Szmery.
Mażeńskie gniazdo:
Jazgot.

Telegram z raju

„Niepotrzebny był mi radar!
Adam”

Telegram dla zakochanych

„Obniżam limit!
Świt”

Opublikowałem w prasie kilka wierszy satyrycznych. Swego czasu byłem dumny z „Ballady o butach” drukowanej w „Szpilkach”:

Od lat na tym się łąpię
że buty mają także coś
z homo sapiens

Bo buty są
te które się drą
są buty ciche
buty krzykliwe
buty liche
buty krzywe
buty łamagi
i buty pełne buty
i buty pełne odwagi
i buty pełne powagi
buty z nosem do góry
i buty z których śpią się wióry
buty u których na kwintę nosy
gdy ludzka noga nimi pomiata
wtedy smutne tych butów losy
więc takie buty uciekają na samiuteńki koniec świata

Od lat na tym się łapię
iż buty także coś mają
z homo sapiens

Przed wyjściem do pracy wzdychają

„Och, jakże smutno i źle
znikać w porannej mgle” —

I milkną

bo wciąż butów gardła
krępują sznurowadła

A kiedy ambicja bucia się budzi
wygląda to zupełnie jak u ludzi —

Cichy przez całe życie trzewik
zamarzy mieć długie cholewy —

Spotkanie butów różnych nacji
najczęściej odbywa się na stacji

Spotkanie wszystkich ras
spotkanie wszystkich klas
dużo czarnych
trochę żółtych
wreszcie białych drobne stuki
przemkną niczym białe kruki

Od lat na tym się łapię
iż buty mają coś
z homo sapiens
Buty szpecą jak ludzie
gdy gorący sierpień i mroźny grudzień
„Gdybyż była tylko jedna rasa
i jedna klasa...
O, moi najmilsi,
wtedy bylibyśmy czystsii...!”

A jednak i na tym się łapię
iż buty różnią się od homo sapiens —
Buty uwijają się jak w ukropie
i nigdy nie myślą o urlopie
BUTY MAJĄ TĘ PRZEWAGĘ NAD NAMI
ŻE AŻ DO ŚMIERCI ŻYJĄ PARAMI!!

Jestem także autorem czterowierszowych rymowanych „**Ba-
jek nie tylko o zwierzętach**”. Publikowałem je w prasie lo-
kalnej i na antenie Rozgłośni Regionalnej.

O kangurze

Pewnego razu kangura
Przywalila góra.
„Jest zdrow — wieść niesie —
On miał pełną kieszeń”.

Dwa kruki

Słabszy kruk do silniejszego powiada:
„Kruk krukowi oka nie wykole”,
Na to silniejszy takie zdanie składa:
„Nie, ja serce wolę”.

O nierówności

Kukulka wylęła się w gnieździe wrony
Nikt na sobie szat nie porwał —
Natomiast rwetes powstał szalony,
Gdy jajko czyżyka znaleziono u orła.

Słowiki artyści

Rzekł słowik do słowika
„Ja śpiewam lepiej, ty lichy”.
Ten odpowie „Nic z tego nie wynika,
Gdy obaj śpiewamy incognito”.

* * *

„Śpiewamy zawsze tak ślicznie” —
Młody słowik mówił ustawicznie.
Szybko stary speszył go:
„Co z tego, gdy ludzie jeszcze śpią”.

P.S. Te dwie ostatnie bajki dedykowałem artyście-plastykowi Andrzejowi Słowikowi za pół litra czystej!

W „Szpilkach” ukazały się moje „Cztery grzechy miłości”.
Oto one:

Niewola

Dlaczego we wzajemnej miłości nie ma w nas marzenia,
Które uczucie zdolne jest wciąż od nowa odświeżać.
Czemu miłość bez niewoli ginie, nim się stanie,
Jak szczęście, które znika, gdy nie ma granic?

Podstęp

Czemu nie widzisz w mojej przy tobie klęsce
Szczerości, której nigdy nie objawia zwycięzcy?
Dlaczego chcesz, by miłość w podstępie kwitła,
Jak wciąż od nowa perfidnie obmyślana bitwa?

Zdrada

Skończyły się moje do ciebie drogi zawile,
Najbliższa, dziś wyznaję, ciebie zdradziłem.
Powiedz, dlaczego zdrada odtąd już się stanie
Moim do ciebie na wieku przypisaniem —

Przewrotność

Wciąż zadajemy sobie ból nawzajem,
Chcemy w miłości dorównać ideałom.
Osiągając jedność, która wreszcie się staje,
Krzyczymy „Czemu w nas różnic tak mało!”.

Bez większego szczęścia pisałem także teksty piosenek. Moją najnowszą piosenką, z muzyką Andrzeja Januszkiewicza, jest „Codzienna nasza gra”. Niestety, mimo naszych wspólnych wysiłków, kompozytora muzyki i autora tekstu, nie znaleźliśmy wykonawcy dla piosenki.

Co dzień miotani uczuciami
Z pragnienia w pragnienie gnani
Jakże dużo od siebie naraz chcemy
Sens miłości pojąć niemy
Wciąż pędzeni do światła naszych
Niczymśmy do piekieł ognia
Jesteśmy dla siebie jak haszysz
Spalamy siebie co dzień do dna
Gubimy co dzień nasze lęki
Gdy znajdziemy siebie obok
Znowu robimy sąd wielki
Ty nade mną ja nad tobą

Co dzień w złości aż do kości
Śmiertelnie ze sobą gramy
Z nienawiści i miłości
Zamykamy przed sobą bramy
I bronimy tu dostępu
Złej miłości naszej sępów
I łakniemy wciąż tortury
Sobą zdarci aż do skóry
I co dzień słowem wciąż od nowa
Siebie tniemy niczym mieczem
Między nami mur przebijamy głową
Niszcząc nasze średniowiecze
Znowu przed nami przepaść bez dna
Nas pustynia wielka wokół
Najmilsza między nami to gra
Z własnego nad sobą wyroku
Wchodzimy razem w szczęście inne
Tylko siebie zawsze warci
Ty we mnie ja w tobie ginę
Z diabłem pożądania w pakcie

Co dzień w złości aż do kości
Ciągłe wojny między nami
Siebie co dzień zwyciężamy
Otwierając serca na oścież

*I bronimy tu dostępu
Złej miłości czarnych sępów
I łakniemy wciąż tortury
Sobą zdarci aż do skóry*

Nigdy nie przypuszczałem, że będę pisać również dla dzieci. Pierwszy wiersz dla najmłodszych napisałem ponad dziesięć lat temu. Odtąd wiele utworów poetyckich tego typu wydrukowałem w „Płomyczku” i „Świerszczyku” oraz w prasie regionalnej; jak dotąd, napisałem również trzy opowiadania — dla najmłodszych o samochodach, dla nieco starszych historyczne o Pomorzu i dla starszych dzieci opowiadanie fantastyczne o Marsie.

Tak, powtarzam, nigdy przed laty nie przypuszczałem, że będę pisać dla dzieci. A zaczęło się to wszystko całkiem niespodziewanie dla mnie samego. Stało się to za sprawą mojej córeczki Kaliny oraz jej Pani Wychowawczyni.

— Nasza Pani prosi, aby tata napisał wiersz na zakończenie roku szkolnego — któregoś dnia pod koniec czerwca powiedziała Kalinka, która kończyła pierwszą klasę.

— Córeczko, ja przecież nie umiem pisać dla dzieci — odpowiedziałem zaskoczony. — Nigdy dotąd nie napisałem ani linijki dla dzieci — usprawiedliwiałem się.

— Szkoda — córka była wyraźnie zawiedziona.

W drugiej klasie, dwa tygodnie przed Dniem Nauczyciela Kalinka znowu zwraca się do mnie:

— Pani prosi, żeby tatuś napisał wiersz na Dzień Nauczyciela.

— Już ci mówiłem, że nie umiem pisać dla dzieci.

Córka tym razem nic nie mówiąc zabrała się do odrabiania lekcji.

— Nasza Pani powiedziała, że co to za poeta, który nie umie napisać wiersza dla dzieci — usłyszałem na drugi dzień od Kalinki.

W odpowiedzi roześmiałem się beztrósko, ale mojej beztróski nie podzielała zupełnie córka, co więcej, widziałem po

jej minie, że jest wręcz zmartwiona, że cierpi ambicjonalnie. W nocy, kiedy wszyscy w domu już dawno spali, nagle zadźwięczały mi w uszach słowa Pani Wychowawczyni powtórzone przez córkę. Co mi szkodzi spróbować, pomyślałem. Usiadłem i taki oto pierwszy utwór napisałem dla dzieci:

Wiersz o Nauczycielu

*Kto pierwszych uczył liter,
Kto pierwszej uczył cyfry,
Wskazywał nam piękno ukryte,
Pomagał przejść przez wichry...?*

*Kto dobro wpajał co dzień,
Kto nie skąpił nam opieki,
Chciał, by ludzie żyli w zgodzie —
O tym pamięć w nas na wieki!*

*Bo kiedy minie czas i miną lata
I nie wiem ile lat upłynie nawet —
Gdy przyjdzie rozwiązywać trudną sprawę
Wrócą do nas słowa spośród ławek.*

*A jeśli sami staniemy w środku klasy,
I kiedy pierwszy zrobimy ręką znak,
Przypomnimy sobie tamte szkolne czasy
I to, że właśnie tę literę trzeba pisać tak.*

*A kiedy staniemy pośród rozstajnych dróg
I ciężko nam będzie w niejednej chwili,
Zrozumiemy, że trzeba spłacić wielki dług...
I wytrwamy — jak ci, co kiedyś nas uczyli.*

Wiersz ten rzeczywiście był recytowany w szkole córki podczas uroczystości Dnia Nauczyciela. I to był mój debiut

jako pisarza dla dzieci! Ale na tym jeszcze nie koniec. W następnym roku, na długo przed Dniem Nauczyciela, Kalinka poprosiła o tekst tego wiersza, bowiem znowu był on potrzebny. Wtedy też córka poradziła mi, abym wysłał go do „Płomyczka”. Tak też zrobiłem. Od Redaktora Naczelnego „Płomyczka” otrzymałem serdeczny list z zapewnieniem, iż wiersz ukaże się w jednym z listopadowych numerów czasopisma. Redaktor gorąco też zachęcał mnie do współpracy z jego dwutygodnikiem.

W taki oto sposób zacząłem systematycznie pisać dla dzieci.

Mój kolega redakcyjny (prawie dwadzieścia lat pracujemy w jednym pokoju) Henryk Livor-Piotrowski od lat nie wydał kolejnej książki, choć materiału w maszynopisie ma na co najmniej dwa tomy opowiadań, tyleż tomów wierszy, na poetycką książeczkę dla dzieci i na powieść. Tenże sam Henio Livor potrafi podpowiadać kolegom pomysły powieści i opowiadań, a niektórzy z nich skwapliwie je przechwytyują, które potem pomysłodawca z satysfakcją znajduje w cudzych książkach. Zdarzyło się, że Henryk jednemu z kolegów sprzedał za pół litra koniaku tytuł powieści, którą znał zaledwie ze streszczenia. Livor ma bowiem polot i fantazję literacką, ma intuicję, bez której nie może istnieć żaden prawdziwy twórca.

I ja Livorowi zawdzięczam pewną rzecz. Oto swego czasu, tuż po jego przyjeździe ze Szczecina, lubiliśmy często przy gorzałce recytować wiersze. Był taki okres, iż szczególnie lubowaliśmy się w rosyjskich poetach tuż porewolucyjnych. Byli to m.in. Błok, Jesienin, Majakowski, Szczipaczow, Kamieński, Bagricki, Mandelsztam, Kruczonych. Ja najczęściej recytowałem Błoka, Henio swego ulubionego Szczipaczowa. Któregoś dnia usłyszałem od Henryka następujący czterowiersz Szczipaczowa:

*Jeszcze skupa zemla Jakuta
No, on uwidit kraj w cwietu*

*I ot moroza budiët kutat',
Bosyje jabłoni w sadu.*

Henryk dodał przy tym, że tekst ten przetłumaczył już wiele lat temu, i choć to tylko prościutki czterowiersz, wcale nie tak łatwo go spolszczyć. I to nie tylko ze względu na konieczność znalezienia odpowiednich rymów w języku polskim.

Począwszy od następnego dnia siedziałem kilka wieczorów (wspominam je teraz z rozrzewnieniem!) nad przekładem tego czterowiersza. Zrobiłem aż cztery wersje i z żadnej z nich nie byłem zadowolony.

1.

*Jakuta ziemia jeszcze skąpa,
Lecz wkrótce przyjdą tutaj kwiaty,
Bo Jakut w sadzie będzie stąpać
Jabłoniom wdziewać ciepłe szaty.*

2.

*Jakuta ziemia skąpa jeszcze,
Lecz on zobaczy kraj kwitnący,
Gdy wydrze teraz z mrozu kleszczy
Jabłoni nagiej pień cierpiący.*

3.

*Skąpa jest ziemia dziś Jakuta
Lecz on zobaczy kraj swój w kwiatach,
Gdy mrozu nie doznają tutaj
Jabłonie czekające lata.*

4.

*Jakucie ziemia jeszcze skąpi
Lecz kwiaty w sady jego wstąpią,*

*Bo Jakut wkrótce mróz przegoni
Od pnia nagiego swej jabłoni.*

Było to moje pierwsze tłumaczenie, nie licząc prehistorycznych wierszyków Catullusa, o czym już wspominałem w tych „Zapiskach”. Przełożyłem potem trochę wierszy z rosyjskiego: poetów z Syberii i Gruzji — pierwszych dlatego, że byli swego czasu gośćmi Koszalina, drugich, bo ja gościłem u nich. Żałuję bardzo, że moja „pasja” translatorska była tak nie-trwała. Tłumaczenie z obcego języka to przecież doskonała nauka własnego.

Błogostawieństwo

biskupa

i

wdzięczność

ateistów

Człowiek, o którym opowiem stanowił dla mnie prawdziwą zagadkę — łączył bowiem w sobie dwie osobowości. W odbiorze świata przejawiał fantazję naiwnego dziecka, a jednocześnie był typowym człowiekiem interesu. Zanim zaczę swego rodzaju biograficzną opowieść o nim, muszę gwoli jasności powiedzieć, iż nigdy nie oceniałem go jednoznacznie.

nie negatywnie. Ale wróćmy do początku.

Niespokojna dusza tego człowieka objawiła się bardzo wcześniej. Jako samouk rozpoczął pracę dziennikarską w wieku siedemnastu lat, w początkach lat trzydziestych. Własnym nakładem wydał wtedy monografię historyczno-geograficzną poświęconą swojej rodzinnej okolicy. W wieku osiemnastu lat był wydawcą i naczelnym redaktorem gazety, której ukazało się kilka numerów, bowiem władze przedwojenne po prostu pi-semko zlikwidowały. I podobnie, jak zdarzało się to często w tamtym okresie, mój bohater także miał swego redaktora odpowiedzialnego „od kozy”. Rzecz polegała na wynajęciu czło-

wieka, któremu płaciło się za korzystanie z jego nazwiska jako rzekomego redaktora. W przypadku więc pretensji władz, areszt odbywał za właściwego redaktora ów człowiek wynajęty. Oglądałem dwa numery wspomnianej gazety. W treści prezentowała ona konglomerat najprzeróżniejszych, wzajemnie wykluczających się poglądów. Był tu zarówno klerykalizm, jak i idee lewicowe, mesjanizm mieszał się z utopijnym socjalizmem. Nigdy więc nie mogłem zrozumieć, jak nie rozumiem do tej chwili, jak mógł tyle przeróżnych postaw skupiać w sobie jeden człowiek i to wcale nie na przestrzeni całego życia, a po prostu w danej chwili. Całe jednak życie bohatera, o którym opowiadam, było jednak takie właśnie — a sprzeczności tkwiące w nim samym, stanowiły pewną jedność. Bohater mój potrafił reprezentować w latach pięćdziesiątych postawę klerykalną a jednocześnie był tak zwanym korespondentem wiejskim piętnującym kościół. Przedziwna jest natura ludzka, jeśli się zważy, iż człowiek prezentując skrajne poglądy wszystkie wyznaje szczerze.

Przeczytałem kilkadziesiąt krótkich notatek prasowych z lat pięćdziesiątych autorstwa mego bohatera. I tu iskry dowcipu i polot graniczyły z naiwnością dziecka. Utkwiła mi w pamięci jedna z jego korespondencji, w której autor krytykował nieuczciwą pracę miejscowego weterynarza. Chodziło o przegląd psów na miejscowym rynku. Niestety, weterynarz nie zjawił się mimo, iż właściciele przyprowadzili na oznaczoną godzinę pięćset czworonożnych przyjaciół człowieka. Swoją krytykę prasową autor zatytułował z prawdziwym poczuciem humoru: „Pięćset uczciwych psów czekało na jednego nieuczciwego weterynarza”. Takich dowcipnych notatek mógłbym przytoczyć więcej. Jego działalność dziennikarska w tamtym okresie spowodowała, iż miejscowy proboszcz wyklinał go z ambony, a sekretarz partii atakował jako przedstawiciela klerykalizmu. Oczywiście, ani postępowanie proboszcza nie było w pełni słuszne, ani też nie oddawała całej prawdy opinia sekretarza. Po prostu i wtedy mój bohater chciał ze wszystkimi żyć w zgodzie, wszystkim się przypodobać, no i sprawę tak

„przedobrze”, że wszystkim po prostu narażał się. Jednym z ostatnich objawów tej postawy jest książka, którą swego czasu mój bohater opublikował. I być może dzięki temu, że świat czasami zachowuje się przedziwnie, tym razem niekonsekwencja autora przyniosła pozytywne skutki. Wyjaśniam o co chodzi. Otóż mój bohater w swojej książce przedstawia źle postępujących księży, oczywiście zastrzegając się przy tym, że robi to jako prawowity katolik. Przy takiej asekuracji nikt go nie może wykląć z ambony — wręcz przeciwnie, otrzymuje za to pisemne błogosławieństwo biskupa. W tym samym czasie i za tę samą książkę ateści wyrażają mu swoją wdzięczność. To się nazywa mieć głowę do interesu! Ale i to jeszcze nie wszystko. Książka, którą opublikował, zawiera — jak już powiedziałem — rozdziały dotyczące kościoła. Być może fakt ten podsunął myśl autorowi, aby swoje dzieło zaprezentować w Częstochowie, w okolicy Jasnej Góry. Po prostu autor sprzedawał tam własną książkę kilkakrotnie drożej. Nawet zażądał w wydawnictwie drugiego, dziesięciotysięcznego nakładu, zobowiązując się do sprzedania wszystkich egzemplarzy. Wydawnictwo jednak nie wyraziło zgody na wznowienie książki i decyzję tę należy uważać za absolutnie niesłuszną. Redaktorzy nie chcąc bowiem dać zarobić autorowi na handlu swoją książką, działali jednocześnie na szkodę własnej instytucji — bowiem jej autor rozprzedałby w mig również cały nakład wznowienia.

To, co opowiedziałem wyżej, może stanowić kanwę utworu literackiego. Jako temat opowiadania może także służyć inne zdarzenie.

Otóż memu bohaterowi imponował mundur i szlify oficerskie, których nigdy nie mógł osiągnąć. Zrealizowanie tego marzenia było tak silne, że w pierwszych dniach wojny nie mogąc oprzeć się pokusie, chociażby na chwilę zostania oficerem, kupił mundur i dumnie zaczął w nim paradować. Niestety, trwało to tylko kilka godzin. Został bowiem zatrzymany przez Niemców, którzy zamknęli go na wiele lat w oflagu. Oto jaką cenę zapłacił za spełnienie marzenia i osiągnięcie

celu. Tylko ten jeden fakt, sędzę, byłby ciekawą kanwą utworu literackiego.

Nagle, na zasadzie jakiegoś niespodziewanego, dalekiego skojarzenia, przypomina mi się zdarzenie, które — mówiąc językiem jednego z moich literackich bohaterów — „niewąsko” mnie zaskoczyło. Po chwili jednak zgromiłem siebie: to co się zdarzyło jest naturalne i wcale nie powinno mnie dziwić.

Po wydaniu swego tomiku „Miara dłoni” opowiedziano mi, że ksiądz, prowadząc rekolekcję dla młodzieży licealnej, czytał z tego tomu mój wiersz „Modlitwa współczesna”. Gdy ktoś z młodych słuchaczy zrobił mu uwagę, że autor wiersza nie chodzi do kościoła, ksiądz odpowiedział, że to nie szkodzi, ważna jest piękna treść utworu. Ktoś dalej upierał się: to tylko pozór, że to wiersz o treściach religijnych. Podobno ksiądz na to odpowiedział, że dla niego wiersz ten zawiera treści religijne.

Tak, naprawdę poeta chciałby pisać dla wszystkich, chciałby, aby każdy coś dla siebie znalazł w jego wierszu.

Ów ksiądz czytający mój wiersz, najprościej i najdoskonalej zdefiniował funkcję poezji.

Kłopoty z nazwiskami bohaterów

i

fikcja literacka

Wymyślanie nazwisk, a nawet imion bohaterów występujących potem w moich utworach, zawsze sprawiało mi sporo kłopotu. Pierwsza trudność do pokonania, to konieczność znalezienia dla bohatera nazwiska niebanalnego, brzmiącego naturalnie. I dalej, nazwisko postaci występującej w utworze nie może być zbyt wymyślne, utworzone sztucznie,

bo natychmiast budzi ono u czytelników nieufność. Kłopoty bywają także z imieniem, zarówno imię jak i nazwisko nie powinno brzmieć pretensjonalnie, nie może także na przykład w opowiadaniu o wątku tragicznym wyzwać niezamierzonej „śmieszności”. W takim wypadku najsugestywniejszy bowiem opis tragicznych sytuacji, w jakich znajdują się bohaterzy, nie zda się na nic — nie wywoła bowiem grozy. Śmieszne imię czy nazwisko natychmiast zniweczy pisarskie zamierzenie. To przedziwne, ale pisarz musi uważać, aby nazwisko i imię w jakiś, oczywiście dyskretny sposób, pasowało do charakteru psychologicznego literackiej postaci. W literaturze dają bowiem o sobie znać odrębne prawa nią rządzące, które nie „pokrywają się z życiem”. Ileż poważnych i dostojnych ludzi nosi groteskowe, komicznie brzmiące nazwiska! Przeniesienie tych „wesoło” brzmiących nazwisk do utworów literackich natychmiast pozbawia te postacie cech powagi.

Oto kilka autentycznych przykładów kłopotów z nazwiskami, które przydarzyły mi się w mojej pracy pisarskiej. Pierwszy z nich związany jest z powieścią „Galop do Wielkiego Lasu”. Otóż, tak się złożyło, że jeden z bohaterów tej książki nazywa się identycznie jak mój przełożony. Ani on nie był jeszcze moim szefem, anim go nawet znał, kiedy pisałem tę książkę. Został moim kierownikiem dopiero, gdy już książka była opublikowana. Dobrze więc, że wspomniany bohater „Galopu do Wielkiego Lasu” jest postacią pozytywną. W wypadku przeciwnym nikogo nie przekonałbym, że pisząc książkę nie miałem właśnie na myśli swego obecnego kierownika. Tym razem szczęście dopisało mi nawet podwójnie. Ów bohater o nazwisku mego przełożonego nie jest także postacią literacką wybitną i przepiękną — i dlatego nikt mi nie może zarzucić, że chciałem przypodobać się przełożonemu... Chociaż, tak między Bogiem a prawdą, czasami któryś z moich znajomych złośliwie wspomni o tym, że nazwisko to nieprzypadkowo znalazło się w mojej książce... Ze wspomnianym bohaterem „Galopu do Wielkiego Lasu” jednak jeszcze pół biedy — bywałem

bowiem w większych opalach z powodu nazwisk moich książkowych bohaterów.

Przeszło dziesięć lat temu, podczas podpisywania książek po spotkaniu autorskim, podeszła do mnie nieśmiało siedemnastoletnia dziewczyna ze zbiorem opowiadań „Upominek jubileuszowy”. Otwieram książkę i pytam jak się nazywa. Nagle widzę, że coś się z dziewczyną dzieje niewyraźnego. „A więc chce pani dedykację bez swego nazwiska” — mówię wpisując stereotypowe słowa. I wtedy stało się. Panienka jękając się zaczyna mówić. W pierwszej chwili nie rozumiem o co jej chodzi. Wreszcie chwytam sens: jej ojciec nie jest wcale taki zły, chciał jak najlepiej, tyle tylko, że zawistni ludzie podgryzali go jak mogli. W dalszym ciągu nic nie rozumiem. Dziewczyna mówi, że całe miasteczko wyśmiewało się z jej ojca, a nawet w szkole koleżanki bez przerwy jej dokuczały. Zbity całkowicie z tropu, wciąż nie mogę pojąć o co jej chodzi, po co mi to wszystko mówi. „Dlaczego pan tak brzydko obsmarował mego tatusia w swojej książce” — słyszę jej pełen rozżalenia głos. „Po raz pierwszy jestem w waszym miasteczku” — wyjaśniam. Dziewczyna w odpowiedzi wymienia tytuł opowiadania, a także imię i nazwisko swego ojca. Rzekniesz takie imię i nazwisko nosi bohater jednego z moich opowiadań! „Ależ to oczywisty przypadek — bąkam na swoje usprawiedliwienie. — W opowiadaniu mój bohater pełni funkcję...” — tu wymienilem tzw. stanowisko służbowe. Zamilkłem zadowolony, że oczyściłem siebie z podejrzeń. „Do niedawna jeszcze tatuś pracował właśnie na tym stanowisku” — odpowiada ze smutkiem dziewczę. Czytelnicy wyobrażają sobie w jakiej znalazłem się sytuacji, i jak się czułem w tamtej chwili. Nie pomogły żadne moje wyjaśnienia i zawile tłumaczenie, że to przecież wina najzwyklejszego przypadku; o jej ojcu nigdy w życiu nie słyszałem, a dlatego takie właśnie imię i nazwisko wymyśliłem, aby brzmiało ono zwykle i naturalnie. Kiedy dziewczyna wciąż milczała patrząc na mnie z wyrzutem, zacząłem ją przeproszać. I tym właśnie pogrzebiłem i ją — i dobiłem siebie do reszty. „Teraz nie ma za co

przepraszać, bo to już nic nie pomoże” — usłyszałem odpowiedź. Przez długą chwilę po odejściu dziewczyny nie ruszałem się z miejsca. Siedziałem bezradny i zrezygnowany. Oto jakiego figla może spleść najzwyklejszy w świecie przypadek! A zatem zasadzki czyhają na pisarza już w momencie kiedy „chrzci” on bohaterów swoich książek. Od takich zasadzek na szczęście uratowali mnie kilkakrotnie moi koledzy. Między innymi dzięki jednemu z nich, który czytał w maszynopisie opowiadanie „Tym samym pociągim” z tomu „Człowiek z rybą”, zmieniłem nazwisko bohatera tam występującego. Pierwotne imię i nazwisko jakie wymyśliłem, nosił bowiem jeden z wielce poważanych obywateli mego miasta, o którym ja, niestety, nie słyszałem przedtem.

Na pisarza czyha także sporo innych zasadzek urządzanych przez samych czytelników. Otóż czytelnicy, chyba od początku istnienia literatury, za wszelką cenę starają się opisać w książce wydarzenia fikcyjne traktować jako autentyczne, mające miejsce w życiu. Stąd też często słuchacze na spotkaniach autorskich zadają pytania w rodzaju „Czy opisał pan w swojej książce prawdę?” Odpowiedź na to, z pozoru tak proste pytanie, bywa niezwykle trudna. Wyjaśnianie tego, że literatura rządzi się innymi prawami i opisyane zdarzenia fikcyjne często zawierają więcej prawdy o życiu, niż ukazanie autentycznych wydarzeń — nie zda się na nic. Czytelnicy najczęściej chcieliby traktować (i traktują!) opisy zdarzeń wprost i dosłownie. Szczególnie dotyczy to książek, w których bohater-narrator występuje w pierwszej osobie. Wszystko bowiem, co ów bohater przeżywa, czytelnik automatycznie odnosi do autora. Na którymś ze spotkań autorskich zapytano mnie wprost czy nosiłem się z zamiarem otrucia własnej żony. Natychmiast zrozumiałem skąd to pytanie się wzięło. Otóż w dwóch moich opowiadaniach „Ząb za ząb” i „Trapez z kontrafaldą” występuje właśnie ten motyw.

Po wydaniu autobiograficznej powieści „Galop do Wielkiego Lasu” otrzymałem swego czasu list pisany niewprawną ręką dziecka. Oto jego fragment: „Jestem uczniem III „a”, niedaw-

no był Pan w naszej szkole na spotkaniu autorskim i mówił pan, że w życiu trzeba być szlachetnym i dobrym. A pan to wszystko kłamał i mam do pana żal, więc pytam się pana, dlaczego pan już na początku książki „Galop do Wielkiego Lasu” zabił dwie dziewczynki Ewę i Joasię. Ja to bardzo mocno przeżywałem. Ja panu oddam wszystkie swoje oszczędności w SKO 68 złotych i 80 groszy za to, żeby pan napisał, że Ewa i Joasia nie umarły, że żyją. Jak pan to napisze, wszystkie dzieci będą pana lubiały i będzie pan dobry”.

I znowu znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Odpisałem memu młodocianemu czytelnikowi, że te dwie dziewczynki w książce ja po prostu wymyśliłem, że one nigdy nie żyły naprawdę. Dziś zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem tak właśnie odpisując. Istnieje przecież obawa, że ów chłopiec po moim liście... w ogóle przestanie wierzyć książkom.

Jak nadawałem imię swojej córce

Miałem kłopoty nie tylko z imionami i nazwiskami bohaterów swoich książek. Znalazłem się w 1962 roku w kłopotliwej sytuacji podczas nadawania imienia mojej córce.

— Jakie imiona chce pan nadać córce? — pyta dostojnie kierownik Urzędu Stanu Cywilnego.

— Kalina — odpowiadam.

— A drugie?

— Iwona.

Sympatyczny, pełen dostojęstwa urzędnik, nagle zasepił się. Po chwili sięgnął po leżącą przed nim książkę, otworzył ją i zaczął wertować. Dostrzegłem, że to alfabetyczny spis imion.

— Bardzo mi przykro, ale nie ma w urzędowym rejestrze tego imienia — usłyszałem wyrok.

— Nie szkodzi, to imię coraz powszechniej nadaje się dziew-

czynkom — odpowiedziałem. — Na przykład Kalina Jędrusik... — ciągnąłem.

— To już znana artystka — usłyszałem ripostę.

— Kiedy nadawano jej imię, nie była znaną artystką. Znam również inne, nie mniej wartościowe panie o tym imieniu, na przykład tłumaczka literatury...

— Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie ma tego imienia w urzędowym rejestrze — przerwał mi kierownik USC.

— W rejestrze są pewnie tylko imiona świętych — bronięm się.

— Nie tylko! — uprzejmy pan zaczął się już denerwować.

— Ja przecież nie wymyśliłem imienia sztucznego ani snobistycznego... Kalina, to imię zaczerpnięte z folkloru ludowego.

— Proszę w sąsiednim pokoju podyktować dane do aktu urodzenia — kierownik USC wstał — Aha, Iwona może być nawet na pierwsze — dodał.

Urzędnicze, która siedziała przy maszynie podałem imiona córki Kalina Iwona.

— Proszę iść do kierownika i zapytać czy zgodzi się na imię Kalina.

Wyszedłem na korytarz i po pięciu minutach wróciłem.

— Pan kierownik zgodził się — powiedziałem tonem pewności siebie.

Po dziesięciu minutach akt urodzenia mojej córki wrócił do kierownika USC, gdzie i mnie poproszono. Kierownik uroczystie zaczął odczytywać treść dokumentu. Kiedy w akcie urodzenia doszedł do imienia, nagle głos mu zadrżał i na ułamek sekundy urwał, na jego twarzy zobaczyłem grymas niezadowolenia. Przemógł się jednak i odczytał uroczystym głosem dokument do końca. Po skończonej ceremonii zrobił mi wymówkę, iż postąpiłem bardzo nieładnie, ale on nie mógł przecież przerywać uroczystości, jaką jest odczytanie aktu urodzenia. Takim usprawiedliwiającym akcentem zakończył przyganę pod moim adresem. Odpowiedziałem, że go dosko-

nale rozumiem i dziękując zapewniałem, iż sam nie inaczej bym postąpił.

*Młodzi poeci,
ciotki,
metafizyka
i...*

Jako wieloletni redaktor prowincjonalny, urządziłem sporo debiutów umieszczając utwory początkujących autorów, zarówno w prasie lokalnej jak też ogłaszając je w radiu. Tylko znikoma część moich debiutantów sprawdziła się, sądzę jednak, iż taki obrót sprawy jest rzeczą normalną,

podobnie, jak tylko część z obecnie nawet znanych pisarzy interesować będzie następne pokolenia. Ale nie o takie rozważania mi w tym miejscu chodzi. Oto kilka ciekawostek dotyczących moich debiutantów.

Autorów, u których dostrzegłem choćby iskierkę talentu, zawsze traktowałem życzliwie, podchodziłem do nich wręcz z czułością, co nie zawsze, niestety, wychodziło na zdrowie samym autorom. Zbyt wczesny bowiem debiut może mieć tę złą stronę, że jego autor natychmiast staje się w swojej wyobraźni geniuszem. Do dziś trapią mnie wyrzuty sumienia z powodu ogłoszenia debiutu pewnemu siedemnastoletniemu uczniowi liceum. Mój szlachetny uczynek spowodował fatalne skutki. Ów młodzieniec przejął się tak własnym posłannictwem i rolą wieszczka jaka go czekała, iż w efekcie oblał maturę. I proszę sobie wyobrazić, przyszedł geniusz nie zdał z języka polskiego! Zacząłem go egzaminować z historii literatury i natychmiast zrozumiałem, iż komisja maturalna miała całkowitą rację. Mój protegowany nie miał podstawowych wiadomości z zakresu tego przedmiotu. Niestety, sprawdzian odbył się trochę za późno, a to dlatego, iż nie przyszło mi nawet przez myśl, że uczeń liceum piszący wiersze może nie interesować się literaturą, wręcz lekceważyć ten przedmiot.

Plagą, a nawet pewnego rodzaju modą, na szczęście już przemijającą, był dziwny twór nieznany w żadnych okresach literackich, mianowicie postać wiecznie młodego poety. Wiecznie młodego pisarza.

W Koszalinie, podobnie jak w innych regionach, w okresie przed powstaniem Oddziału Związku Literatów istniał Klub Literacki, do którego należało takich kilku wiecznie młodych poetów. Jeden z nich, również swoim stylem życia spełniał obowiązujący model współczesnego twórcy. Znajdował się on w o tyle specyficznej sytuacji, że miał aż cztery ciotki. Ciotki usiłowały go zmusić albo do nauki, albo do pracy. Niestety, wciąż im się to nie udawało. Jeżeli bowiem jedna ciotka zaczęła go atakować, natychmiast wzruszało się serce drugiej, która stawiała w obronie bratanka. Tak działo się między ciotką trzecią i czwartą, pierwszą i trzecią, drugą i czwartą. Zmieniał się tylko wariant i układ strony atakującej i broniącej. Przypominało to trochę grę w toto-lotka, tyle tylko, że przy zastosowaniu czterech liczb. Zdaje się, iż wszystkie ciotki po prostu nazbyt kochały swego kuzynka, młodego poetę.

Tak się złożyło, iż i ja miałem zaszczyt poznać jedną ze wspaniałych ciotek. Otóż pani ta któregoś dnia zatelefonowała prosząc o rozmowę ze mną, jako prezesem Klubu Literackiego. Wiedziałem o co chodzi i jaki będzie temat spotkania. Uprzejmie umówiłem się z moją rozmówczynią w swoim miejscu pracy, w Rozgłośni. Postanowiłem w duchu: nie dam się wciągnąć w ów wieczny, rodzinny spór.

Kiedy wybiła umówiona godzina, zjawiała się w Rozgłośni miła pani pytając o mnie. Odpowiedziałem jej nieśmiało, że to właśnie ja. Przeszyła mnie zdziwionym spojrzeniem i wyraźnie zbulwersowana powiedziała, że wobec tego ona pomyliła się i nie ma już do mnie żadnej sprawy. W tejże chwili zwyciężyła we mnie próżność, a może urażona ambicja, więc zacząłem nalegać, aby jednak powiedziała o co chodzi. Po chwili zdecydowała się.

— Proszę pana, ja w sprawie — i tu wymieniła nazwisko

młodego poety, swego kuzynka. — On nic nie robi i nie chce się uczyć, a tylko pisze wiersze... Chciałam, aby pan jako prezes wpłynął na niego, ale niepotrzebnie przychodziłam, bo pan jest młodszy od niego...

Powiedziała to i natychmiast wyszła. A ja w tym momencie nagle pożałowałam, iż sprowokowałam sympatyczną panią do zwierzeń.

Kończąc niniejszą opowiadkę wspomnę jeszcze o innej ciekawej właściwości młodego poety, o którym opowiadam. Cecha ta bowiem graniczyła z jasnowidztwem, była rodem z rejonów parapsychologii. Otóż, podobnie jak ogół braci artystycznej, i ten młody poeta nie stronił od napoju Bachusa. Posiadał jednakże niesłychaną intuicję, która natychmiast kierowała jego kroki do miejsca, gdzie stały już na stole butelki. „Ten to ma nosa” — mawialiśmy o nim z podziwem. Oto jeden z przykładów. Jestem na Zjeździe Związku Literatów w Katowicach, gdzie dwa lata wstecz przeniósł się bohater niniejszej opowieści. Siedząc w piwnicy Klubu Dziennikarza i podnosząc kieliszek, opowiadam o jasnowidztwie tegoż poety.

— Zawsze w chwili, gdy kończyliśmy napełnianie pierwszych kieliszków, natychmiast zjawiał się nasz młody poeta, który mieszka teraz u was...

I proszę sobie wyobrazić, ledwo wypowiedziałem te słowa, w drzwiach stanął uśmiechnięty młody człowiek, o którym mówiłem. Potwierdził on w ten sposób swoją fenomenalność, a tym samym i moją prawdomówność. Wszyscy przy stole, którzy znali młodego poetę, spojrzeli po sobie z napięciem. Wokół naprawdę powiało metafizyką...

Przez kilka lat, począwszy od debiutu, publikowałam jednego z najzdolniejszych młodych poetów pomorskich. Z tego powodu wielu poważnych ludzi miało mi to za złe, bowiem zarzucali oni młodemu człowiekowi zły charakter, rozrabiacstwo i pijaństwo. Słyszając takie uwagi sam przyłączałam się do zdania tych poważnych ludzi, okazując ubolewanie, kontrargumentowałam jednak, że ów chłopak pisze wartościowe wiersze,

że jest zdolnym poetą a jego trudny charakter to zupełnie inna sprawa, nie redaktora oceniającego utwory literackie. (Doprawdy, trzeba zdobyć się na odwagę, aby takie zdanie głosić! Szczególnie na tzw. prowincji). Nie ma żadnych powodów, aby nie drukować dobrej poezji. Bohatersko walczyłem przez kilka lat o młodego poetę i systematycznie zamieszczałem jego utwory. A jednak młody zdolny człowiek zrobił mi taką niespodziankę, że przez kolejnych kilka lat byłem zmuszony zaprzestania druku jego naprawdę ciekawych wierszy.

Oto w jednym z literackich miesięczników młodych znalazłem jego wiersz drukowany poprzednio przeze mnie, a teraz podpisany imieniem i nazwiskiem kobiecym, nawet nie współbrzmiającym z nazwiskiem poety. Niedługo potem okazało się, że więcej takich wierszy mego podopiecznego wydrukowano pod nazwiskiem poetki, która nawet w konkursie na poetycki debiut książkowy zdobyła pierwsze miejsce. Nie wiem czy ten nagrodzony tomik także został napisany w całości przez mego hołubionego poetę. Nie wiem też na jakiej zasadzie oddawał on „poetce” swoje utwory — dla pieniędzy, którymi być może potem dzielili się, czy też z miłości. W pierwszym przypadku byłby to czyn ewidentnie brzydki, poniżej godności, w drugim jednakże mógłby świadczyć o bezgranicznym poświęceniu, do którego jest tylko zdolny człowiek bez reszty zakochany.

Poetę tego zacząłem ponownie drukować kiedy w „Polityce” ukazał się artykuł denuncjujący jego, tak czy inaczej, nieco dziwny proceder. Mam bowiem cichą nadzieję, iż od-tąd zaprzestanie on tego typu praktyk. Nazwiska poety nie ujawnię, bo i po co.

Pisarz mieszkający na prowincji jest w codziennym kontakcie ze swoimi czytelnikami, mają też z nim bezpośrednią styczność ludzie, którzy próbują pisać. Na ogół człowiek marzący o sławie literackiej jest uparty i pisarz choćby nie

wiadomo co robił, nie może się od niego wykręcić. Jest przecież dla wszystkich na wyciągnięcie ręki.

Przeczytałem w ciągu przeszło dwudziestu lat ogromną ilość rękopisów i maszynopisów, wiele z nich pamiętam do tej chwili. Nigdy, na przykład, nie zapomnę pewnej powieści historycznej, która miała trzy tysiące stron, kilka grubych zeszytów dużego formatu maczkiem zapisanych. Nad rękopisem tym siedziałem długo. Musiałem przeczytać co do stro- nicy, bowiem mój starszy jegomość-autor zapowiedział, że przeegzaminuje mnie czy dokładnie czytałem jego dzieło. Niestety, powieść ta nie była do druku nawet w najmniejszym fragmencie.

Swego czasu nawiedzała mnie poetka z ogromnym stosem maszynopisów liczących ponad tysiąc utworów poetyckich, które jej matka wierząca w geniusz poetycki córki, wszędzie za nią nosiła w ogromnej torbie. Kiedy nie przyjąłem do publikacji ani jednego wiersza tej poetki, złożyła ona skargę w KW Partii denuncjując mnie jako wroga ustroju. Na dowód, że mówi prawdę, przeczytała sekretarzom KW swoje szczerze zaangażowane wiersze o Socjaliźmie, o Ojczyźnie, utwory w których zwierzała się, że kocha zarówno Komunizm jak i aktualnych przywódców. Niestety, nawet sekretarze KW nie poznali się na tej poezji mimo, iż była ona tak bardzo zaangażowana.

Przez kilka lat redagując dodatek w „Głosie Pomorza” „Magazyn Literacki”, prowadziłem na jego łamach rubrykę odpowiadzi autorom nadsyłającym swoje utwory. Wiele osób niezadowolonych z oceny ich twórczości pisało do mnie obraźliwe listy, najczęściej nie szczędząc przy tym pogroźek, zapowiedzi zemsty. Jeden z takich autorów napisał do Redaktora Naczelnego gazety denuncjując mnie jako byłego agenta gestapo, opisał przy tym szczegółowo moją działalność oraz podał numer i kryptonim pod którym jako agent działałem.

Ludzie próbujący pisać reprezentują różny poziom intelektualny, część z nich sprawia wrażenie dziwaków, bardziej lub

mniej sympatycznych. Reprezentują oni najprzeróżniejsze typy osobowości, dalekie od jakiegokolwiek schematu. Jedni zostawiają swoje utwory nieśmiało, jakby z zażenowaniem, inni z miną geniuszy, jeszcze inni są niezwykle grzeczni, eleganccy w sposobie bycia.

Pan Stanley

i jego

„Okrutna tragifarsa”

Pan Stanley nie korzystał z dzwonka elektrycznego, bo nie chciał zachować się zbyt arogancko. Tak mi przynajmniej tłumaczył. Muszę stwierdzić, że naprawdę jego wejście do mego mieszkania było szczytem elegancji i łagodności. Pukał delikatnie i cichutko. Wszedł

w ukłonach, z rozbijającym, pokornym uśmiechem na twarzy. Tytułował mnie wzniosłe i nie chciał siadać usprawiedliwiając się, że byłby bez serca, gdyby ośmielił się usiąść w obecności mistrza. (Miałem wtedy tylko dwie szczupłe książeczki i niespełna dwadzieścia pięć lat!)

Chcąc zakończyć tę męczącą, a przedłużającą się sytuację, zapytałem wprost co go do mnie sprowadza. Odpowiedzią jego był jeszcze miłszy uśmiech, zawierający zapowiedź niespodzianki. Jednocześnie z dostojeństwem wyjął z aktówki list adresowany do mnie. Był to list polecający. Z listu tego dowiedziałem się, że osobnik stojący przede mną nazywa się z cudzoziemska Stanley H. (nazwisko również z cudzoziemczone). Ów list polecający podpisany przez mego znajomego pracującego w kulturze, zachwalał pana Stanley'a jako niezrównanego gawędziarza na temat piosenki i jej historii oraz autora doskonałego dramatu współczesnego. Pan Stanley H. — czytałem dalej — mógłby więc, odtwarzając z płyt najprzeróżniejsze piosenki, doskonale bawić słuchaczy. Pan Stanley, recytując swoją sztukę teatralną, mógłby jeszcze cudowniej bawić miłośników sztuki dramatycznej. W obu tych wypadkach

z ogromnym pożytkiem dla tzw. szerszego odbiorcy, który przyswoiłby sobie najmiłsze melodie oraz poznał wspaniałą sztukę teatralną i tajemnice warsztatu dramaturgicznego objawione przez samego autora. Honorarium pana Stanley'a H. za taki wieczór wyniosłoby tylko osiemset złotych. Pan Stanley miałby takich wieczorów dziesięć, zorganizowanych i opłaconych przez instytucję mego znajomego. Jest tylko jeden szkopał — dowiedziałem się z listu — macierzysta instytucja mego znajomego nie może wypłacać honorarium osobom prywatnym. Wobec tego najlepszym rozwiązaniem byłoby wpłacenie honorarium na konto Klubu Literackiego, który z kolei przekazałby je panu Stanley'owi. Tu następowały pozdrowienia i podpis.

Po serdecznym pożegnaniu się z panem Stanley'em zagłębiłem się natychmiast w lekturę uroczego autora. Przyznaję, że dramat pana Stanley'a H. noszący tytuł „OKRUTNA TRAGIFARSA” od pierwszych stron zaskakuje i trzyma czytelnika w napięciu. Oto fragment dialogu z pierwszej strony sztuki:

Jerzy: Dlaczego nie mówiłaś mi, że chodziłaś do lekarki

Ewa: Nie chciałam cię martwić: myślałam, że to chwilowe zatrzymanie okresu.

Jerzy: Jak to mogło się zdarzyć? Tylko raz...

Ewa: Tak, tylko raz i taki pech, takie nieszczęście. Co teraz pocniemy? (w nawiasie dopisek, że Ewa szlocha).

Pierwszych kilka stron dramatu poświęconych jest ukazaniu ogromnego zdziwienia, że tylko raz i taki pech. Potem jak refren powtarzający się szantaż, którego podstawą jest tajemnicze zatrzymanie się regularnego cyklu. To główny temat i wątek sztuki, tzw. oś dramaturgiczna. W tekście znalazłem jeszcze kilka innych pikantnych scen, których nie będę streszczał nie chcąc być trywialnym. Dialog i warsztat dramaturgiczny autora był równie wyjątkowy jak treść jego dzieła.

Po przeczytaniu sztuki pana Stanley'a nie interesowałem się już zupełnie historią piosenki w jego wykonaniu. Wpad-

łem w posępną zadumę. Nie myślałem już o autorze, próbowałem natomiast usprawiedliwić swojego znajomego, który napisał list zachwalający Stanley'a H.

Wreszcie znalazłem argumenty usprawiedliwiające mego znajomego.

Po pierwsze — Pan Stanley H. jest człowiekiem nieskazitelnym, jest krasomówcą, sprawia wrażenie światowca, potrafi rozmówcy schlebić.

Po drugie — każdy, kto choć przez kilka minut rozmawia z panem Stanley'em, szybko zorientuje się, że jego rozmowca potrafi bawić publiczność.

Po trzecie — pan Stanley H. ma atrakcyjny towar: dziesiątki piosenek na płytach, a wiadomo jakim wzięciem cieszy się u nas piosenka, nawet najgorsza. Prelegent może zaprezentować za pomocą płyt dziesiątki piosenkarzy, co wyniesie o wiele taniej niż sprowadzenie jednego żywego, nawet najgorszego.

Po czwarte — autor dramatu mieszka w samym mieście Krakowie.

Po piąte — ludzie poznają tajemnice dramatu wyłożone przez samego mistrza ilustrowane za pomocą jego sztuki. Taką prelekcja przyczyni się do wyrobienia dobrego gustu teatromanów oraz spełni piękną rolę wychowawczą.

Po szóste, po siódme itd. itd.

Jak z powyższego wynika, całkowicie usprawiedliwiłem swego znajomego pracującego w kulturze, który polecił mi pana Stanley'a. Dałem mu jednak do przeczytania dramat pt.: „OKRUTNA TRAGIFARSA” — dramat, którego mój znajomy poprzednio nie czytał. Wystarczyło mu bowiem poznać jakże eleganckiego i elokwentnego autora oraz magiczną pieczęć krakowskiej cenzury. Umówiliśmy się, iż po przeczytaniu sztuki mój znajomy zatelefonuje do mnie. Niestety, od dwudziestu lat nie mogę doczekać się od niego telefonu.

*Dialog
czytelnika
i pisarza*

Prawie od chwili swego debiutu książkowego otrzymuję listy od czytelników moich książek czy też poszczególnych utworów drukowanych w prasie. W miarę możliwości usiłuję odpisywać tym wszystkim, którzy oczekują odpowiedzi lub wymaga tego treść

listu. Tylko jeden z tych listów od młodego czytelnika zamieściłem w prasie wraz z moją odpowiedzią (koszaliński miesięcznik „Pobrzeże” 1974).

Wyznaję, iż na tak zasadnicze pytania postawione w liście, miałem pewne trudności z „ułożeniem” odpowiedzi możliwie najprostszej, bez filozoficznych zawiłości. Chodziło mi jednocześnie o jak najpełniejsze zrozumienie mojej odpowiedzi przez czytelników pisma, szczególnie młodych, do których przede wszystkim ją kierowałem.

Szczecinek 14 marca 74 r.

Szanowny Panie

List ten poruszy sprawy dla mnie dość istotne, stanowiące aktualnie sferę mych przemyśleń, a które pan już ma za sobą. Skąd ta pewność — wynika ona z lektury pańskiej książki (Żałuję że dopiero teraz się nią zainteresowałem, no ale cóż) „Miłość legendą innych”. Problem mnie interesujący, określany mianem poszukiwań „WIELKIEJ IDEI” poruszył pan w formie „Przemysław i Ludgarda”, tu odbywało się poszukiwanie Ducha. Sprowadza się to jednak do jednego, do szukania „WIELKIEJ IDEI ŻYCIA”. Założenie Przemysława, że potrafi ją wyszukać w kobiecie okazało się błędne, ja tego błędu jeszcze nie popełniłem. Jestem jeszcze na tyle młody, by być niczym nie skrępowanym i dokonać wyboru w aktualnych warunkach najbardziej optymalnego, nie istotne czy on przekreśli dorobek mego życia. Porównywanie do natury, do

przyrody, podpatrywanie ludzi, wiązanie się z nimi i szuka-
nie w nich czegoś przewodniego, czegoś co naprawdę chce
by to życie do przodu pchać mam już za sobą. Zacząłem czy-
tać poglądy filozofów z różnych okresów i co? Nic, chyba
że poświęcenie się twórczemu samowykańczaniu. Me próby
partycypowania w działalności twórczej kończą się chicho-
tem autokrytyki.

A co pan mówi np. str. 65 — 16 wiersz od dołu:

„Poprzez licytację, poprzez atak zdobywamy wiedzę o in-
nych. A mając większy zakres wiedzy o innych, automatycz-
nie wzbogacamy wiedzę o sobie, znajdując u siebie cechy in-
nych”. Czy mam patrzeć i wykorzystać ich wiedzę o praniu
pieluch, o składaniu na meble o ile mają mieszkanie, czy
obserwować ich pozorne coraz bardziej gasnące szczęście. Ja-
ka u nich myśl przewodnia, dzieci będą już w XXI w. może
będą miały lepiej. Skąd tyle sceptycyzmu pyta się pan, ja
też nie wiem, może potrzeba mi WIELKIEJ MIŁOŚCI —
chyba nie bo uważam że ją przeżyłem, może nie trzeba szukać
wszystkiego w tym co określam przez WIELKIE M. Teraz
myślę że pański Przemysław chyba miał rację szukając swe-
go DUCHA w miejscu do tego stosownym tzn. za barierą
życia, a co pan na Rafała Wojaczka życie (niech tylko pan
nie myśli, że próbuję się na niego snobować co ostatnio jest
bardzo modne). Kończę, prosząc o odpis i o podzielenie się
rozwiązaniem swego życia, w ramach ogólnych, na tyle by
nie ograniczało indywidualności tzn. by poruszało pańskie,
które chyba nie całkowicie warunkuje egzystencję. Pozosta-
ję w głębokim poważaniu

Janusz P. Szczecinek

Drogi Panie Januszu,

proszę mi wybaczyć, że dopiero teraz i w takiej formie od-
pisuję na list pana z marca tego roku. Odpowiadam na ła-
mach czasopisma sądząc, iż sprawy, które pan porusza, po-

dobnie jak owego Przemysława z mego opowiadania, trapią również innych, szczególnie młodych ludzi. Stąd też potraktujemy pański list i moją odpowiedź jako rozmowę pisarza z czytelnikiem o literaturze, czyli o życiu, bo przecież ta podstawowa treść jest w każdej twórczości literackiej.

Panie Januszu, odpowiem panu w sposób możliwie najprostszy, bojąc się nieporozumień. Z konieczności mój list będzie niepełny a pełną skrótów jedynie glosą, bo inaczej być nie może, zważywszy meritum sprawy, jej niejednoznaczność, jej wieczną modulację i zawsze trochę inną wersję w zależności od psychiki konkretnej jednostki ludzkiej, jej osobowości, wiedzy, doświadczeń, w zależności od epoki, w której człowiek żyje itd. A więc po kolei.

Myli się pan sądząc, iż sferę przemyśleń zawartych w opowiadaniu „Przemysław i Ludgarda” mam za sobą. Tych przemyśleń nie może mieć za sobą żaden myślący człowiek dopóki ma normalny, twórczy stosunek do życia. A zatem i pan, należy przypuszczać, przemyśleń tych nie może mieć za sobą, co zresztą potwierdza pański list. A gdyby pisarz miał ten problem już za sobą, pewnie nigdy nie napisałby ani jednego słowa, bo i po co miałyby to robić. Literatura jest bowiem przede wszystkim szukaniem sensu życia, i jeżeli nawet owego sensu nie ukazuje wprost, to go tropi, usiłuje przeczuć, ukazuje jego wersje itd. Powiem więcej, owo tropienie i wieczne, stałe uzasadnianie sensu życia, stanowi tym samym również sens istnienia homo sapiens. Słusznie więc nazywa Pan poszukiwanie Ducha przez Przemysława poszukiwaniem Wielkiej Idei Życia. Zastanówmy się teraz wspólnie dlaczego Przemysław ponosi klęskę, przegrywa, dlaczego musi zginąć. Otóż Przemysław tej Wielkiej Idei-Ducha nie poszukuje w sobie i w związku z innymi ludźmi. I myli się pan pisząc, że nie znalazł on tej idei w Ludgardzie, bowiem on w niej tego nie szukał. A zgodzi się pan ze mną, że sens życia jednostki ludzkiej jest dopóty uzasadniony, dopóki istnieją inni ludzie. Moje, czy pana samotne, pojedyń-

cze życie na ziemi nie miałoby przecież najmniejszego sensu. Przemysław opanowany pasją poszukiwania Ducha czyli sensu życia (coś w rodzaju poszukiwania czystego rozumu), traci całkowicie poczucie związku z innymi ludźmi i to jest zapowiedzią nieodwracalnej jego klęski. Nie można bowiem uzasadnić racji istnienia jednostki ludzkiej bez związku z innymi ludźmi. I to właśnie usiłuje ukazywać literatura, raz w sposób bardziej bezpośredni, innym znów razem w sposób pośredni, czasem za pomocą spraw z pozoru dalekich od istoty rzeczy. Dzisiejsza literatura nie daje jednak recepty, nie wykląda sensu życia w sposób jednoznaczny i autorytatywny, ona sama, poprzez samą siebie, tego sensu poszukuje, sygnalizuje itp. — i w tym kontekście moje z pozoru pesymistyczne opowiadanie nie ma wymowy pesymistycznej, bowiem zostają w nim ukazane przyczyny klęski bohatera. Mówiąc najprościej, Przemysława nic już nie „bawi”, niczemu nie potrafi nadać Wielkiego Wymiaru, stał się człowiekiem metafizycznym, nie z tego świata.

We wspomnianej przez Pana w liście „pieluszcze” można także znaleźć wielki sens, o ile jest się wiernym samemu sobie, o ile wszystkiego egoistycznie się nie zawęży, o ile nasze racje i ambicje łączymy z naszym miejscem na ziemi, wśród innych ludzi. I o tym także znajdzie Pan wiele w literaturze, nawet w tzw. supernowoczesnej. Wbrew wszelkim modnym filozofiom i snobistycznym poglądom, idea czynienia Dobra jest także jednym z podstawowych sensów życia. I tu przy okazji uwaga. Jeżeli przeczyta Pan opowiadanie, w którym szlachetny bohater przegrywa, proszę nie posądzać pisarza o pesymizm i nihilizm. Pisarz przecież oddaje prawdę o życiu, a ileż to razy zdarza się, iż zło potrafi triumfować. Pisarz ukazując takie smutne sytuacje w ten sposób właśnie walczy ze złem, bo przecież jego jedyną bronią jest pióro. Pisz Pan o „samowykańczaniu twórczym” co sugerowałoby, iż zajmuje się Pan którąś z dziedzin twórczości artystycznej. Proszę jednak pamiętać, iż wartościową twórczością człowieka nie jest tylko sztuka. Równie wartościowe jest twórcze

życie jednostki ludzkiej, w społeczeństwie, w rodzinie, w miłości itd.

Panie Januszu, czytając opowiadanie musiał Pan zauważyć, że Przemysław boi się życia — szczególnie wyraźnie widać to wtedy, gdy mówi o istnieniu ludzkich zbrodni. Nie wolno nam obu niczego wyrokować, ale myślę, że przyczyną klęski wspomnianego przez Pana w liście poety Rafała Wojaczka (słusznie Pan zauważył, że młodzi snobują się na niego bez sensu) była bojaźń życia.

Pisze Pan, że może Panu potrzeba Wielkiej Miłości, i dalej szybko dodaje, jakby modnie wstydząc się tego wyznania „może nie trzeba szukać wszystkiego w tym co określam Wielkie...” Znowu powtórzę się i powiem, że właśnie dopóki się tego szuka, nadaje to życiu Wielki Sens. Nigdy przecież, mając świadomość co jest Wielkie, nie wolno wybierać małego kierując się wygodą lub chwilową korzyścią. W owym terminie „Wielkie” kryje się dążenie do zrozumienia innych ludzi, marzenie o tym, aby być rozumianym. Zauważył Pan zapewne, iż w opowiadaniu ten właśnie problem piekielnie trapi Przemysława, tyle tylko, że on chce, aby go rozumiała Ludgarda, natomiast sam nie robi żadnych wysiłków, żeby ją zrozumieć. Na dobrą więc sprawę, to Ludgarda usiłuje, jeśli nie zrozumieć, to przynajmniej instynktem pojąć Przemysława.

Drogi Panie Januszu, niestety nie mogę spełnić wprost pańskiej prośby. Jako pisarz usiłuję poprzez swoją twórczość szukać odpowiedzi na — trapiące i Pana — to najważniejsze pytanie. Mogę więc jedynie Pana zapewnić, że będę czynić to nadal w swoich książkach. Do tego przecież i Pan, jako czytelnik, mnie zobowiązał. Wbrew wszelkim modnym na świecie poglądom, uważam, iż literatura, podobnie jak w minionych wiekach, winna zachować tendencje moralistyczne, uzasadniać sens życia, rozpatrywać świat w podstawowych kategoriach — dobra i zła.

Łączę najlepsze życzenia

Koszalin, sierpień 74 r.

Czesław Kuriata

Przepisując powyższą odpowiedź konstatuje ze zdziwieniem, że dzisiaj moje opowiadanie „Przemysław i Ludgarda” odczytuję nieco inaczej.

Aforyzmy z cyklu „LUD”

Na początku 1971 roku napisałem cykl aforyzmów pod ogólnym tytułem „LUD”, które natychmiast wykorzystałem w audycji słowno-muzycznej emitowanej na antenie lokalnej. Niestety, w prasie tekstów tych nie udało mi się wydrukować (posyłałem je nawet do „Szpilek”) przez dziesięć lat. Ukazały się one dopiero w 1981 roku w koszalińskiej gazecie lokalnej „Głos Pomorza”. Oto trzy najładniejsze aforyzmy z tego cyklu:

1.

*Piękne są ordery,
Miłe też zaszczyty,
Cnotą człowiek szczery,
Naród pracowity.*

*Naród choć jest szary,
W ciągłym naród trudzie —
Na jego pracę nie ma miary,
Ordery noszą tylko ludzie.*

2.

*Choć ludu słowa są toporne,
Ma za nic pięknych słów splot —
Lud się pozna na tym w lot,
Nie zwiodą go słowa pokorne.*

*Jeśli lud oszukać chciałby kto
I w oszustwie tym przekroczy normę,
Nastąpi wtedy taki zdarzeń splot,
Ze lud oszustom zamknie usta w lot.*

3.

*Naród mądry nasz
W swojej masie,
Gdy fałszywie grasz
Pozna po czasie.*

*Bój się jego kary —
Naród choć powolny,
Jest jak świat stary,
Rozum ma ogromny.*

P.S. Nagle, po zacytowaniu powyższych aforyzmów, przypomniało mi się częste powiedzenie współtowarzysza moich zmagających literackich (i nie tylko literackich) Jurka Wawrzaka, które brzmi „JESTEM ZAWSZE ZA, ALE NIGDY NIE WOLNO MI ZAPOMINAĆ O SWOIM SPRZECIWIE”. Sens tego powiedzenia jest tak oczywisty, że nie należałoby go komentować. Gwoli ścisłości powiem jednak jak je rozumiem i dlaczego tak bardzo przemawia mi ono do przekonania. Chodzi tu po prostu o IDEĘ i jej praktyczną realizację.

Z okazji zjazdu Związku Literatów Polskich w Gdańsku w 1969 roku, na spotkanie autorskie poszedłem ze znanym pisarzem, którego zawsze ceniłem za jego uczciwość i bezkompromisowość. Pisarz ten w niektórych okresach piastował wysokie funkcje społeczne i polityczne. Na zawsze zapamiętałem niektóre jego wypowiedzi w trakcie spotkania, które odtwarzam z pamięci.

— Najgorzej teraz mają młodzi pisarze — powiedział on w pewnej chwili. — Są bezradni jak dzieci, nie mogą działać,

nie mogą szczerze pisać, bo nikt ich w razie czego nie obroni. Nie mają bowiem — jak moi rówieśnicy — kolegów i znajomych ani w KC, ani w Radzie Państwa, ani też wśród ministrów. Nie mają także liczących się „zasług” — w trakcie wymawiania ostatniego słowa pojawił się na ustach pisarza dziwny grymas. — Nie brali udziału w wojnie, nie przeszli Oświęcimia, i nie z ich winy — a również ze względu na rok urodzenia — nie brali udziału w budowaniu zrębów władzy...

W pewnej chwili pisarz ten zwraca się w moją stronę.

— W takiej samej sytuacji, a może w jeszcze gorszej, jest pisarz mieszkający na prowincji. Taki to naprawdę musi być człowiekiem niezwykle odpornym, żeby nie zatracić swojej osobowości, nie przestać być pisarzem. Przecież każdy najluchszy urzędniczyna na prowincji ma nad nim nieograniczoną władzę...

Nigdy jeszcze, ani do tamtej chwili, ani do obecnej, nie usłyszałem tak bezpośrednio wyrażonej myśli o sytuacji młodych pisarzy, ani tym bardziej o sytuacji pisarza mieszkającego na prowincji. Znałem kilku pisarzy piastujących wysokie godności, ten jednak wśród nich był wyjątkowy, bowiem myślał także o innych i miał odwagę o tym mówić. Wtedy właśnie, podczas tamtego spotkania postanowiłem, że, jeżeli kiedykolwiek znajdę się w sytuacji bez wyjścia, zwrócę się właśnie do niego. Choć udziałem moim były liczne, najdelikatniej mówiąc więcej niż kłopotliwe perypetie, wynikające z kontaktów z bezdusznymi i prymitywnymi urzędnikami prowincjonalnymi (jakże często oni decydowali o losie ludzkim!) — nie znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Na szczęście!

Pisarz mieszkający na prowincji, a w dużym stopniu dotyczy to wszystkich profesji artystycznych, na co dzień jest w bardzo trudnej sytuacji, wciąż pod presją otoczenia. Każdy uważa, że ma prawo czegoś od niego wymagać, każdy oczy-

Poeta

w miasteczku

wiecie wymaga od niego czego innego. Wszyscy chcą, aby w pełni podzielał ich poglądy, choć powinno być raczej odwrotnie. (Ostatnio nawet mój serdeczny kolega Jarek Traczyk odmówił mi tytułu swego przyjaciela. Przyczyna: według niego mam niewłaściwe poglądy na pewne sprawy). Naprawdę pisarz musiałby zwariować, gdyby chciał spełnić oczekiwania wszystkich, np. zarówno miejscowej władzy jak i określonych grup społecznych czy poszczególnych ludzi. Wszyscy, którzy pisarza znają, mają do niego prawo. Najczęściej jednak zapomina się, że — i to już dotyczy sytuacji w ogóle — aby pisarz tworzył dobre dzieła, musi mieć swego rodzaju intelektualno-psychiczną autonomię, która pozwoliłaby mu na maksimum obiektywizmu w percepcji spraw tego świata. Słowem pisarz musi być sobą. Na co dzień ciążenie wszystkich jest szczególnym piekłem dla pisarza prowincjonalnego.

Niedawno natknąłem się w „Tygodniku Kulturalnym” na wiersz Dionizego Maliszewskiego, poety, który w Ostrołęce spędził całe życie. Nie wnikając w walory artystyczne tego utworu, muszę stwierdzić, iż — w sposób jakże wymowny — ukazuje on sytuację pisarza na prowincji.

Poeta w miasteczku

*W kolejce po śmierć
w garniturze codzienności
musi stać
cierpliwie jak wszyscy*

*nie wolno
wychylić się w lewo
nie wolno
wychylić się w prawo
nie wolno milczeć
kiedy wszyscy mówią
nie wolno mówić
kiedy wszyscy milczą*

*cierpi więc
uwięziony w sobie
choć wyraźnie widzi
diabła mieszkającego
w kapliczce i uważnie
liczącego losy ludzkie*

*w nocy gdy samotnie
dyskutuje z Karolem Marksem
odwiedzają go nagle
niespokojni aniołowie
i z troską zakładają mu
na partyjną tysinę
aureolę ciernistą*

*Kuriata
komendant
i
Kuriata
proboszcz*

Wojewódzka Biblioteka we Wrocławiu zaprosiła mnie swego czasu na cykl spotkań autorskich, z których większość miałem odbyć na terenie województwa. W bibliotece przedzono mnie, że ostatni wieczór autorski będę miał na wsi, gdzie spotka mnie wielka niespodzianka. I rzeczywiście, tuż po przyjeździe do wsi, której wszyscy mieszkańcy pochodzili

z Wołynia, dowiedziałem się, że co najmniej połowa tutejszych gospodarzy nosi nazwisko Kuriata, jest nawet dwóch Czesławów. Nie było to dla mnie czymś dziwnym, bowiem i ja urodziłem się we wsi wołyńskiej, gdzie wszyscy nazywali się Kuriata, a tylko nazwiska dwóch gospodarzy brzmiały inaczej, a to dlatego, że oni — jak to się u nas mówiło potocznie — wżenili się w wieś. Na przykład moja mama z domu także Kuriata, tyle tylko, że z innych Kuriatów, tych „zza rzeki”.

Nawiasem mówiąc, do tej chwili, gdy pytają mnie w urzędach o nazwisko panieńskie matki, myślą, że przez roztargnienie udzielam błędnej odpowiedzi. Wrócę jednak do tematu.

Byłem wtedy wdzięczny moim pomysłowym opiekunom z biblioteki, którzy spotkanie we wspomnianej wsi zaplanowali jako ostatnie. Zważywszy wołyńską gościnność to naturalne, że dopiero po tygodniu udało mi się wyrwać z tamtej wioski. Udało mi się to z wielkim trudem, bowiem i tak wszystkich Kuriatów nie odwiedziłem, co nakazywał zwyczaj naszych wschodnich przodków. Ci, których nie udało mi się odwiedzić, pozostali na mnie urażeni. Serdecznie ich przepraszam w tej chwili i daję wołyńskie słowo honoru, że naprawdę już dłużej nie mogłem pozostać w ich gościnnej wiosce.

Podczas pobytu w tamtej wołyńsko-wrocławsko-kuriatówskiej wsi usłyszałem pouczającą opowieść o nierozzerwalnej więzi Wołyniaków, bez względu na ich poglądy i nawet najbardziej nie sprzyjające tym więzom sytuacje.

Oto w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, zarówno proboszcz w tej wsi jak i komendant posterunku MO, nosili to samo nazwisko Kuriata. Był to jak wiadomo okres, jak większość naszych politycznych okresów — każdy pod innym względem — dość trudny. Kiedy więc w tym najtrudniejszym czasie zaczęli siebie unikać obaj wysoko postawieni w hierarchii duchowny i świecki Kuriata — wieś z energią i poświęceniem podjęła się dzieła odbudowy ich jedności. Jakże to tak, obaj Kuriaci i obaj z Wołynia, a patrzą na siebie wilkiem. Toż to obraza Boska, obraza wszystkich szlachetnych przodków, którzy nie patrząc na osobiste urazy odpierali kiedyś hordy tatarskie i tureckie, ginąc przy tym w idealnej zgodzie. Wieś zmusiła więc do braterskiego współzycia komendanta posterunku i proboszcza. Przyjaźń ich jednak zdecydowanie nie podobała się przełożonym, zarówno jednego jak i drugiego Kuriaty. Teraz zaczęła się prawdziwa kołomyjka. Kiedy Komenda Wojewódzka chciała przenieść gdzie indziej Kuriatę-komendanta, prawie cała wieś pojechała do Komendy Wojewódzkiej. Jeśli zabiorą ich komendanta nie odstawią ani

jednego kilograma zboża, a proszę bardzo, niech milicja zamknie całą wieś. Zresztą, co też złego komendant i proboszcz robią przyjażniąc się. Oni przecież dają wszystkim przykład dobrego współżycia dzięki czemu w ich wsi ludzie żyją w zgodzie, lepiej pracują i porządek panuje wzorowy. Cóż miała robić Komenda Wojewódzka? Poszła ludziom na rękę i komendant pozostał we wsi. Rzeczywiście całej wsi nie można naraz ukarać, ponadto władze wojewódzkie bały się, że skandal mógłby i im samym zaszkodzić. Kiedy ludzie uspokojeni wrócili do domu z miasta wojewódzkiego, po jakimś czasie odezwał się biskup, któremu także nie podobala się komitetywa jego proboszcza z bezbożnym komendantem. Jeżeli proboszcz nie przestanie zadawać się z partyjniakiem-komendantem, natychmiast zostanie odwołany z parafii. Ludzie znowu ruszyli do miasta, tym razem do kurii biskupiej. I stamtąd też wrócili zwycięzcy, byli przecież jedną z lepszych parafii w całej kurii i nigdy nie szczydzili grosza na kościół, zawsze też wypełniali gorliwie wszystkie religijne powinności. Jednak ani komendant wojewódzki MO, ani biskup, wciąż nie dawali za wygraną, ponawiając co pewien czas swoje żądania, więc kołomyjka ta trwała do pamiętnego roku 1956.

Muszę na zakończenie wyznać, że i ja podczas pobytu w tamtej wsi wypilem zarówno z komendantem, jak też z proboszczem, mimo, iż nie byli to już ci sami, a tylko jeden z nich nazywał się Kuriata (pozwolą Czytelnicy, że w tym miejscu nie zdradzę im tajemnicy, który był moim imiennikiem). Ale nie mam się czym chwalić — wypicie z jednym i drugim nie było już wtedy sztuką, bowiem zaczęły się lata siedemdziesiąte.

Historyjka powyższa zawsze mnie nęciła jako ciekawy temat opowiadania społeczno-obyczajowego. Niestety, takiego utworu nigdy nie potrafiłem napisać, choć bardzo chciałem. Dziś już nie mogę tego zrobić, bowiem Czytelnicy posądziliby mnie, że jestem na tzw. linii i chcę się komuś przypochlebić.



SPIS TREŚCI

Mój debiut literacki a Rewolucja Francuska	3
Walka Szatana z Aniołem	16
Kiermasz książki i akt kobiecy	20
Noc z przygodami po spotkaniu autorskim	26
Julian Przyboś	29
Intruz własnego spotkania autorskiego	34
Pułapka czyli patron klasy	40
Dziękuję ci, mój sobowtórze!	42
Moja dwugodzinna kadencja poselska	55
Moi obrońcy poznali mnie przebywając w więzieniu	63
Spotkanie ze Sztaudyngerem	72
Zabawa w detektywa	77
Alchemia pisarza marynisty	87
Mój pojedynek z księciem Erykiem	92
Misterium buffo czyli rewolucja w piekle	100
Kompleks Artysty	104
Jak ciężko być artystą plastykiem	108
Potęga znajomości	112
Spowiedź prowincjonalnego pisarza	116
Szkoda, że go kula nie trafiła	122
Prototyp mego bohatera	124
Kaszubi pod Wiedniem	129
Błogosławieństwo biskupa i wdzięczność ateistów	144
Kłopoty z nawiskami bohaterów i fikcja literacka	147
Jak nadawałem imię swojej córce	151
Młodzi poeci, ciotki, metafizyka i...	153
Pan Stanley i jego „Okrutna tragifarsa”	158
Dialog czytelnika z pisarzem	161
Aforyzmy z cyklu „LUD”	166
Poeta w miasteczku	168
Kuriata komendant i Kuriata proboszcz	170

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”
w Koszalinie. Zam. D-571. Format B-5. Ark. druk. 11,0. Nakład 3000 egz.
C-12

Print: Personal Library, University of New Mexico - Albuquerque
w/ handwritten label D-511, known to be from 11.0. Printed 1944
C-12

CZESŁAW KURIATA

wydał dotychczas

NIEBO ZRÓWNANE Z ZIEMIĄ
wiersze – 1961

DZIEWCZYNA POD KWIATAMI
opowiadania – 1962

GALOP DO WIELKIEGO LASU
powieść – 1965

POWRÓT KSIĘCIA ERYKA
poemat – 1965

W KAŻDĄ PODRÓŻ
wiersze – 1966

JEŚLI MIŁOŚĆ NAZWAĆ
wiersze – 1970

CZŁOWIEK Z RYBĄ
opowiadania – 1971

MIŁOŚĆ LEGENDĄ INNYCH
opowiadania – 1972

WINO PESTKOWE
wybór opowiadań – 1974

MIARA DŁONI
wiersze – 1977

NAPRAWDĘ JUŻ PO WOJNIE
powieść – 1978

BOGUSŁAW X
poemat – 1980

ELEGIE CODZIENNE
wiersze – 1984

WERSZE WYBRANE
1984

WYZNANIA NAJPROSTSZE
wiersze o miłości – 1984

SPOWIEDŹ PAMIĘCI, PRÓBA ŚWIATŁA
opowiadania – 1984

– Jak to? Co pani wygaduje. rzy w diabły! Kpiny pani ze mną. twierdzić, że poeta rewolucyjny o diabłach?! Ja chcę tylko solidnie

– Ten poeta opisał rewolucję. Na twarzy dyrektora rozlewa się u niego łagodność.

– A to co innego – mówi zadowolony. – Trzeba było tak od razu mówić, rzeczowo i prosto z mostu.

– Czy pan zatwierdza? z nową struktorką.

– Ależ, zatwierdzam, zatwierdzam. Dyrektor oddaje egzemplarz instruktorce. błysk zamyślenia jak piorun osiada na jego twarzy. – Rewolucja w piekle? Nigdy by mi to nie przyszło na myśl... Miał głowę ten poeta...

Dyrektor wraca za biurko. Powolna męka myślenia odbija się na jego dostojnym obliczu.

– Ale... Jest jednak pewne ale... – wreszcie zaczyna cedzić słowa. – Czy aby uda się ta rewolucja w piekle? Czy diabły tak szybko się nawrócą?

– A tego to ja już nie wiem – dyskretnie uśmiecha się kobieta.

– Co pani powiedziała? Nie wie pani? Tyle razy mówiłem, że wszystko trzeba wiedzieć, wszystko!!! Jeżeli nie uda się ta rewolucja w piekle, to nie trzeba jej tam jeszcze robić. Trzeba poczekać.

Dyrektor wychyla się zza biurka i nagłym ruchem wrywa egzemplarz sztuki z rąk podwładnej.

– Z tą sztuką, z tą bufą trzeba jeszcze poczekać. Może za rok, jak się wszystko wyjaśni. Każda najdrobniejsza rzecz musi być przemyślana, a tym bardziej takie coś jak rewolucja w piekle...

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. M. Dąbrowskiej
w Słupsku

Nr inwent.

MBP Słupsk Centrala



123361